

Szczepan Twardoch

**PRAWEM
WILKA**

2008

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2008

Opracowanie graficzne:

Tomasz Piorunowski

Wydawca:

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o.

Biuro Handlowe

ul. Nowowiejska 10/12

00-653 Warszawa

ISBN 978-83-7578-012-3

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

BODHISAITWA

*[...] ponieważ żyli prawem wilka
historia o nich głucho milczy
został na zawsze w dobrym śniegu
żółtawy mocz i ten trop wilczy*

Zbigniew Herbert, „Wilki”

W 1953 roku po narodzeniu Chrystusa Elvis Presley nagrał w Sun Records dwie piosenki w prezencie urodzinowym dla matki, płacąc za sesję trzy dolary amerykańskie dwadzieścia pięć centów. W połowie gospodarstw domowych w USA stał telewizor, w sprzedaży znalazł się również pierwszy model telewizora kolorowego, w cenie nieznacznie przekraczającej tysiąc dolarów.

Oscara za najlepszy film zdobył obraz Freda Zinnemanna *From Here to Eternity* na podstawie powieści Jamesa Jonesa, z Burtem Lancasterem i Frankiem Sinatrą w rolach głównych. Mówiło się, że Sinatrze rolę załatwiła mafia. Zarówno gangsterzy, jak i uczeni pracujący Amerykanie chętnie kupowali fordę crestline victoria, wyposażonego w automatyczną skrzynię biegów i otwierany elektrycznie dach. Nikogo nie przerażał trzyipółlitrowy silnik, skoro benzyna kosztowała tylko dwadzieścia dziewięć centów za galon. Do Nowego Jorku wróciła Christine Jorgensen, która wcześniej wyjechała z USA jako George William Jorgensen, aby w Danii poddać się operacji zmiany płci, zaś entomolog Alfred C. Kinsey przedstawił drugą część swojego raportu, *Sexual Behavior in the Human Female*. W Moskwie zmarł Stalin, a w opactwie westminsterskim koronowano Elżbietę II – tego samego dnia do Londynu dotarła wiadomość, że Edmund Hillary i Tenzing Norgay zdobyli Mount Everest.

W tym samym 1953 roku po narodzeniu Chrystusa wachmistrz Ignacy Pyra-Rzeszotarski siedział nad brzegiem rzeczki Krzemianki w Lasach Włodawskich i czyścił swój browning ze rdzy, która pojawiła się na zamku i rękojeści pistoletu, kiedy wilgoć z jesiennych deszczy przesiąkła pod skórzaną klapę kabury. Była to ta sama kabura, w której dziesięć lat wcześniej pistolet przyjechał do Polski na lewym biodrze oberwachtmajstra Kokoschki. Kokoschce nie było dane długo służyć w Polsce i kiedy Rzeszotarski wyjął browninga ze stygnącej dłoni żandarma, od razu spodobała mu się pękata rękojeść, dobrze leżała w ręce, lepiej niż vis. Visa nosił jeszcze przed wojną, w 15. Pułku Ułanów Poznańskich; polski pistolet towarzyszył mu we wrześniu, nad Bzurą i w Warszawie, ale bez żalu oddał go koledze z oddziału, do pasa przypinając swoje nowe trofeum. Oprócz pistoletu z niemiecką „gapą” Rzeszotarski miał jeszcze drugi, tego samego typu, tyle że litewski, z wielkimi Słupami Giedymina wygrawerowanymi na zamku. Kupił go kiedyś od jednego akowca, dał za niego niemiecki peem, a akowiec dorzucił jeszcze parę flaszek wódki i pięćset sztuk drogocennej amunicji. W

III Okręgu NSZ broni nie było zbyt wiele, więc trochę kręcono nosem na obwieszonych spluwami Pyrę, ale że zawodowy podoficer w narodowej partyzantce był na wagę złota, dowództwo w końcu odpuściło. Proponowano mu nawet stopień podporucznika czasu wojny, lecz Pyra tylko wzruszał ramionami, mruzczał, że co to będzie za oficer bez matury, i awansu nie przyjmował, służąc jako sierżant szef kolejnym porucznikom i kapitanom. Ale to wszystko dawne dzieje. W roku 1953 po narodzeniu Chrystusa wachmistrz Rzeszotarski z przeszłości zachował tylko zszarzałe, niewyraźne wspomnienia i dwa pistolety w kaburach na lewym biodrze.

Gdyby ktoś widział go teraz, zgarbionego na nadrzecznym głązie, nie dostrzegłby niehumanicznego grymasu krzywiącego wargi starca, bo siwe wąsy – nastroszone jak u Piłsudskiego – skrywały usta i brodę. Rzadka szczecina porastała policzki i boki łysej czaszki. Wiedźma zawsze goliła mu głowę, kiedy ją odwiedzał. Nosił złachmaniony mundur Ludowego Wojska Polskiego, z czapki odpruł „kwokę” i zamiast niej przyszył prawdziwego orzełka w koronie, ale stracił już podoficerski zapał do dbałości o wyposażenie; orzełek i guziki były zaśniedziałe, mundur podarty i poplamiony, pas sparciały – jedynie broń utrzymywał w nienagannym stanie, czyszcząc ją ciągle i oliwiąc, bo tylko broni naprawdę potrzebował.

Mijał jedenasty rok wachmistrza w lesie. Dwa pierwsze lata walczył z Niemcami i z komunistami, potem Niemcy odeszli i pod lufę pchali się już tylko czerwoni. Kiedy weszli Sowieci, to jeszcze przez rok, może półtora partyzanci panowali niepodzielnie nad polami i lasami Lubelszczyzny. Po wsiach trudno było bolszewikom znaleźć ochotników do ORMO, bo nocą przychodzili oni, leśni, i zostawiali za sobą zapłakane baby, stygnące trupy sowieckich kolaborantów i brzmiące w uszach obojętnych dzieci słowa: „W imieniu Rzeczypospolitej...”, które kończył huk wystrzałów. PPR musiała się konspirować po wsiach, ale potem władza ludowa okrzepla, część leśnych powpadała w zasadzki, innych zdradzili koledzy z oddziału, a jeszcze później była amnestia i ujawniło się pięćdziesiąt tysięcy partyzantów. Pyra nie wierzył komuchom i nie skorzystał z amnestii, większość z tych, co wyszli z lasu, i tak skończyła z dziurą w czaszce. Chodził potem z Uskokiem, dwa lata, ale kiedy Babinicz zdradził Uskoka na torturach, Rzeszotarski został sam. Odinoczek – tak nazywano zbrojnych samotników, wielu ukrywało się w nadbałtyckich borach na sowieckiej Łotwie i Litwie, w białoruskich puszczech i na poleskich bagnach. Jednakże aby przeżyć, partyzant, nawet pojedynczy, potrzebował w okolicy siatki życzliwych ludzi, którzy nakarmią, przechowają w wykopanej pod klepiskiem melinie, kupią w Lublinie albo Łęcznej sól i nowe buty, a do rannego sprowadzą zaufanego doktora.

Ubecki wiedzieli o tym doskonale i właśnie przez infiltrowanie tej siatki cichych pomocników docierali do – inaczej nieuchwytnych – samotników. Kogoś tam przycisnęli, kogoś omamili pieniędzmi, jednego podeszli podstępem, drugiego zmusili biciem i każdy, nawet najostrożniejszy, pewnego dnia wpadał w ubecki kocioł. Zdradzony, wpadł

cichociemny Zapora, potem Uskok, później wpadli koledzy z oddziału, Maryś, Korzeń i Czarny, zakapowani przez sprzyjających bolszewikom chłopów z Puchaczowa.

Rzeszotarski pojął wtedy, że przed zdradą nie da się zabezpieczyć. Prędzej czy później go pochwycają albo zabijają, będzie jak zaszczute zwierzę w pętli nagonki, która w końcu się zaciśnie, a jemu zostanie tylko przerażenie, upokorzenie, śmierć wcale nie bohaterska, śmierć kundla dobijanego za stodołą, puszczające ze strachu zwieracze i ciało w obsranych bryczesach, pokazywane na postrach chłopom. Postanowił więc, że sam pójdzie po swoją śmierć, że zabierze ze sobą do piekła tylu ubejców, ilu tylko zdoła. Nie zdąży go zdradzić żaden tchórzliwy wieśniak, bycie zdradzonym wydawało się wachmistrzowi czymś szczególnie upokarzającym, jak smutne życie męża niezdary, któremu żona przyprawia rogi, drwiąc sobie zeń w objęciach kochanków.

Razem z oddziałem Wiktora poszedł do Puchaczowa, gdzie rozwalili dwudziestu konfidentów UB i pepeerowców. Rzeszotarski osobiście zastrzelił siedmiu, nie czuł już tego smutku, co kiedyś, kiedy musiał zabić Polaka zdracę, teraz zabijał ich, jakby dla zabawy rozbijał kulami ustawione na płocie garnki. Po wszystkim oddał pepeszkę kolegom z oddziału, niech im jeszcze służy, zostawił sobie tylko pistolety i parę granatów i odszedł. Nie został z Wiktorem ani z Żelaznym, ani z Lalkiem, bo oni ciągle chcieli żyć, przetrwać, doczekać, aż coś się zmieni. Może nie czekali już na Andersa na białym koniu, z pewnością coraz mniej wierzyli w wybuch nowej wojny – ale na coś jeszcze liczyli, sami nie wiedzieli na co, być może na ucieczkę na Zachód, jakiej wcześniej próbował Zapora? Cichociemnemu się nie udało, ale Brygada Świętokrzyska przeszła, przez Śląsk i Czechy, a że nadzieja zapomina o rozsądku, to chociaż rozumieli, iż nie może się udać pięć lat później coś, co udało się świętokrzyskim w czterdziestym czwartym, w świeżych skibach przeoranego frontem kraju, nadal mieli nadzieję, ale Rzeszotarski nadzieją się brzydził.

Po Puchaczowie poszedł więc na bagna. Szedł, aż uznał, że miejsce, w którym właśnie stoi, jest tak samo dobre jak każde inne. Usiadł pod drzewem, przez dwa tygodnie nie ruszał się stamtąd, piekł konserwy na ogniu i pił wodę z rzeki, marzył nocą, w dzień wystawiał się na przefiltrowane przez liście, migoczące słońce. Czekał, aż okolica przycichnie, czekał, aż inni leśni sobie pójdą, aby nie spotkać już w życiu nikogo, kogo nie chciałby zabić.

Po dwóch tygodniach zjadł ostatnią konserwę, otarł usta, wstał, zarepetował browningi, za pasek wsunął granaty i poszedł, żegnając polanę splunięciem. Szedł w stronę Chełma, postanowił, że po prostu pójdzie do Urzędu, wrzuci do budynku granaty, wkroczy do środka i będzie zabijał ubejców, ma dwadzieścia sześć kul w spluwach, zabije, ilu się da, po czym go zastrzelą. A jeśli nie zastrzelą, to włoży nowe, pełne magazynki do pistoletów i pójdzie dalej, do Lublina. Albo nawet pojedzie zdobyczym gazikiem, jeżeli jakiś akurat będzie stał pod Urzędem.

Ledwie jednak wyszedł z lasu na drogę, niedaleko Dominiczyzna, usłyszał odgłos silnika. Ukrył się w zaroślach na zakręcie, skąd mógł obserwować drogę, pozostając niezauważonym,

i przez lornetkę ujrzał toczącego się powoli, szarozielonego dodge'a z czerwoną gwiazdą na burcie. W czterdziestym dziewiątym w Lubelskiem sowieckich barw nie widywano już zbyt często, bolszewicy doradcy nosili polskie mundury, Rzeszotarski uznał więc, że takiej okazji przepuścić nie może. Zabić ruskiego bolszewika, to jak zabić trzech polskich albo żydowskich zdrajców, równie dobrze może zginąć tutaj, jak na schodach PUBP w Chełmie, a im szybciej, tym lepiej. Schował się za zwalonym pnem, wyciągnął granat, odkręcił kapsel z trzonka i czekał. Po chwili samochód wychynał zza zakrętu, wachmistrz szarpnął sznurek zapalnika, odliczył do trzech i rzucił granat pod przednie koła. Wybuch zerwał opony, kierowca stracił kontrolę nad autem i uderzył w drzewo, Rzeszotarski wyskoczył z kryjówki, popędził w stronę samochodu, wyszarpując broń, i zaczął strzelać do widocznych w oknach auta sylwetek, najpierw z jednego pistoletu, potem z drugiego.

Sowieci nie bronili się, Rzeszotarski walił celnie i prędko, rycząc z radości. Kiedy zamki obu pistoletów stanęły w tylnym położeniu nad pustymi magazynkami, pociągnął jeszcze parę razy za martwe nagle spusty, zanim zorientował się, że broń milczy. W aucie nie dostrzegł już żadnego ruchu, spokojnie zmienił magazynki, otworzył drzwiczki i policzył swoje ofiary. Tłoczyli się w ośmiu na sześciu siedzeniach, wszyscy oprócz kierowcy w mundurach sowieckich lotników. Szofer, o kałmuckich rysach, żył jeszcze, na zielonej gimnastorce powiększały się trzy plamy krwi, aby w końcu spotkać się brzegami i połączyć w jedną. Rzeszotarski patrzył z rozbawieniem, jak Azjata próbuje wyjąć pepeszę z za siedzenia, macając rękami jak niewidomy, w końcu uznał, że dość się napatrzył, i strzelił bolszewikowi w łeb.

Wcisnął się do kabiny i obmacał każdego trupa, do kieszeni zabrał kapciuch z machorką i bibułkami, wyciągnął zabitym pistolety i portfele i zapakował do worka, który znalazł w bagażniku, wyrzuci je potem do rzeki, jemu spluwy niepotrzebne, ale niech nieprzyjaciel zubożeje. Kiedy skończył, chlusnął do środka benzyną z kanistra, po czym odkręcił korek z baku i wcisnął do środka szmatę, wyszarpaną bagnetem z zakrwawionej koszuli szofera. Materiał szybko nasiąkł benzyną, Rzeszotarski skręcił sobie papierosa ze zdobyczej machorki, odpalił i tą samą zapałką podpalił gałganek. Opary w baku zapaliły się i wybuchły, rozrywając cienką stal, benzyna rozlała się i samochód zapłonął i zadymił czarnymi kłębam. Ignacy palił machorkę i patrzył na płomienie, tytoniowy dym mocno rznął płuca, mieszając się z zapachem płonącej benzyny. Kiedy skręt zaczął parzyć w palce, pociągnął jeszcze dwa razy i rzucił niedopałek w ogień. Odwrócił się i ruszył ku swojej śmierci, ale zatrzymał go kobiecy, starczy głos:

– Widziałam ich dusze, widziałam je, kiedy odchodziły. Przeklęłam je, nie będzie im łatwo trafić na zwykłe tory sansary.

Odwrócił się i ujrzał ją; stała odziana w balową suknię z trenem, kiedyś piękną, dziś brudną i podartą. Pomiędzy warstwy tiulu zaplątały się liście i gałązki, siwe włosy, rozpuszczone, w tłustych strąkach spadały na ramiona i na wystające z gorsu sukni uschnięte

piersi. Starucha opierała się na zbyt długiej męskiej lasce z gałką, a na jej nagim ramieniu siedziała, niczym małpka na barku wędrownego kataryniarza, wielka ropucha. Wachmistrz pomyślał, że to wariatka, ofiara wojennej zawieruchy, żebraczka albo Cyganka, i zasmucił się, że nie wypada mu jej zabić, w końcu to kobieta, chociaż stara i szalona.

– Nie przychodź tutaj w nocy, rozpoznają cię jako swojego zabójcę i sprowadzą na ciebie obłąd – powiedziała podchodząc i dopiero wtedy ujrzał twarz staruchy, białe, rozlane źrenice jej oczu, i poznał ją.

– Pani Porohowiecka... – wyszeptał przerażony.

Bywali u niej we dworze, jeszcze za Niemca i potem, hrabia Porohowiecki był endekiem i chętnie pomagał leśnym, pewnego dnia jednak przyjechali ubejcy. Rubaszni, trochę pijani, wleźli do dworu i zrobili rewizję. Broni nie znaleźli, więc podrzucili swoją, dom metodycznie zdemolowali, rozwalając starannie wszystko, co dało się zniszczyć młotami i nożami, od pościeli i porcelany po meble i materace. Rozbili piece i uwolnili sadzę, zbierającą się w kominach od półtora wieku, czarne płaty i pył unosiły się w powietrzu, mieszając się z drżącymi od przeciągów strzępkami puchu z rozdartych pierzyn. Sadza osadzała im się na twarzach, na dłoniach, na mundurach, tak że sami siebie nazywali „kominiarzami”, lotne komando kominiarzy, rewidujące raz a dobrze domy wrogów ludu w całym powiecie. Odjechali wieczorem, zabierając ze sobą Porohowieckiego, hrabina została sama. Nie zostało się ani jedno krzesło, siadła więc na podłodze i patrzyła na ruinę, która przed chwilą była jej domem, była domem, kiedy jadła z mężem skromny obiad, a teraz, kiedy byłby już czas na wieczerzę, nie było ani męża, ani talerzy, na których mogłaby podać kolację. Siedziała tak godzinę, po czym zjawili się ormowcy z komunistycznego Rozkopaczewa. Wpadli do środka, wściekli się, że we dworze nie ma już niczego, co można by zrabować, wyciągnęli więc starą panią za włosy, spalili to, co zostało, i poszli sobie, a Porohowiecka siedziała na ziemi, patrzyła na zgliszcza i ze zdziwieniem znajdowała w sobie tylko obojętne, zimne odrętwienie. Przy życiu trzymała ją myśl o mężu; gdyby nie Antoni, umarłaby wtedy, ot tak. Nie musiałyby się wieszać ani topić – gdyby nie Antoni, który gdzieś tam był jeszcze, żywy, dusza wyszłaby z niej sama i ciało zostałoby tak martwe, jak martwe były zgliszcza dworu.

– Porohowiecka czy nie – machnęła ręką – chodźże za mną, synku.

Synku... Tak właśnie do nich mówiła, chociaż urodzony razem z nowym, dwudziestym wiekiem siwy i wąsaty Rzeszotarski dziecka nie przypominał. Potrzebowali ciepła, kobiecej czułości, nawet bardziej takiej matczynej niż wilgotnych jęków dziewczuch gdzieś na sianie i chyba właśnie dlatego usłuchał i poszedł za nią, chociaż w myślach nazywał ją już Wiedźmą, nie hrabiną. Mówił sobie, że idzie z nią raczej, aby jej pomóc, niż szukając pomocy dla siebie, chciał poprowadzić, była przecież niewidoma, ale ruszyła pewnie przed siebie, na lasce tylko się wspierała, nie macała ziemi, jak ślepcy. Weszli na bagna, po drodze wrzucił w czarny odmęt worek z bronią, a Wiedźma szła szybko i sprężysto, ropucha na jej ramieniu kołysała się na boki, ale trzymała się jak przyrośnięta, szli długo, po niewidocznych groblach między

trzęsawiskami, po torfowiskach, zapadając się po kolana i głębiej, brodzili w rudej wodzie, przedzierali się przez bagienne olszyny, między brzoźami i poskręcanyimi olchami. Z błot wyszli po długim marszu, wprost na suchą kępę, gdzie stał szałas o spadzistych ścianach z gałęzi obłożonych darnią i jasną, wyprawioną skórą. Wiedźma rozdmuchała żar, tłący się w obłożonym kamieniami ognisku, zaczerpnęła rudej wody do żeliwnego kociołka, postawiła na ogniu i zaczęła mówić.

– Po tym, jak zabrali Antoniego i spalili dwór, otrząsnęłam się i pojechałam do Lublina, próbowałam ustalić, co dzieje się z moim mężem. Miałam jeszcze brylanty, dobrze schowane, wygrzebałam je ze zgliszczy, myślałam, że jakoś go wykupię i uciekniemy na Zachód. Antoni miał jakieś tam konto w Szwajcarii, moglibyśmy sobie kupić spokojną starość gdzieś koło Vaduz, w Londynie albo w Monte Carlo. Byliśmy razem czterdzieści lat i nigdyśmy się nie rozstawali. Nie mogłam mieć dzieci, Antoni wiedział, że jestem bezpłodna, kiedy mi przyrzekał u Świętej Katarzyny w Petersburgu, od początku byliśmy więc tylko dla siebie, tylko z sobą. Budziłam się przy nim i zasypiałam przy nim, żyłam z nim i dzięki niemu. Gdyby oddali mi Antoniego, tobym nie żałowała dworu, nic więcej nie było mi potrzebne, tylko on. Gdyby nie udało się nam uciec na Zachód, zawsze mogłam uczyć francuskiego dzieci bolszewickich notabli, bo chociaż oni sami to chamska swołocz, to ich dzieci będą się uczyć francuskiego, ich wnuki pożenią się z wnukami złamanych ludzi z naszej klasy i będą potrafiły jeść małże i kroić homara.

Dołożyła chrustu do ognia i podjęła:

– Chciałam tylko odzyskać męża, umówiłam się więc z jednym ubekiem i obiecałam mu dwa brylanty za wolność Antoniego. Zgodził się, obiecał, że wypuszczą go za dwa tygodnie, i dotrzymał słowa. Ubek dostał kamienie, ja dostałam męża. Antoni żył, ale fizjologiczną resztką życia, życiem, które czai się między złogami rozbitego ciała, jego dusza uciekła już przez pogruhotane palce, przez krwawy strzęp zmiażdżonego przyrodzenia, przez rozdarty odbył, wybite zęby, przez popękane trzewia, z których treść rozlała się po jamie ciała, zakażając tkanki. Nie poznawał ludzi, nawet mnie, był ze strachu jak zwierzę, szlochał, skamlał jak pies z przetrąconym grzbietem. Umarł trzy dni później, załadowałam trupa na furę, wywiozłam za Lublin i spaliłam Antoniego na stosie ze smolnych sosnowych szczap, podtrzymałam ogień przez cztery dni, aż spłonęły nawet kości i nie zostało nic prócz płomieni. Zabrałam żar ze stosu do puszki po konserwie i poszłam na bagna, znalazłam to miejsce, rozpałam ogień, w którym ciągle płonie mój mąż, i wyrzekłam się Boga. To nie jest łatwe, wyrzec się Boga, ale ja akurat dobrze wiedziałam, jak to zrobić. W trzynastym roku pojechaliśmy w podróż poślubną do Azji Centralnej i Mongolii. Jechaliśmy przez emirat Buchary, potem Samarkandę i Kaszgar, potem Sajany, aż wreszcie dotarliśmy do Mongolii z jej stolicą, Urgą. To był najlepszy okres naszego życia, chociaż ryzykowaliśmy je każdego dnia, jadąc konno, bez eskorty. Za całą ochronę wystarczyć nam musiał sztucer Antoniego i złote monety, którymi kupowaliśmy wodę, usługi przewodnika i uprzejmość koczowników. Z

Urgi pojechaliśmy na północ, granicę rosyjską przekroczyliśmy w Kiachcie i tam, pod białą cerkwią czekała na mnie niespodzianka przygotowana przez Antoniego. Po kąpieli w rosyjskiej bani wynajęta dziewczka przyniosła piękne stroje, potem zajechał dylizans, który brzegiem niebieskiego Bajkału dowiózł nas do Irkucka. Do Petersburga wróciliśmy koleją, w luksusowym wagonie, jedząc kawior i popijając szampana. Taki był Antoni, taki pozostał przez całe życie, dlatego kochałam go bardziej niż siebie samą. Ale nie o tym chciałam. Wcześniej, w Urdze, zatrzymaliśmy się w klasztorze Gandan, u stóp wielkiego na trzydzieści metrów złotego Buddy o spokojnej twarzy. Tam przyjęliśmy buddyzm wraz z tajemną nauką bon, wyłożył nam ją sam żywy Budda, lama Bogdo Gegen, i pomarszczony chytry klecha buddyjski, hutuhtu Wagaden. Antoni przekupił ich złotem i prezentami, Działancy Bogdo Gegen był łasy na wszystko, co pochodziło z Europy, szczególnie spodobał mu się nasz aparat fotograficzny i Antoni dał mu go w prezencie, a w zamian za to Bogdo zabrał nas kiedyś do klasztoru, gdzie widzieliśmy, jak lamowie czerwone czapki składają ofiarę z człowieka. Tamtej nocy zaprzyjaźniliśmy się z demonami, które przyszły, kiedy lamowie zdierali skórę z chińskiego jeńca, wiedziałam więc, co trzeba zrobić, aby wyrzec się Boga. Potem, już w Polsce, wróciłam do chrześcijaństwa, ponieważ Antoni poprosił mnie o to, kiedy zerwał z Zadrugą i przystał do endeków, uznając semicki katolicyzm za ośnowę polskości. Skoro jednak Jahwe zabrał mi Antoniego, nie chciałam mieć więcej nic wspólnego z tym okrutnym żydowskim bożkiem i wróciłam do swoich demonów. Od żaru, na którym spłonął Antoni, zapaliłam ognisko na bagnach i czekałam, zaklęłam ropuchę, aby siedziała przy drodze i słuchała, i po sześciu dniach trwania w bezruchu, z nogami zaplecionymi w kwiat lotosu, uszami ropuchy usłyszałam człowieka mówiącego w jidysz, w tym samym języku, w którym mówił ubek, który pomógł żydowsko-chrześcijańskiemu Bogu zabrać mi Antoniego. Przywołałam więc pomniejszych diabły i duchy i wysłałam je do niego, a one zaniósły mu obłąd, oszukały zmysły i pociągnęły go przez trzęsawiska, prosto do mnie, na moje łono. Oderżnęłam mu prącie i jądra, cienkim nożem uszkodziłam rdzeń w kręgosłupie, tak że czuł wszystko, ale nie mógł ruszyć nawet małym palcem. Wtedy odesłałam duchy, żeby wrócił do zmysłów, i żywcem obdarłam go ze skóry, namęczyłam się z tym, bo nigdy wcześniej nie skórowałam nawet królika, ale w końcu dałam radę. To, co zostało z ubeka, okładałam maściami i mongolskimi zaklęciami, aby nie umarł za szybko, i kiedy obnażyłam go z tej ostatniej zasłony, kiedy leżał na mchu w krwawym splocie ciała, zarzuciłam na siebie zdartą zeń skórę i siekierą rozbiłam mu czaszkę. Ulatującą, umęczoną duszę złożyłam w ofierze bogu Tagchla Mebar, wymówiłam Jego imię i przyszedł, Tygrysogłowy. Odprawiliśmy yab-yum i dał mi prawdziwą, wielką moc, ale w ofierze, oprócz cierpienia tego Żyda, musiałam mu oddać jeszcze wzrok. Oddałam bez żalu i zostałam bodhisattwą. Nauczyła ropuchę patrzeć za mnie i ona została moimi oczami, umarłam, aby żyć wiecznie tutaj, na tym bagnie, przy wiecznym ogniu z ciała mojego męża, którego widzę zawsze, kiedy spojrzę w płomienie.

Mroczna historia wypływająca z ust Wiedźmy przeglądała się w rozpaczy wachmistrza. Bał się jej, nie wierzył, nie rozumiał, a jednocześnie słuchał starej z głębokim, pełnym zrozumieniem. Nigdy nie był religijny, od swojego ojca, poznańskiego kolejarza i endeka, przejął wiarę w technikę, naukę, ewolucję i Naród Polski, w nowoczesność, postęp i demokrację, ale nie w Boga, księżmi przed wojną raczej gardził. Ojciec nie przeszkadzał matce prowadzić małego Ignacego do kościoła, ale swoim potężnym, patriarchalnym przykładem skazywał matczyne bezgłośnie i łzawe próby katechizacji syna na niepowodzenie. Nie był antyklerykałem, nie walczył z religią, może dlatego, iż sądził, że mężczyźni nie przystoi zajmować się kruchtą, religia była zdaniem wachmistrza babską sprawą, jak wyszywanie i przychodzące z księżycem krwawienia. Potem różnił się tym od kolegów z lasu, gdzie wszyscy, akowcy czy narodowcy, przypinali sobie ryngrafy z Maryją, latali na nieszpory chętniej niż na potańcówki i jak szaleni przewracali oczami na widok procesji Bożego Ciała. Kiedyś nawet, jeszcze za Niemca, pewien młody kogucik, wróciwszy z mszy, zapytał bezczelnie wachmistrza, czy nie jest przypadkiem Żydem, skoro nie chodzi do kościoła, na co Rzeszotarski po prostu obalił zdziwionego chama ciosem w łeb, dołożył dwa kopniaki w zębra, przysiadł leżącemu kolanami na bicepsach i wywalił mu przed oczy swój arcypolski, nieobrzezany rzap.

Skoro nie wierzył w Boga, tym bardziej nie wierzył w diabły i demony, stąd był już zupełnie przekonany, że Porohowiecka zwariowała. Czytał książki o Mongolii Ferdynanda Ossendowskiego, tam byli tajemniczy lamowie, szalony baron Ungern von Sternberg, wszyscy to czytali, stamtąd też – jak sądził – starucha wzięła inspirację do swojego szaleństwa. Nikt przecież nie wierzył w bajki o podziemnym królestwie, które Ossendowski powypisywał w swoim *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów*.

– Nie wierzysz mi. Niepotrzebnie ci to wszystko gadam, przecież i tak nie wiesz, kim jest Tygrysogłowy ani co to bodhisattwa. Popatrz, tutaj, na moim szałasie, wisi skóra tego jewrieja, a tutaj mam jego czapkę i broń. – Starucha sięgnęła za siebie i spod kamienia wyciągnęła zardzewiałego nagana i ubrudzoną ziemią czapkę z niebieskim denkiem i czerwonym otokiem.

Rzeszotarski spojrzał na skórę, zawieszoną na szałasie, i dopiero teraz rozpoznał w niej ludzkie kształty. Lewa dłoń powędrowała do kabury, już odpinał klapę, kiedy Wiedźma nagle sypnęła mu w twarz żółtym proszkiem. Czuł już pod palcami rękojeść pistoletu, ale stracił nagle władzę nad ciałem, wszystkie mięśnie mu zwiotczały i osunął się na gruby kożuch mchu, bezwładny, jakby ciało zasnęło i tylko mózg i oczy czuwały.

– Nie bój się, synku, to stężony pyłek z kwiatów leśnego rozmarynu, nic ci nie będzie, wysłuchasz mnie spokojnie do końca, bez dziurawienia mojej cielesnej powłoki tymi twoimi pukawkami. Pamiętam cię jeszcze ze starych czasów, jesteś prawdziwym kszatriją i jako jedyny ze wszystkich leśnych Lubelszczyzny nie masz w sercu tego przeklętego żydowskiego bożka, jesteś czysty i silny, kleszy jad nie zatrął twojego serca ani nie osłabia twojej prawicy.

Chcę, żebyś trwał, chcę, żebyś z nimi walczył, lecz wiem też, że masz rację, jest już za późno, las staje się coraz ciasniejszy, ludzie coraz bardziej nieufni, chcą żyć, chociażby pod kacapskim i żydowskim jarzmem, nie przeszkadza im, że rządzi nimi Berman z Brystygierową. A ty już wyparłeś się życia, szukasz śmierci, to pierwszy krok, aby przerwać niekończące się koło sansary, abyś dostąpić mógł nirwany. Nieważne, że nic nie rozumiesz, to nawet lepiej, największy bodhisattwa to ten, który nie wie, że jest bodhisattwą. A ja uczynię cię bodhisattwą śmierci. Wiem, że boisz się zdrady, dlatego uczynię cię niewrażliwym na zdradę, wyłączę cię spod jej panowania, bo nie będziesz musiał jeść ani spać, nie będziesz czuł skwaru ani chłodu, nietknięty przejdiesz przez ogień i wytrzymasz godziny całe pod wodą, a skoro nie będziesz musiał nikogo prosić o jedzenie ani o nocleg, skoro twoje rany będą goić się same, bez leków, to nikogo nie będziesz potrzebował i nikt cię nie zdradzi.

Rzeszotarski słuchał jej z rosnącym zdziwieniem, lecz równocześnie ogarniał go spokój.

– Twoje ciało stanie się ciałem bodhisattwy, a Tagchla Mebar nie będzie chciał od ciebie niczego w zamian. Ode mnie wziął ofiarę z jewireja i wzrok, bo ja jestem starą kobietą, ty jesteś kszatriją, zapłacisz mu śmiercią, Tagchla Mebar jest smakoszem śmierci. Twoje ciało musi tylko trochę obumrzeć, chociaż to nie będzie śmierć, bo twoja dusza ciała nie opuści. Wiem, że tego nie chcesz, ale ja nie pytam cię o zdanie, bo jesteś teraz jak dziecko, a ja jestem twoją matką. Kiedy stanie się to, co dla ciebie przygotowałam, sam pojmiesz, że taka była twoja karma, synku.

Rzeszotarski zrozumiał, że Wiedźma chce go zamordować. Głupio ginąć z ręki staruchy, ale i tak wcześniej zabił ośmiu Ruskich, więc ostatecznie cóż to za różnica, czy umrze od kuli, czy otruty, potem będzie już tylko ciemność, nic więcej.

Na ogniu woda w kociołku zabulgotała, dzwoniąc blaszaną pokrywką, Wiedźma zza pazuchy wyciągnęła dwa płócienne woreczki i wysypała ich zawartość do wrzątku.

– To cisowa kora. Zabije twoje ciało. A to cygańskie ziele, *datura stramonium*, nie pozwoli uciec twojej duszy. Ale to nie wszystko, zaklnę jeszcze twoją broń, bo ziółka muszą się chwilkę zaparzyć.

Wachmistrz bezsilnie patrzył, jak Wiedźma wyciąga pistolety z kabur, siada na głazie, kładąc je sobie na podołku, i biedzi się z ich rozłożeniem. W końcu oddzieliła zamki od szkieletów, wyjęła obie lufy, wytarła o suknię, nawlokła na drut i wsadziła do żaru. Rzeszotarski zasmucił się, że baba zepsuje mu broń, ale zaraz zobojętniał, przecież i tak umrze, więc cóż go obchodzi rozhartowane lufy.

– Nic się nie bój, syneczku, stal się teraz rozhartuje, ale utwardzę ją na powrót, wlewając w nią ducha, zobaczysz.

Sięgnęła za gorset i wyjęła dworski wachlarz, zatrzepotała nad ogniem, żar zajaśniał i stary żołnierz przyglądał się, jak szara stal powoli czerwienieje. Wiedźma, nie przestając wachlować, wetknęła dwa palce w usta i zagwizdała jak uczeń, trzykrotnie i głośno. Po chwili z zarośli wyszedł roślak, srebrzysty basior; sierść na łapach i brzuchu miał mokrą i

pozlepianą. Przyłgnął do ziemi, kiedy zobaczył Porohowiecką, i przypelzł ku niej, przewracając się w końcu na grzbiet. Starucha poczochnęła futro wilka, po czym weszła na moment do szałas, by wychynąć z kamienną misą, rzemieniem i bagnetem. Rzemień związała na tylnych łapach zwierzęcia, przerzuciwszy sznur przez gałąź, pociągnęła, zawieszając wilka w powietrzu, głową w dół. Basior nie bronił się, skowyczał tylko głosem męczonego psiaka, Wiedźma zaś przywiązała rzemień do odłomka gałęzi, pod wilczy łeb podstawiała misę, wyciągnęła bagnet z blaszanej pochwy i poderżnęła zwierzęciu gardło. Wilk szarpnął się lekko, kiedy ostrze dotknęło skóry, ale przyjął śmierć bez sprzeciwu, krew spłynęła do kamiennego naczynia, sklejjąc sierść na pysku w lepkie sople. Porohowiecka wyszeptała coś do martwego ucha, wsadziła palec do krwi i dała jej do posmakowania ropusze, po czym sama napiła się z misy, posoka pociekła jej po brodzie.

– Gate, gate, paragata, parasamgata, bodhi swaha – wymamrotała słowa krótkiej mantry, raz, drugi i trzeci. Jeszcze kilka razy potrząsnęła wachlarzem nad żarem, po czym wyszarpnęła nanizane na drut lufy z żaru i rzuciła całość do misy, krew zawrzała, zabierając ciepło rozżarzonej stali, wilk otworzył oczy, jakby ożył, szarpnął się na rzemieniu, otworzył pysk, ale nie wydał żadnego dźwięku i znów zwił bezwładnie. Wiedźma odcięła trupa z gałęzi i zepchnęła go w zarośla, bagienna woda obmywała siwe futro z krwi. Porohowiecka uklękła, rozerwała zielony kobierzec, włożyła rękę pod mech, jakby szukała upuszczonego pióra pod biurkiem, chwilę pogmerała i wyciągnęła spod darni miedzianą żmiję. Gad wił się w dłoni Wiedźmy, ale nie próbował jej ukąsić. Porohowiecka uchwyciła węża w kącikach pyska, rozchyliła wężową paszczę, zahaczyła kły o krawędź misy i nacisnęła, aż do wilczej krwi potoczył się jad. Kiedy wyciekła ostatnia kropla, Wiedźma cisnęła węża w krzaki.

– Niech się lufy moczą, a tymczasem nasze ziółka chyba już gotowe. Pijcie, wachmistrzu – powiedziała, unosząc głowę żołnierza tak, jak podtrzymuje się kogoś bardzo chorego, i wlała mu do ust gorący wywar. Mimowolnie przełykał gorzki płyn. – Dobrze, starczy. Leż teraz, synku, i patrz. Wezwiemy Tagchla Mebar – powiedziała, kiedy przełknął już dość. Ostrożnie zdjęła z ramienia ropuchę, drżącymi dłońmi rozsnurowała luźny gorset sukni i zsunęła ją z siebie, obnażając starcze ciało, wychudłe i pomarszczone na ramionach i nogach, o zwiędłych piersiach i otłuszczonym brzuchu i poślądkach. Naga zniknęła na chwilę w szałasie, skąd wyciągnęła ludzką kość, łopatkę, i cisnęła ją w ogień wraz z ziołami. Piaskiem wysypała lewoskrętną swastykę na mchu, usiadła na skrzyżowaniu belek złamanego krzyża. Sięgnęła do ognia, wyciągnęła opaloną łopatkę, nie zważając na to, że skóra na palcach syczy w zetknięciu z gorącą kością. Otarła ją starannie z sadzy i wpatrzyła się w sieć pęknięć, odnajdując na nich ochronną mantrę, która zaraz pociekła przez jej usta.

– Om Tara tutare, ture mama ayur punye, jnana pustim kuru, swaha.

Wyszeptała mantrę trzykrotnie, aby nagle powiedzieć całkiem głośno i wyraźnie, po polsku:

– Tagchla Mebar, przybywaj, na wszystkie duchy Aharty, na Władcę Podziemnego Świata, zaklinam cię, przybywaj, Tagchla Mebar!

Kiedy wypowiedziała ostatnią sylabę, swastyka pod jej ciałem nagle zapłonęła. Porohowiecka wstała, jej zmarszczona skóra kurczyła się, wygładzając zmarszczki i jednocześnie zmieniając kolor z cielistego na liliowy, piersi, obwisłe do pępka, wzniosły się, zjędrniały, jakby podźwignęły je niewidzialne dłonie kochanka, siwe tłuste włosy poczerniały i wiły się jak węże. Porohowiecka stała teraz w ciele dorodnej trzydziestolatki o szerokich biodrach i pełnych piersiach, na kibici pojawił się złoty łańcuszek z wisiosem, a paznokcie wydłużyły się w spiczaste szpony i pokryły ozdobami. Zanurzyła długi pazur w misie i przesunęła krwawym śladem po wargach, po ciemnych sutkach, dotknęła łona i czoła, znacząc je czerwienią.

W ognisku zaś stanął olbrzym o ludzkim, lecz sinoliliowym ciele z głową tygrysa, ogromny, trzymetrowy, z naszyjnikami z czaszek ludzkich na szyi. W pięści jak łeb wołu dzierżył dziwną broń, miecz z głownią rozszerzającą się w ostrze dwusiecznego topora.

– Tagchla Mebar! – krzyknęła Porohowiecka, a demon warknął coś niezrozumiale i usiadł na ogniu w pozycji lotosu. Spod tygrysiej przepaski biodrowej sterczał potężny rzap.

– Yab-yum – wycharczał demon przez tygrysie kły i odmłodzona Porohowiecka podeszła doń, weszła w ogień i otoczyła lędźwie olbrzyma nogami.

Kiedy skończyli, Tagchla Mebar zepchnął oszołomioną Wiedźmę z siebie, wstał, uniósł bezwładne ciało Rzeszotarskiego jedną ręką, przysunął twarz wachmistrza do swojego tygrysiego pyska i wyszeptał mu do ucha trzy słowa w języku podziemnego świata, Aharty, które wachmistrz zrozumiał, a w których zawierała się cała nauka potrzebna, by stać się bodhisattwą-kszatriją, Oświeconym Wojownikiem. Wachmistrz nagle zrozumiał, co miała na myśli Wiedźma, mówiąc o kręgu sansary, o nirwanie, którą można osiągnąć, wyrывая się z sansary przez bodhi, zrozumiał jednoczący dwoistość sens buddyjskiego yab-yum. Pojął wszystkie sanskryckie słowa, jego umysł cofnął się sześć tysięcy lat, do indoeuropejskiej Urheimat, do miejsca, gdzie prajęzyk stepowych wojowników o bladej skórze i jasnych włosach był wspólnym przodkiem polszczyzny, którą Rzeszotarski władał od dziecka, i sanskrytu, który pojął w akcie oświecenia.

Zrozumiał też, czym jest rozciągający się pod wszystkimi kontynentami podziemny świat, Aharta, wraz z jego wszechwiedzącym władcą, wiedział już, że wejście do Aharty kryje się w mongolskich górach, Sajanach. Strzeże go plemię Caatanów, hodujące renifery i czczące duchy ziemi, z ludu Urinchaj, pogardzane przez wszystkich Mongołów, ale nietykalne. Aby dotrzeć do bramy, od wschodniego krańca jeziora Chubsuguł trzeba iść wzdłuż południowego brzegu, między modrzewiami, potykając się o białe kamienie, i w dniu, w którym wielkie szare śmy wysypują się na świat, aby złożyć grona swoich żółtych jaj w zakamarkach lasu, a potem umrzeć w wodzie i pokryć przybrzeżne, zimne wody Chubsuguł białym kobiercem swoich ciał, kołysanym przez spokojny rytm przyboju, wtedy należy iść w

górze, jechać, aż powietrze stanie się mroźne i aż odnajdzie się strome, powiązane z kijów szalasy Caatanów, zupełnie inne niż mongolskie gery. Tam trzeba złożyć dar strażnikom wejścia, z białego, rosłego renifera albo z młodego człowieka, a oni otworzą bramę do Aharty, za którą kryje się cała mądrość podziemnego ludu.

Tygrysogłowy dmuchnął w twarz żołnierza oddechem niosącym duszny zapach jaśminu i Rzeszotarski nagle odzyskał władzę nad ciałem. Tagchla Mebar rozerwał mu bluzę i koszulę, zanurzył palec w wilczej krwi i wyrysował na piersi Rzeszotarskiego ośmioszprychowy czakram dharmy, po czym, pośliniwszy palec, przerwał okrąg w jednym miejscu.

– Oto przerwany krąg sansary, oto znak twojego wyzwolenia – powiedział demon w języku Aharty, odwrócił się, wstąpił w ogień i zniknął. W płomieniach Rzeszotarski dojrzał obojętną, zimną duszę hrabiego Porohowieckiego. Hrabina, już w swoim zwykłym, starczym ciele, podniosła się z ziemi, wstydliwie zasłaniając się przed wzrokiem Rzeszotarskiego, włożyła balową suknię i posadziła sobie ropuchę na ramię.

– Idź teraz, kszatrijo, śladami twoich przodków, Ariów, wróć do mnie za miesiąc – przykazała, wyciągając z misy lufy i kładąc je starannie obok rozłożonych pistoletów. – Twoja broń nigdy się nie zatnie, a każdy pocisk przelatujący przez lufę nasiąknie żmijowym jadem. Będziesz strzelał szybko i celnie, duch wilka wstąpił w stal i w twoją pierś, twoje pistolety będą jak członki twojego ciała, będziesz je czuł, tak jak czujesz swoje ręce i nogi – zakończyła uroczyście.

Wachmistrz wstał, złożył swoje browningi i schował je do kabur. Ciało wypełniała mu moc, jakiej wcześniej nie znał, wciągnął mocno powietrze do płuc i poczuł duszę wilka zaklętą w stali, poczuł też inne dusze w trawie i w drzewach, w motylu i pająku, tak jak czuje się ziarna, zanurzając dłoń w worek pełen złotej pszenicy.

– Jestem Akas, z plemienia Ariów, cztery tysiące lat temu jechałem rydwanem przez step, na południe, ku bogatym miastom Indusu – powiedział przyjaźnie konik polny do wachmistrza, ale żołnierz nie słuchał.

Ruszył przed siebie, Tagchla Mebar zdradził mu, gdzie są ścieżki przez wszystkie bagna świata, przeszedł więc pewnie kilka kroków, potem pobiegł, nogi niosły go tak samo jak wtedy, kiedy miał dwadzieścia lat i biegł w stronę bolszewickich okopów, w spieszony szarży na bagnety. Wtedy biegł, wypluwając płuća, bo wszyscy biegli, cały szwadron, a trzydzieści lat później, kiedy został bodhisattwą, nie czuł nic, żadnego zmęczenia, oddech miał równy i powolny nawet po godzinie. Zatrzymał się dopiero wieczorem, pochwycił ćmę i zapytał ją, gdzie znajdzie uroczysko dość dobre, aby stało się od dziś jego matecznikiem. Ćma, czepiając się załamań małżowiny ucha, opowiedziała Rzeszotarskiemu o niedostępnym miejscu w Lasach Włodawskich, otoczonym trzęsawiskiem głębokim tak, że łośia kryje po nozdrza. Pobiegł więc tam, widząc mimo ciemności. Kiedy dotarł na miejsce, mokry i oblepiony szlamem, wydarł z darni kamienie i ułożył je w owo, niewielki stos. Podarł mokrą koszulę i przyozdobił swój nowy ołtarz wstęgami niebieskiego płótna, wyjął z kieszeni nabój

i położył na owoo jako pierwszą ofiarę, złożył ręce i pokłonił się przed swoim świętym miejscem.

– Oto wybudowałeś swoje owoo tam, gdzie pochowano ciało Gota, którym byłem dwadzieścia stuleci wcześniej – powiedziała ćma, a Rzeszotarski skłonił się ćmie, składając dłonie, odmówił ochronną mantrę i poszedł na swoje pierwsze łowy.

Cztery lata później, w roku 1953 po narodzeniu Chrystusa, owoo wachmistrza Rzeszotarskiego było różnorodne w swym bogactwie, niczym gabloty w częstochowskim klasztorze wypełnione wotami od pielgrzymów, których modlitwy zostały wysłuchane. Między kamieniami leżała przemoczona deszczami legitymacja PZPR, kłamra od sowieckiego pasa, kosmyki włosów wyrwane razem ze strzępką skóry, zaśniedziały Order Budowniczego Polski Ludowej, strzępy podartego tałesu, Krzyż Walecznych z kwoką zamiast orzełka w koronie, stłuczone okulary, ludzka czaszka i srebrne pióro. Legitymację PZPR Rzeszotarski przyniósł na owoo po pierwszych łowach. Nocą, czarny od bagiennego szlamu jak diabeł, o gorejących oczach, wczołgał się między niskie drewniane chałupki Dubeczna i zapytał psa, przykutego do budy krótkim łańcuchem, gdzie mieszka Jan Żyłka, znany w powiecie komunista. Pies wskazał mu gospodarstwo. Rzeszotarski wspiał się po zrębie chałupy na dach, rozsunał snopki strzechy, wkrał się na strych i przez klapę w powale opuścił się do izby. W łóżku pod pierzyną spał Jan Żyłka, działacz PZPR i ormowiec, oraz jego żona, bezpartyjna. Wachmistrz zastrzelił Żyłkę, nie budząc go nawet, zbudziła się za to żona komunisty i zaczęła wyć, jakby od razu, widząc podziurawioną głowę męża, zdała sobie sprawę ze smutnego losu wdowy. Nie zważając na wrzeszczącą babę, Rzeszotarski wypchnął okno razem z ramą, zabrał ze stołu legitymację partyjną i uciekł w noc. Na dworze strzelił trzy razy w strzechę, a duch wilczy, zaklęty w węglowej stali, odczytał intencję bodhisattwy i rozgrzał mosiężne płaszcze pocisków, kiedy te przeciskały się przez skręcone bruzdy gwintów. Kule ugrzęzły w słomianym dachu, snopki zaskwierczały i zajęły się ogniem, najpierw wątlym i niemrawym, lecz rozkwitłym nagle, zanim jeszcze wachmistrz uszedł spod chałupy. Ukrył się w pobliskich zaroślach, przygotował drugi pistolet i czekał. Z płonącej chałupy wybiegła żona ormowca, unosząc dwójkę dzieci, wrzeszczała i wołała o pomoc. Ormowców w Dubecznie było ośmiu, dobrze uzbrojonych, wachmistrz liczył, że przyjdą w sukurs kamratowi i rzeczywiście, po chwili zaczął się w uśpionej wsi ruch. Rzeszotarski, schylony, poszedł między zagrody. Wybiegający z chałup chłopcy nie zauważali przyczajonej przy ścianach i płotach postaci, a wachmistrz krążył po wsi, aż spostrzegł pierwszego uzbrojonego człowieka. Nie miał wątpliwości, cztery lata po wojnie już tylko ormowiec ośmieliłby się wybiec z chałupy z karabinem, zwykli chłopcy albo broń oddali dawno na UB, albo pochowali głęboko pod klepiskami stodół, wyciągając rdzewiejące spluwy tylko wtedy, kiedy szli kłusować. Zbliżył się do zbrojnego niepostrzeżenie i kiedy poznał Stanisława Sobczaka, ormowca, pociągnął za spust. Sobczak działał w ubeckim komandzie „kominiarzy”, osobiście był u Porohowieckiej, zasłużył więc na śmierć.

Tej nocy wachmistrzowi udało się wytropić jeszcze dwóch, po czym we wsi zrobiło się już zbyt gorąco, uciekł więc do lasu i pognął do matecznika. Na owoo położył pezetpeerowską legitymację, złożył dłonie w ofiarnym geście. Po strzelaninie w Dubecznie po „Moskwach”, jak nazywano wsie sprzyjające komunistom, zaczęły krążyć opowieści o zbrojnym w dwa pistolety leśnym, który nie boi się wejść do wsi i zabijać, biega bezszelestnie, widzi w nocy i nigdy nie chybia. W chełmskim UBP nikt nie wierzył w chłopskie bajdy, bo wszyscy w postęp, całą akcję przypisano więc Edwardowi Taraszkiewiczowi „Żelaznemu”, zwłaszcza po tym, jak Żelazny w październiku 1949 roku ot tak sobie zdobył na dworcu w Stulnie przesyłkę z chełmskich i włodawskich powiatowych UB do WUBP w Lublinie, zawierającą dokładne dane agentów Urzędu w obu powiatach. „Żelazny” zaczął na podstawie zdobytych dokumentów likwidować ubeckich szpicli, jednego po drugim, paraliżując pracę wywiadowczą bezpieki, i pozabijanych ormowców z Dubeczna również zaliczono na jego konto. Rzeszotarski zaś siedział pod olchą, układając ciało według którejś z asan i medytował, opierając ciałem o pień drzewa. Siedział tak dzień i noc i w medytacyjnym bezruchu wsłuchiwał się w obroty zazębiających się wzajemnie sansar wszystkich bytów wokół matecznika, sansara ómy popychała tryby sansary nietoperza i tylko jego własna stała w miejscu, cały świat więc wirował wokół czakramu, który Tagchla Mebar wyrysował wilczą krwią na piersiach wachmistrza. W roku, na który przypadały jego pięćdziesiąte urodziny, Rzeszotarski tylko dwa razy otworzył oczy i przerwał medytację, wychodząc na łowy. Za pierwszym razem powrócił z potrzaskanymi okularami pewnego sowieckiego doradcy nazwiskiem Moritz, złożył je jako wotum na owoo, doskonale obojętny i spokojny, po czym ponownie zastygł pod olchą, wtapiając się w otaczający go zgiełk istnień. Po trzech miesiącach wyszedł znowu i nie wracał na bagno przez trzy dni, zaczajony w leśnej zasadzce, i w końcu pojawił się z oderżniętą głową Michała Bańki, chłopca ze wsi Mońki, który, kiedy żył, na zlecenie chełmskiego PUBP angażował się z rozkoszą w różne gry operacyjne. Bańka był odważny, przystawał do leśnych oddziałów, podając się za partyzanta zbiegłego z rozbitego zgrupowania, a potem uchodził pod pretekstem odwiedzin u kobiety, jednakże zamiast do babskiego kpa, szedł do urzędu, zdradzał ubejcom meliny i osobiście brał udział w zbrojnych likwidacjach. Po akcji szedł w las, samotnie, wypytywał ludzi o leśnych, łatwo zdobywał zaufanie, trafiał do kolejnego oddziału i podawał się za zbiega, jedyne ocalańca. Sześć razy w ciągu czterech lat udało mu się powtórzyć cały rytuał zdrady, skończył z trzema kulami w piersi, a jego głowa, urżnięta bagnetem, skończyła jako dar wotywny na owoo wachmistrza Rzeszotarskiego.

Ubejcy zauważyli działalność wachmistrza dopiero po śmierci Taraszkiewicza. „Żelazny” zginął z bronią w ręku, a w powiatach lubartowskim, włodawskim, chełmskim i parczewskim lojalni obywatele Polski Ludowej dalej marli jak muchy. Nie tylko wachmistrz zabijał komunistów, działali jeszcze Wiktor i Lalek, lecz chłopstwo po jarmarkach i szynkach szeptało wieści, które szybko zlepiły się w legendę. Bajka przeciekła do ORMO i MO,

milicjanci pochodzili z wiosek i kiedy w swoich rodzinnych domach słuchali niezbyt skrętnie ukrywanych plotek, zimny pot ciekł im po plecach, pod nagle wstrętym mundurem. Potem zaczęli gadać żołnierze KBW i wreszcie legenda rozprzestrzeniła się w szeregach samego Urzędu, szczególnie między dawnymi partyzantami AL, którzy – mimo deklarowanego światopoglądu marksistowskiego – pozostali przesądni jak wszyscy wieśniacy.

Po pół roku trosk WUBP w Lublinie wieść dotarła jakoś do centrali i stała się sprawą wagi państwowej. Na szczeblu ministerstwa sam wiceminister Mietkowski nakazał zdecydowane rozwiązanie kwestii nieznanego z nazwiska i pseudonimu odinoczki, psującego resortowe morale. Wszyscy w Lublinie zdawali sobie sprawę, że jeśli sprawa samotnego partyzanta nie zostanie szybko rozwiązana, to polecą głowy. Ubejcy dobrze wiedzieli, jak wygląda życie w tuiumie, i wcale nie mieli ochoty na poznawanie tej rzeczywistości z innej perspektywy niż dotychczas. Poruszono więc całą lubelską siatkę agentów, werbowano nowych, rezydenci po wsiach dwoili się i troili, próbowano prowokacji, sprokurowano nawet skomplikowaną grę operacyjną, w której agenci udawali oddział partyzancki w Lasach Parczewskich. Aby zbudować mocną legendę, dokonali paru rekwizycji po spółdzielniach i rozpuścili wici, że zbierają ludzi celem zbrojnego przebicia się na Zachód w zarekwirowanych ciężarówkach. Złapało się na ten lep dwóch leśnych, ukrywających się po chłopskich zagrodach, ale ubejcy przesłuchujący wycieńczonych i złamanych konspiracją partyzantów szybko przekonali się, że żaden z nich nie jest tym, na którego zastawiono sidła. Gra operacyjna zakończyła się gwałtownie. Pewnego razu umówiona skrzynka kontaktowa, gdzie udający partyzantów agenci pozostawiali wiadomości dla Urzędu, okazała się pusta. Po trzech dniach bez łączności z prowadzącymi grę agentami lubelscy ubejcy postanowili nawiązać z nimi kontakt, nawet za cenę dekonspiracji. W lesie znaleźli tylko osiem trupów, podziurawionych kulami kaliber 9 mm. Broń zabitych zabrano, ale ułożenie ciał, łusek i śladów po kulach na drzewach dowodziło, że fałszywi leśni nie zostali wzięci z zaskoczenia, na pewno bronili się zawzięcie. Pierwsza analiza do użytku wewnętrznego w resorcie stwierdzała, że zbrodni dokonało przynajmniej kilku partyzantów, jednakże wkrótce wykonano ekspertyzę balistyczną i okazało się, że wszystkie pociski pochodziły z tych samych dwu luf, z których wcześniej zabijał odinoczka. Raportów o partyzancie strzelającym z dwóch pistoletów naraz było zbyt wiele, aby przypuszczać, że agentów zastrzelić mogło więcej ludzi. Drugą część raportu, o objawach zatrucia ran stężonym jadem żmii zygzakowatej, odrzucono jako niezgodną z materializmem dialektycznym, oficjalnie udzielając odpowiedzialnemu za nią lekarzowi sądowemu nagany z wpisem do akt.

Skoro podstęp zawiódł na całej linii, ubejcy postanowili użyć tężej siły. Urządzili ogromną obławę, wzięło w niej udział ponad tysiąc ludzi, żołnierze KBW i z chełmskiej brygady WOP, milicjanci, ormowcy i pracownicy Urzędu. Rzeszotarski siedział pod drzewem w swoim mateczniku, medytował i słyszał przechodzących żołnierzy w zielonych mundurach,

i czuł ich dusze. Żaden z nich nie skierował się w jego stronę, chociaż poszczególne plutony powyciągały ze wsi chłopów, którzy pod groźbą broni służyli im teraz jako przewodnicy na mokradłach.

Później szła druga fala obławy, las i bagna ubejcy kazali czesać jeszcze staranniej, żołnierze dźgali bagnietami w wykrotach, szukając bunkra, szły psy tropiące, a nad lasem krążyły dwupłatowe pociaki z WOP-u, samoloty zmieniały się i patrolowały las całą dobę, obserwatorzy wychyleni z tylnych kabin nieustannie wypatrywali chociażby najcieńszej smużki dymu między drzewami. Rzeszotarski słyszał terkoczące silniki aeroplanów, ale od dawna nie palił już ognia, a przed wzrokiem obserwatorów troskliwie osłaniały go olszynowe liście. Słyszał też znowu żołnierzy, próbowali podejść, ale wycofywali się, kiedy szlam sięgał im po piersi, jeden kapral byłby się utopił, gdyby nie w porę utworzony ludzki łańcuch, który wyciągnął go z bagna. Ta przygoda ostatecznie zniechęciła kabewiaków do eksploracji moczarów i nikt więcej nie zbliżył się nawet do wachmistrzowego matecznika.

W końcu w lubelskim Urzędzie opracowano nową strategię. Rzecz wymagała wewnętrznej konspiracji, bo też jej celem była walka przede wszystkim z niszczącą morale funkcjonariuszy legendą, nie z samym człowiekiem. Ubejcy postanowili więc umniejszać i tuszować czyny „Odinoczki”, jak już oficjalnie określano figuranta sprawy. Czego nie dało się ukryć, przypisywali innym partyzantom i ramię niejednego śledczego omdlewało ze zmęczenia, kiedy razami gumowych pałek, krzesel lub kabli wydobywał ze swoich podejrzanych to, co było najbardziej potrzebne – przyznanie się do zamordowania którejś z ofiar „Odinoczki”. A sam „Odinoczka”, wachmistrz Ignacy Rzeszotarski, pseudonim „Pyra”, wychodził z matecznika na łowy i wracał z wotum na swoje owoo. Czasem szedł do Wiedźmy, ta goliła mu całą głowę i policzki, zostawiając tylko wąsy, wachmistrz składał kobiecie ofiarę ze swoich włosów, całował z szacunkiem jej dłonie, bo była mu matką, i odchodził. Za ledwie jeden raz Porohowiecka poprosiła go o coś więcej niż włosy. Powiedziała wtedy, że czuje nową, dziwną moc w okolicy, i chciała, by poszedł do Lublina, na brzozonej korze krwią zapisała adres. Pod wskazanym adresem mieszkał człowiek, którego Rzeszotarski miał zabić.

Po raz pierwszy od kilkunastu lat wachmistrz założył cywilne łachy, zdarte z pewnego ormowca, który ubrań już nie potrzebował, bo był martwy. Lasami poszedł do Lublina, nocą wślizgnął się do miasta. Między murowanymi domami nie umiał oddychać, bał się, bo nie czuł dookoła siebie duchów drzew, ale odnalazł jakoś adres z brzozonego zwitka, w samym śródmieściu, w starej kamienicy. Wspiął się po wąskich schodach i z bliska sam wyczuł nieznaną mu wcześniej moc, dziwnie silną i słabą zarazem. Stał chwilę przed wejściem do mieszkania, tak blisko, że wąsami dotykał drzwi; nie oddychał, wsłuchiwał się tylko w skrytą za nimi siłę. W końcu, po kwadransie, zaczerpnął trochę stęchłego powietrza, kopnięciem wyważył drzwi i wpadł do środka. Moc promieniowała z niewielkiego człowieka, zgiętego nad książką oświetloną wątłym płomieniem lampy naftowej. Wachmistrz strzelił trzy razy,

niechybnie trafił w głowę i w plecy. Moc zadrgała, kiedy człowiek umierał, i zniknęła, odeszła wraz z jego duchem. Rzeszotarski uciekł oknem, błądził w zaułkach starego miasta, aż spotkał kota, którego poprosił o przysługę, i stary kocur wyprowadził go na rogatki, na przełaj, przez ogrody i podwórka, i dziesiątki płotów. Pobiegnął zaraz do Wiedźmy, by powiedzieć jej, że zrobił to, o co prosiła. Wiedźma ucałowała go w oba policzki, a wachmistrz wrócił do swojego matecznika, aby medytować i czekać, aż znów poczuje zew, wzywający go na łowy.

Jako bodhisattwa czas postrzegał inaczej niż przed inicjacją, jednakże po czterech latach, w pięćdziesiątym trzecim, Rzeszotarski nagle przypomniał sobie o tym, że czas go również dotyczy. Nie ruszał się już od dwóch miesięcy, lecz nagle wstał, ale nie po to, by udać się na polowanie. Poszedł przed siebie, usiadł nad brzegiem Krzemianki, wyciągnął z kabury pistolet i szmatką jął ścierać zeń rdzę. Przez liście na rzekę spadały cieniem rozciągnięte promienie słońca, a wachmistrz wspominał.

Od czterech lat nie miał w ustach pokarmu, czasem tylko pił mętłą wodę z bagien, zanurzał całą głowę i wciągał płyn do żołądka, kładł się potem na mchu i wsłuchiwał się w obojętną reakcję ciała na wodę, przelewającą się przez wyschnięte wnętrza, a teraz, nad rzeką, przywoływał zmysłowe obrazy jada, smak owoców, zapach koperku na gorących kartoflach w kamionkowej misie, aromat rozplywającej się w ustach, mocno wędzonej słoniny i szmer w głowie po wódce, wypitej jednym haustem. Wspominał piersi dziewczyn, które pieścił, wspominał muzykę, orkiestrę grającą „Czerwone maki na Monte Cassino” i pannę w kwiecistej sukience, którą obejmował, słuchając rzewnej piosenki. Wspominał to wszystko bez żalu i bez tęsknoty, bez emocji, za to z pewnym zdziwieniem, że tak łatwo przyszło mu wszystko porzucić. Wspominał więc woń siana w stogu i ciepło, jakie znajduje się w zimowe dni pod grubą pierzyną. Poczł nagle coś, co nie znajdowało wytłumaczenia w całej wiedzy, jaką włął weń Tagchla Mebar. Nie żywił nienawiści do tych, których zabijał, rozumiał ostateczną przyczynę cierpienia, odczuwał miłosierdzie względem siebie, względem swoich ofiar i względem tych, dla których jego ofiary były katami, przepełniało go miłosierdzie względem koni, które kwicząc ginęły, sieczone kulami w zasadzkach, wobec świni, którą gospodarz zabijał, aby godnie przyjąć ukrywających się partyzantów, i wobec gospodarza, który cierpiał, kiedy ubejcy dewastowali mu obejście, a nawet wobec ubejców, którzy obciążali swą karmę złem swoich uczynków. Rozumiał sens czakramu dharmy na swojej piersi, wilcza krew już dawno wżarła się w skórę, nie rozumiał tylko, dlaczego czasem musi iść na polowanie, zamiast po prostu usiąść pod drzewem, zapleść nogi, zetknąć kciuki z palcami wskazującymi i tak już pozostać. Niech porośnie go mech, niech po piersiach i ramionach wespnie się powój, w nozdrzach niech zakwitnie jemiola, niech korzenie roślin wcisną się do jam ciała, a on powoli zapadnie się w torf i będzie tylko trwał, tylko istniał, wsłuchując się w bycie, jak diament na wieki zatopiony w bagnie.

Kiedy stał do końca rdzę z litewskiego browninga, zrozumiał, że odczuwa zbyt intensywnie, zmysły tracą ostrość, mdleją mu mięśnie w prawej ręce... Zapominał powoli wszystko, czego nauczył go Tagchla Mebar, jakby tajemna wiedza Aharty wyciekała mu przez nos i uszy, przesączała się na zewnątrz porami skóry i ulatywała, gnana wiatrem, na wschód, ponad stepy Ukrainy i Kazachstanu, ślizgała się nad stokami Ałtaju, wpadała między czumy Urinchajców i przez bramę wracała w podziemia. Czy można zejść z drogi bodhisattwy przez wspomnienie jada? I tak, w 1953 roku po narodzeniu Chrystusa, w jedenastym roku w lesie i czwartym roku na drodze bodhisattwy, wachmistrz Ignacy Rzeszotarski, odnajdując gdzieś na dnie duszy swoją śpiącą wolę, obudził ją i uznał, że musi pójść do Wiedźmy po odpowiedź. Schował pistolet do kabury i ruszył w drogę, i po raz pierwszy od czterech lat bolały go nogi. Marsz do matecznika Porohowieckiej dłużył mu się nadzwyczajnie, bo szedł, zamiast biec, i dotarł na miejsce znużony i słaby. Wiedźma czekała na niego. Kiedy wspiął się w końcu na pokrytą mchem kępę, starucha od razu zaczęła mówić, odpowiadając na pytanie, które odczytała w jego głowie.

– Na świecie toczy się walka, uczestniczą w niej różne wojska, a ty, synku, walczysz w szeregach podziemnego królestwa Aharty. Wrogiem nam jest wszystko, co stanowi zaprzeczenie cnót starożytnych Ariów, co odrzuca starą wojenną tradycję i metafizyczny podział na trzy kasty, wojujących, wiedzących i pracujących, wszystko to, co wypiera transcendencję i zastępuje ją materializmem, to, co proponuje egalitaryzm zamiast ścisłego podziału, słowem wszystko to, co gwałci starą tradycję Ariów, zatruwając ją semickimi miazmatami. Naszym celem są rządy rycerzy mnichów, kszatrijów, naszymi ideałami są siła, miłosierdzie, odwaga i śmierć. W tej walce obecnie naszym największym wrogiem jest semicki komunizm, który od dekady włada Polską, a od trzech dekad Świętą Rusią. Walczył z nim bodhisattwa Roman Ungern von Sternberg, Krwawy Baron, chan Mongolii i Wszechrusi, lecz przegrał, teraz walczysz ty i też przegrasz, ale twoja walka ma swój potężny karmiczny sens, twoja walka jest drogą dharmy. Kiedy pokonamy semicki komunizm, do sił powróci nowy wróg, semickie chrześcijaństwo, rzymskie albo bizantyjskie, tak samo wrogi duchowi Ariów i tradycji, dziś tylko słabsze. Z nimi też już walczyłeś, człowiek, którego zabiłeś w Lublinie, był katolickim księdzem egzorcystą z Krakowa, który przyjechał tutaj, w Lubelskie, w konspiracji, bo wyczuł potężną moc Tagchla Mebara. Tygrysogłowemu spodobało się go zmiążyć i ty byłeś jego pięścią. Tygrysogłowy pragnie objawić się leśnym w całej wschodniej Polsce i oświecić ich, aby wkroczyli na ścieżkę bodhisattwy, i leśni wyjdą ze swoich kryjówek już lada dzień, promieniejąc siłą i odwagą, i każdy młody chłopiec, któremu w duszy gra gdzieś jeszcze wspomnienie walecznych przodków, tych, co nieśli ogień i miecz w dolinę Indusu, wstąpi w szeregi tej armii mnichów i w całej Polsce dokona się powstanie, inne niż wszystkie, bo będzie to powstanie ducha, gdzie militarna siła, oparta na duchowej wzniosłości, będzie tylko narzędziem i środkiem realizowania naszej duchowej przewagi nad semickim komunizmem i chrześcijaństwem, dlatego też będzie to pierwsze powstanie

zakończone zwycięstwem, i zarazem ostatnie, bo po nim nastanie Wielka Polska, kraj klasztor, gdzie chłopci będą uprawiać ziemię, wiedzący, tacy jak ja, służyć radą, a wy, kszatrijowie, zaniesiecie wojnę na każdy skrawek Eurazji, od stepów Mongolii po Gibraltar. Tagchla Mebar nie mógł pozwolić, aby ten wzniosły plan zniweczył swoimi czarami sługa semickiego Jahwe, nie mógł mu pozwolić na to, by zamknął wejście do Aharty, które Tagchla Mebar stworzył tutaj, w moim ognisku. Dlatego musiałeś go zabić!

Wiedźma mówiła, a Rzeszotarski czuł, że słabnie. Zobaczył nagle swojego ojca kolejarza, jest rok 1910, Ignacy wraca ze szkoły i w domu mówi tatusiowi, że głupi klecha kazał im się uczyć na pamięć całego *Credo* po łacinie. Wie, że ojciec nie chodzi do kościoła i liczy, że zdobędzie zarówno jego podziw, jak i sympatię, lecz ojciec bez zwłoki wymierza synowi piekący policzek i mówi, nie podnosząc głosu, że o kapłanach nie można mówić inaczej jak z szacunkiem, chociażby się nawet nie chodziło do kościoła, bo to jest kwestia elementarna. Ta lekcja, wypisana gdzieś głęboko w duszy Ignacego, została zapamiętana, chociaż przykryło ją późniejsze życie i wiedza Aharty. Teraz piekący ból w policzku powrócił. Porohowiecka popatrzyła w oczy tego, którego nazywała synkiem, zrozumiała, co nastąpi, i poddała się karmie, klękając na mchu i składając dłonie.

Rzeszotarski odpiął klapy kabur i wyciągnął oba pistolety, podniósł na wysokość głowy klęczącej Wiedźmy i strzelił. Kule opuściły lufy, uwalniając wilczego ducha, pozbawiona transcendentnego lepiszcza stal straciła swoją spoistość, ustąpiła ciśnieniu płonących gazów i rozerwała się, lecz kule pobięły przed siebie i zabiły hrabinę Porohowiecką. Rzeszotarski wypuścił z rąk obumarłą broń i poczuł, że po piersiach spływa mu wilcza krew, czakram dharmy zamienił się w strużki rdzawego płynu. Odwrócił się i odszedł z matecznika, bezbronny po raz pierwszy od początku wojny, powłókł się przez mokradła wycieńczony i głodny, przypomniał sobie zagrodę pewnego gospodarza, który kiedyś był mu życzliwy, może zgodzi się udzielić mu schronienia do czasu, aż wróci do zwykłych ludzkich sił.

Kiedy doszedł do drogi, usłyszał męski głos, znany, lecz przez zamęt w głowie nie potrafił przyporządkować go do osoby.

– Idzie! – powiedział po prostu mężczyzna, widocznie ostrzegając swych towarzyszy.

Wachmistrz był zbyt słaby, aby uciekać, stał więc na drodze i czekał, i po chwili omiół go snop elektrycznej latarki.

– To on – powiedział ten sam głos i Rzeszotarski skojarzył tembr z osobą. Na drodze czekał nań kolega z lasu, Józek Franczak, zwany „Lalkiem”, i celował do wachmistrza z pistoletu maszynowego.

– Jest ksiądz pewien, że powinienem to zrobić? – zapytał „Lalek”.

– Tak, jestem pewien, panie sierżancie „Lalku” – odpowiedział z ciemności głos człowieka, którego wachmistrz nigdy wcześniej nie słyszał.

– Dobrze. Słuchajcie uważnie, wachmistrzu Rzeszotarski. W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, jako członek organizacji Wolność i Niezawisłość w konspiracji, ja, sierżant Józef

Franczak, pseudonim „Lalek”, wykonam na was wyrok śmierci, na który skazało was kolegium w składzie: obecny tutaj ksiądz Jan Mossor, pan radca prawny Antoni Władyka i ja, sierżant Józef Franczak, za zabójstwo księdza Piotra Ziemskiego, dokonane w Lublinie dnia trzeciego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Czy przyznajecie się do winy? – zapytał.

Rzeszotarski powoli pochylił się ku ziemi, oparł się rękami, po czym usiadł. Dłonią gładził nawierzchnię drogi, ostry żwir drapał stwardniałą skórą. Był spokojny.

– Przyznaję się – wyszeptał.

– Z powodu waszych zasług we wcześniejszej walce z Niemcami i bolszewikami macie prawo do ostatniego słowa. Jeśli chcecie, abym coś komuś przekazał, rodzinie albo bliskim, mówcie, zrobię wszystko, o co poprosicie, wachmistrzu – powiedział partyzant.

– Rób swoje, „Lalek” – odpowiedział Rzeszotarski.

Franczak odwrócił się do księdza i spojrzał nań pytająco.

– Nie wyczuwam w was diabelskiej obecności, panie wachmistrzu. Czy zechcecie się wypowiadać? – zapytał nieśmiało kapłan.

– Nie, żadnych spowiedzi. Niech ksiądz sobie już pójdzie, nic tu do oglądania, takie zabijanie to nie dla księdza – odparł wachmistrz.

Kapłan posłuchał, odwrócił się i odszedł na parę kroków w ciemność.

Franczak oparł kolbę pepeszy o ramię, wycelował i pociągnął za spust, kule, wystrzelone w krótkiej serii, uderzyły w pierś i głowę wachmistrza Ignacego Rzeszotarskiego, pseudonim „Pyra”. Stary żołnierz powoli przechylił się, legł na żwirze drogi, zacisnął pięści, rozluźnił je i umarł. Kapłan wrócił i uczynił znak krzyża nad wychudłym ciałem.

– Mam nadzieję, że się ksiądz nie pomylił – mruknął sierżant „Lalek”.

– Nie, panie „Lalku”, nie pomyliłem się. Wiem to ze źródła, które się nie myli, i wiem również, że tu się kończy nasza misja, bo czarownica już nie żyje, czuję to na pewno – odparł z przekonaniem kapłan.

„Lalek” pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Zepchnął trupa z drogi, zarzucił automat na ramię, zaszalutował księdzu i rozdzielili się, znikając w lesie.

* * *

W 1953 roku po narodzeniu Chrystusa pierwszym sekretarzem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego został Nikita Chruszczow, znany wcześniej jako „Rzeźnik Ukrainy”. Ian Fleming opublikował w Londynie *Casino Royale*, pierwszą powieść o Jamesie Bondzie, ukazała się też dystopijna powieść Raya Bradbury’ego o paleniu książek, pod tytułem *Fahrenheit 451*. W pogoni za wizjami z wertowanych za młodu opowiadań i komiksów science fiction naukowcy z Remington Rand zbudowali komputer UNIVAC 1103 – pierwszy komputer wyposażony w pamięć RAM. W Warszawie premierem i gensekiem PZPR był

Bolesław Biernacki, powszechnie znany jako Bolesław Bierut. Telewizja Polska rozpoczęła nadawanie regularnego programu, a z taśm Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu zjeżdżały kolejne warszawy M-20, nie wyposażone może w automatyczną skrzynię biegów i składany elektrycznie dach jak ford crestline victoria i z silnikiem o połowę słabszym, ale za to na darmowej sowieckiej licencji i stanowiące, jak pisała zakładowa gazetka FSO, „wspaniałe zwycięstwo nad ciemnymi siłami imperializmu usiłującymi popchnąć świat w odmęty nowej, krwawej rzezi wojennej”.

Pilchowice–Gliwice, maj–czerwiec 2007

**ŻYWOT I ŚMIERĆ
ŚW. FELICJANA**

Jan Pieper, mistrz szewski, spełnił się. Katarzyna Pieperowa, oplatająca dotąd nogami potężne łądzwie męża, niemal w tym samym momencie przeżyła potężny spazm i krzyknęła:

– O, Jezu!

Jan zsunął się z cudownie obfitego ciała żony, przygarnął ją do swej byczej piersi i mruknął:

– No, Kachna, no...

Żona uczyniła szybko znak krzyża, nałożyła koszulę nocną, którą z niej ściągnął, i wtuliła się w ciepłe ciało męża.

Pieperowie zasnęli szybko, spokojnym snem ludzi zacnych.

Felicjan Pieper został poczęty.

Wojska Mansfelda nadciągały powoli w kierunku Gliwic.

* * *

Popielaty mercedes coupe łączywie połykał rozdzielające jezdnię pasy na drodze do Łomży. Nie zwalniając ani na chwilę, mijał nieliczne maluchy, syrenki i duże fiaty. Z radiomagnetofonu Bosch sączyła się zachodnia muzyka, przerywana czasem ciepłym barytonem Piotra Kaczkowskiego. Kierowca przypominał bohatera amerykańskiego filmu. Szeroki kołnierz wzorzystej koszuli wyłożył na elegancką marynarkę, włosy przygładził pomadą, na nosie miał ciemne okulary w złotej oprawce, na owłosionej piersi złoty łańcuch. Gdyby ktoś mógł uchylić poły jego marynarki, obraz twardziela byłby kompletny – pod pachą nosił pistolet, w paskudnej kaburze na gumowych szelkach.

Kierowca mercedesa miał w zasadzie wszystko. Pod Krakowem miał piękną willę, z całkiem gustownymi meblami. Na ścianach wisiało dwóch oryginalnych Malczewskich, kolekcja broni białej i kilka zabytkowych zegarów (przebiegły z Zachodu, prezent od kolegów z wydziału pierwszego), na specjalnej półeczce stał zachodni telewizor i magnetowid, w salonie szafa ze sztucerkami i dubeltówkami, nad nią myśliwskie trofea – feudalny symbol przynależności, który gładko przechodzi z jednych elit na kolejne. Po ogrodzie pętał się piękny wyżeł, po domu zaś piękna dziewczyna, dla której luksus, pieniądze, zagraniczne ciuchy i wakacje w Jugosławii były wystarczającą rekompensatą za status oficjalnej kochanki

bez szans na małżeństwo. Mężczyzna nie wymagał wiele – tylko tyle, żeby jej długonogie i krągłe ciało było do jego dyspozycji, kiedy przyjedzie do domu, zażyć odpoczynku wojownika. Co nie zdarzało się zbyt często.

Oprócz domu, niemieckiego samochodu, kochanki i ukrytego pod obrazem sejfu z dewizami mężczyzna miał jeszcze karierę, w Firmie. Praca wynosiła go ponad ludzi w szarych płaszczach, stojących w kolejkach po chleb, mięso i flaszkę wódki, wynosiła go ponad brodatych opozycjonistów, z których co drugi pisał płatne donosy, i ponad partyjnych działaczy, którzy potajemnie jeździli do kościoła na drugi koniec miasta. W Firmie piął się do góry powoli, właściwym, równym tempem – ani zbyt wolno, by nie przykleić się do jakiegoś stołka, ani zbyt szybko, by nie wzbudzić zawiści czy złości. W zasadzie zawiść wzbudzał i tak, bo nie każdego kolegę w stopniu kapitana pieniądze tak lubiły, jak jego; nie każdy też cieszył się przyjaźnią i opieką starego generała Anysza. Anysz, weteran Gwardii Ludowej i pierwszych lat PRL, był już, co prawda, na emeryturze, ale zachował potężne wpływy.

Mężczyzna, który miał wszystko, nie zwracał uwagi na wściekłe odgłosy klaksonów szaleńczo wyprzedzanych samochodów – gdyby wiedzieli, kim jest, nie trąbiliby. Nie myślał też o sączącej się z głośników amerykańskiej piosence, nie rozkoszował się nawet basowym klangiem stuczterdziestokonnego silnika ani pędem powietrza w otwartym szyberdachu. Kierowca mercedesa myślał tylko o schowanej w bagażniku aluminiowej walizeczce, której zawartość stanowiła powód jego podróży.

Nie myślał też o tym, że jego popielaty mercedes gna po wojewódzkiej drodze sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Kiedy wyjechał wreszcie na przecinającą las prostą, nie mając przed sobą żadnego zawalidrogi, wcisnął gaz jeszcze mocniej. Machającego lizakiem milicjanta zignorował. Kiedy po chwili na drogę za nim wyskoczył mrugający niebieskimi szklankami duży fiat, rozważył przez chwilę, czy się nie urwać – miał potężny samochód, dałby radę, a gliniarzom się odechce, kiedy zagrzeje im się silnik – ale nie chciał ryzykować blokady w najbliższym mieście. Zmełł więc pod nosem przekleństwo, zwolnił i zjechał na pobocze.

Jak wielki błąd popełnił, zorientował się dopiero wtedy, kiedy sprawdził wszystkie kieszenie i schowek na rękawiczki. Zapomniał portfela. Jak szczeniak, jak gnojek, jak zapominalski gówniarz. Chciał po prostu machnąć gliniarzowi legitymacją, popatrzeć przez chwilę, dla satysfakcji, jak milicjancina przeprasza i salutuje, i jeszcze plunąć im w oczy piachem spod opon. Tymczasem nie ma przy sobie ani legitymacji, ani prawa jazdy, ani nawet dowodu osobistego, ma za to zachodni samochód, którym uciekał przez milicję, broń pod pachą i pakunek w bagażniku.

– Dzień dobry, obywatelu, kontrola drogowa, prawo jazdy, dowód osobisty, dowód rejestracyjny wozu. Spieszmy się, co? – zapytał tłusty milicjant z sumiastymi wąsami, które upodobały go do Lecha Wałęsy. Kierowca mercedesa spojrzął w lusterko. Drugi gliniarz

siedział w radiowozie i nie spuszczać wzroku z zatrzymanego samochodu, gadał coś do radia.

– Dzień dobry, sierżancie – specjalnie przyjął służbowy ton. – Nie mam dokumentów, musiałem zostawić portfel w domu.

Milicjant aż pokraśniał z radości.

– Nie mamy dokumentów, tak, tak. A wozik niczego sobie, zachodni. Handluje się, co? Bananowa młodzież, co? Włoski na pomadzie, co? Wysiada z wozu! – nagle zmienił ton.

Mężczyzna zaklął pod nosem i wysiadł. Marynarka zaczęła się o pasy bezpieczeństwa i odsłoniła pistolet pod pachą. Milicjant odskoczył i zaczął mocować się ze swoją kaburą. Kierowcy mercedesa przemknęło przez myśl, że dziesięć razy zdążyłby wyciągnąć spluwę albo po prostu kopnąć grubasa w jaja, poprawić piąchą w zęby i jeszcze dobiec do drugiego, który by się pewnie wtedy dopiero gramolił z radiowozu – akurat, żeby przysunąć mu porządnie drzwiami. Spokojnie by go z tego wybronili potem. Ale mężczyzna nie był już tym zawadiackim awanturnikiem, którym był dekadę wcześniej. Był poważnym człowiekiem, myślącym o poważnej karierze. Dlatego spokojnie poczekał, aż milicjant odepnie wreszcie zatrask kabury, wygrzebie z niej pistolet i wyceluje w niego.

– Ręce do góry, bandyto! – ryknął gliniarz.

– Przeladujcie broń, sierżancie. Regulamin zabrania noszenia naboju w komorze, więc mierzycie do mnie nie nabitą bronią – zadrwił mężczyzna, lecz ręce podniósł. Z dużego fiata wywał wreszcie drugi gliniarz, walnęli nim o maskę, rozbroili i skuli ręce na plecach.

– Aleśmy, Zdzisiu, ptaszka chwycili. Zachodnie auto, spluwa pod pachą. Papierów żadnych. Pewnie cinkciarz jakiś. Albo badylarz czy szpieg amerykański, nie? Bo na „Solidarność” to on nie wygląda – cieszył się wąsaty grubas.

– Mnie on raczej wygląda na esbeka, co zapomniał portfela – odparł ponuro Zdzisiek, patrząc na numery służbowego pistoletu P-83.

– Od kiedy do resortu przyjmują zapominalskich donżuanów, co? Poza tym, widziałeś kiedyś esbeka w mercu, co, Zdzisiu? Mówię ci, cinkciarz. Co wozi w bagażniku? – zwrócił się do skutego kajdankami.

– Gównu – odparł zatrzymany.

– Ho, ho, ho, patrzcie go, Zdzisiu, pyskаты smarkacz. – Milicjant podszedł do kierowcy i z całej siły walnął go w brzuch. Mężczyzna zgiął się wpół i zwymiotował całe śniadanie.

– To cię nauczy, gnoju, jak się odpowiada przedstawicielowi władzy na służbie.

Milicjant wyciągnął ze stacyjki klucze, obszedł samochód i otworzył bagażnik.

– No proszę, co my tu mamy, walizeczka. Na zamek szyfrowy. Jaki jest kod? – zapytał.

– Popierdolony – odpowiedział kierowca, z trudem odzyskując oddech.

– Dobrze, bardzo dobrze. Zdzisiek, daj łom.

– Nie radzę, kurwa, tego otwierać, ostrzegam – powiedział mężczyzna i zaraz zgiął się po drugim ciosie w brzuch.

– Waldek, może daj spokój, co? Zabierzmy go na posterunek i tam wyjaśnimy sprawę – poradził Zdzisiek.

Waldek gestem głowy przywołał kolegę.

– A jak tam jest coś, co wolelibyśmy obejrzeć sami, niż zawozić na posterunek, Zdzisiu? Po co ktoś inny ma się obłowić, co? – wyszeptał. – Daj łom, Zdzisiu.

Zdzisiek pomyślał chwilę i – jak zwykle – postąpił tak, jak nakazywał mu starszy kolega. Pod stalowym hakiem łomu oba zamki puściły natychmiast, z głośnym trzaskiem.

– Patrz, Zdzisiu, wędlna jakaś. W walizce, w papier zawinięta. Handluje się nielegalnie mięskiem, co? – Wyciągnął z walizki pakunek i rzucił koledze. W locie papier się zsunął i młodszy sierżant Zdzisław Paduch chwycił odciętą ludzką rękę.

* * *

– Periodu niy ma?

Kaśka Pieperowa pokręciła głową. Stara Lompino pokiwała głową.

– Durch rzigo?

Kaśka Pieperowa pokiwała głową. Stara Lompino też.

– Bydziesz miała bajtla, dziolszko. Niych ci tyn twój dobre jodło dowo, cobyś była silno i zdrowo.

Kaśka Pieperowa aż podskoczyła z uciechy, ucałowała Lompinową i wybiegła na dwór. Siadła do powozu.

– Jedź, drap, do dom! – krzyknęła na parobka na koźle.

Pachołek zaciął konia batem, siwek zarżał i ruszył galopem. Zgrabna dwukółka wesoło zaturkotała między chatami w Ostropie. Kiedy widzieli już miejskie mury, Kaśka odwróciła się, tknięta jakimś przeczuciem, i ujrzała na trakcie kilkudziesięciu jeźdźców. Słońce pobłyskiwało na hełmach i napiersznikach, bandolety na pasach obijały się o końskie zady, pióra przy kapeluszach podrygiwały w takt szybkiego kłusa. Niektórzy dzierżyli w dłoniach obnażone rapiery i pistolety. Kaśka wrzasnęła do parobka:

– Pietrek, drapciyj jedź! Duńczyki jadóm!

Siwek przeszedł w galop, lekki powozik podskakiwał na wybojach, trzeszcząc niebezpiecznie, a Kaśka co chwila patrzyła przez ramię i jeźdźcy byli za każdym razem coraz bliżej. Z siwka opadała płatami piana, a z murów miejskich rozległy się dopingujące woźnicę nawoływania. Rozdzwoniły się też dzwony na kościele Wszystkich Świętych, a z podmiejskiego klasztoru, podkasawszy habity, w stronę miasta biegli franciszkanie, błyskając gołymi łydkami.

– Pietrek, bier tego mniszka, bo go chycóm! – krzyknęła Kaśka na widok tłustego braciszka, który został daleko w tyle za swoimi konfratrami, gdyż obciążała go potężna tusza i zgrabna beczułka, której za nic widocznie nie chciał zostawić dla protestantów.

Pietrek zwolnił, franciszkanin wrzucił na wóz swoją beczkę, po czym zaczął się gramolić sam. Kaśka szarpnęła go z całej siły za habit i wciągnęła do środka, obnażając przy okazji blade i tłuste pośladki mnicha. Oceniała odległość dzielącą ich od bramy i pożałowała, że zabrali franciszkanina, gdyż, jak uznała, nie zdążą. Ze strachem wpatrywała się w zbliżających się jeźdźców, widziała już czerwone szarfy, którymi byli przepasani, czarne wąsiska zaczesane pod oczy i błyszczące ostrza pałaszy. Lecz nagle z wieży bramnej huknął pojedynczy strzał z muszkietu, z okienka uniosła się wielka chmura białego dymu, a prowadzącego oddział zwiadowczy duńskiego oficera zmiotła z siodła niewidzialna ręka. Kaśka, Pietrek i mnich pochyłili głowy, jeźdźcy nieco zwolnili, a z miasta nagle huknęła kanonada, odezwał się nawet lekki falkonet, zamontowany na blankach. Kilku Duńczyków pospadało z koni, reszta zaś pospiesznie zawróciła, zostawiając trupy i rannych.

Powóz Kaśki wjechał w otwartą ciągle bramę, roztrącając gapiów i zasapanych franciszkanów, grubas na wozie całował stopy i trąkotał podziękowania do „pani dobrodziejki, co mu życie wróciła, bo on już był jak martwy, już widział, jak rozwleczon zostaje na heretyckich szablach, czego by jego matka dobrodziejka na Podolu niechybnie znieść nie podołała i niechybnie oddałaby ducha, gdyby się zwiedziła, że syn jej jedyny, co życie Bogu oddał, postradał je w zagranicznej wojnie, na obcej ziemi, a ona przecie nawet do prowincjała listy słała, aby go gdzieś do Rzeczypospolitej przeniesiono z tego Śląska, na którym przecie tak niebezpiecznie”. Pietrek oddychał ciężko i zastanawiał się, jak ukryć haniebną plamę, która powiększała się na jego pludrach. Kaśka zaś, z nadzieją, że dziecku nic nie jest, wpatrywała wśród gapiów potężnej postaci swojego męża.

Do dwukółki przyskoczył kurdupłowaty kapitan w kapeluszu i żółtym wamsie i zaczął głośno besztać dziewczynę:

– *Fräulein, weisst du nicht? Wir haben den Krieg nicht gewonnen! Was denkst du? Bist du verückt?*

Wielkie, owłosione łapy chwyciły kapitana pod pachami, uniosły do góry i delikatnie odstawiły obok.

– Zawrzyj pysk, bo niy do byle dziewczki godosz, pierónie, yno do moji baby, porzónndnyj mieszczi gliwickijj!

Kapitan zmierzył wzrokiem potężną postać w fartuchu i uznał, że jego nauczyciel strategii z Drezna zaleciłby raczej nie antagonizować miejscowej ludności z wojskiem. Odwrócił się więc na pięcie i odszedł bez słowa.

Jan Pieper ściągnął swoją żonę z wozu, przygarnął do piersi i poprowadził do domu. Gapie rozstąpili się z respektem.

– Każeś ty była, dziolszko? – zapytał szewc, kiedy weszli do domu

– W Ostropie, u staryj Lompiny.

– Dziolszko, po coś ty tam jechała? – nie rozumiał dalej Pieper.

Katarzyna Pieperowa popatrzyła na męża z pobłażaniem. Mistrz w cechu, ludzie go szanują, a taki niedomyślny.

– Bydymy mieli bajtla, Hanys.

Szewc wznosił oczy ku niebu i poczuł, jak wypełnia go duma i radość. Dziecko! Syn, bez wątplenia, młody Pieper, co przejmie po nim mistrzowską schedę w cechu! Uściskał żonę, po czym nakazał czeladnikom zorganizować wieczorem małą ucztę, na cześć jego przyszłego potomka.

Wieczorem zeszli się kamraci, mistrzowie z cechów, stół uginał się od mięs i trunków, odszpuntowano beczkę, wzniesiono w górę pełne kufle w pierwszym toaście. Jednak po kilku kuflach w Gliwicach ponownie rozdzwoniły się kościelne dzwony. To mogło oznaczać tylko jedno. Bez zbytecznych słów szewcy, piwowarzy, rzeźnicy i kupcy, przyjaciele Jana Piepera, wstali od stołu, pożegnali się szybko i pobiegli do swych domów. Pachołkowie pospiesznie zbierali jadło ze stołu, a Pieper westchnął głęboko i wspiał się po schodach do sypialni żony. Otworzył drzwi i nie zastał żony w łóżku, jak się spodziewał. Katarzyna Pieper siedziała ubrana na zydlu i czekała na męża. Jan popatrzył na żonę i nic więcej nie musieli gadać, szewc więc tylko westchnął jeszcze raz i powiedział:

– Musza iść, dziółszko.

I poszedł. Zszedł do piwnicy, wygarnął z kieszeni pludrów pęk kluczy, odnalazł ten właściwy i przekręcił go w zamku najrzadziej otwieranych drzwi w całym domu. Wszedł do arsenału. Pod ścianami stały stare miecze, które do zbrojowni kupił jeszcze dziad albo i pradziad Jana, stały pancerze, hełmy, halabardy, piki, rapiery, muszkiety i arkebuzy. Pieper zadumał się chwilę i przypomniał sobie swoją młodość w cesarskiej piechocie, gdzie przez trzy lata służył za pikiniera, póki nie został feldfeblem, na następne cztery. Odszukał swój napierśnik i hełm, zadzwonił na pachołka i kiedy ten przybiegł, z jego pomocą nałożył skórzaną kurtę, na nią kirys – Pietrek, bacz, czyś paski dobrze docióng, ja? – przypasał krótki kord, dobry do walki na murach, i wziął swój muszkiet, prochownicę i bandolier z ładunkami.

– Zwołej oroz wszystkich czelodników, Pietrek.

Byli już gotowi, czekali przed domem, więc pojawili się niemal natychmiast, czterech roślących gliwiczian, gotowych bronić swojego miasta przed Duńczykami. Pieper rozdzielił broń i ekwipunek, poklepał wszystkich po plecach, aby dodać im animuszu i w bojowym nastroju ruszyli na mury, na odcinek przydzielony cechowi szewskiemu do obrony.

Na murach tłoczyły się kobiety i nieuzbrojeni mieszczanie, między którymi, ku swej złości, Jan zauważył Katarzynę. Zmełł w ustach przekleństwo i wspiał się na blanki.

Widok, jaki ujrzeli, natychmiast, lodowatym powiewem wywiał z szewskich czeladników odwagę i brawurę. Wojska Mansfelda, chcąc widocznie uzmysłwić Ślązakom swoją potęgę, podchodziły pod miasto nocą, a każdy chyba żołnierz niósł pochodnię. Płomienne czworokąty tłoczyły się, w świetle widać było działa, kręcącą się kawalerię oświetlała luna, ani chybi z płonących Ostropy i Sońnicy.

Katarzyna Pieperowa wiedziała, co to oznacza. Nie chciała już dłużej żywić diabła strachu, który załagał jej się w głowie, zeszła więc z murów i pobiegła do kościoła. W otwartej świątyni było zupełnie jasno, paliło się mnóstwo świec. Przed ołtarzem klęczał ksiądz i kilku ministrantów, a całą resztę kościoła wypełniały kobiety z dziećmi i pod wymalowane freskami gotyckie sklepienia ulatywały różnojęzyczne modlitwy: w tutejszym dialekcie, po czesku; franciszkanie modlili się po polsku i łacinie, z przodu w stallach klęczały szlachcianki i błagały Boga po niemiecku. Mimo różnych języków i różnych stanów, wszyscy prosili Pana o to samo.

Kasia uklękła pod ścianą, wśród licznych figur wyszukała szybko Najświętszą Panią i złożyła jej obietnicę, ofiarowując to, co najdroższe.

Najświyntszo Maryjko, Panno, jak mi chopa, chałpa i miasto ocalisz przed wanielikami, co Twojemu mianu bluźnióm, to jo ci przirzekóm na służba oddać to dziecko, co go nosza pod sercem.

* * *

Cicho zamknął drzwi, przekręcił kluczyk, pstryknęły hydrauliczne sterowniki centralnego zamka. Nie zaparkował pod samą plebanią, bo nie chciał zwracać na siebie uwagi, musiał więc przejść te sto metrów piechotą. Okulary przeciwsłoneczne wetknął do kieszonki marynarki, przyglądał grzebykiem ciemne włosy i poszedł. Wcisnął przycisk elektrycznego dzwonka, dzwonił długo i natarczywie, kilka razy puszczając i naciskając na nowo. Kiedy drzwi rozchyliły się nieco i wyjrzała zza nich twarz starej gosposi, wyciągnął legitymację, machnął nią babie przed oczami i warknął uprzejmie:

– Służba Bezpieczeństwa. Otwierać!

Babina wystękała coś o ubekach i chciała zatrzasnąć drzwi, jednak Jerzy już wcisnął szpic kowbojskiego buta między drzwi a futrynę i nie pozwolił ich zamknąć. Bezcelne się te babcie zrobiły, od kiedy załatwiliśmy Popiełuszkę – pomyślał – pewnie chce męczennicą zostać, stara bładź. Począł, aż babcia w końcu odsunie się od drzwi, odskoczył i kopnął potężnie, łańcuszek prysnął i kapitan Bartul wkroczył do ciemnego korytarza plebanii. Babina rzuciła się na niego i zaczęła okładać go wątłymi ciosami. Bartul chwycił ją mocno i przycisnął do ściany

– Babciu, zazwyczaj nie biję pań, nawet takich starych, księżowskich kurew jak ty, ale jak ci bardzo zależy, to możesz w mordę dostać, rozumiesz? – zapytał cicho.

Gospodyni zrozumiała, jak się zdaje, bo straciła przytomność.

– Nosz kurwa mać – powiedział głośno kapitan Jerzy Bartul.

Posadził babcie delikatnie na krzesło, stojącym obok garderoby zapełnionej księżowskimi biretami, oparł bokiem o ścianę, upewnił się, że nie spadnie i ruszył do pokoju księdza, który był głównym powodem tej wizyty.

Gdy wszedł do sypialni na piętrze, zdążył tylko zauważyć proboszcza zsuwającego się po piorunochronie i biegnącego przez ogród z zakasaną sutanną. Bartul, pewny swojego wysportowania, zgrabnie wyskoczył z okna, sprężyście wylądował na miękkiej trawie i rzucił się w pogoń za kapłanem. Dopadł go, kiedy ten usiłował przerzucić swój tłusty kałdun nad płotem z siatki, zdjął i dał kontrolnie w pysk, żeby wybić katabasowi głupie pomysły ze łba.

– Co to, spacerować się księdzu zachciało nagle? – zapytał niezbyt błyskotliwie.

Mógłbym sobie wymyślić jakieś lepsze odzywki, bo te brzmią jak z „07 zgłoś się” – myślał, prowadząc księdza z powrotem na plebanię. Muszę sobie chyba zanotować co lepsze powiedzonka z Kojaka.

Gdy weszli do środka, gospodyni nie było już na krzesle przy garderobie, co uspokoiło kapitana, bo trochę obawiał się, czy babcia nie miała zawału. Siedli z księdzem w kancelarii, Bartul zajął miejsce za wielkim, starym biurkiem, wywalił nogi na blat, gniotąc jakieś papiery, a księdza posadził na krzesle dla interesantów. Z namaszczeniem wyciągnął z kieszeni paczkę cameli i benzynową zapalniczkę, zapalił, zaciągnął się i zapytał:

– To jak to, proszę księdza, najpierw się dogadujemy, jesteśmy koledzy, a potem ksiądz przede mną spieprza?

No, musiał się nad nim trochę napracować. Tak to już jest. Najpierw miesiąc pracy operacyjnej w okolicy, dni i nocy w samochodach na obserwacji, rozmów z różnymi ludźmi, zbierania plotek od kontaktów, które już mieli, i w końcu, po pół roku, wytypowali księdza Zubrzyńskiego, proboszcza parafii w Mogilanach. Nie mieli jeszcze wtedy określonego celu tego zadania, poza poleceniem zdobycia mocnego i trwałego tajnego współpracownika na średnich szczeblach hierarchii w diecezji lubelskiej.

Ksiądz Zubrzyński nadawał się do tego znakomicie, gdyż, chociaż był zwykłym proboszczem, blisko przyjaźnił się z biskupem ordynariuszem. Portret psychologiczny, przygotowany przez rudą panią psycholog, którą podobno rznąło pół resortu, stwierdził, że ksiądz może być, mówiąc potocznie, chwycony na babską dupę. Nie był księżulo łasy na papierki z Waryńskim, nie miał też żadnej baby na boku, ale pani psycholog stwierdziła, że jest samotny, nieszczęśliwy i brakuje mu miłości, dlatego bez trudu da się uwieść.

Podstawili mu więc swoją najlepszą babkę, sprowadzoną specjalnie aż z Gdańska prostytutkę, która posiadała najcenniejszy dar kurwy – wygląd niewinnej dziewczycy. Była dobrą aktorką, przekonująco zagrała skrzywdzoną chrześcijankę, poszukującą pomocy kapłana. Nie było jej łatwo, ksiądz okazał się twardszy, niż myśleli, i nie dał się zwieść mimo bardzo profesjonalnego kuszenia. Jednak nie miał dość siły, aby babkę przegnać, do trzech razy sztuka i w końcu mieli, co chcieli, gorący związek na plebanii. Za trzecim razem wszystko sfotografowali, kurwa, bogatsza o grubą gotówkę, wróciła do Gdańska pierwszym pociągiem, a kapitan Bartul stawiał się u księdza na rozmowę o fotografiach. Zażądał tylko zwięzłych raportów co dwa miesiące – nie były mu potrzebne, ale chciał księdza przyzwyczaić do współpracy, zanim będzie coś naprawdę mocnego. Zaproponował pieniądze,

ksiądz odmówił. Przysunął zobowiązanie do współpracy, ksiądz podniósł głowę i powiedział głośno i dobitnie: „Nie”.

Bartul wstał, przeprosił za najście, pożegnał się uprzejmie i wyszedł. Wrócił po trzech dniach, razem z sędziwą matką księdza. Mareczku, ten miły pan przywiózł mnie do ciebie swoim samochodem i powiedział, że zapraszałeś mnie, bo chcesz, żebym obejrzała jakieś zdjęcia. Wystarczyło, na drugi dzień miał podpisane zobowiązanie, a po dwóch miesiącach raport. Pieniądzy klecha nie chciał, a Bartul nie nalegał. W raporcie nie było żadnych interesujących informacji, wszystkiego, co ksiądz zapisał na papierze w kratkę, mogliby się dowiedzieć, pociągnąwszy za ucho pierwszego lepszego ministranta, ale tutaj Bartul również nie nalegał. Nie potrzebował żadnych informacji, niech się czarny przyzwyczajają, niech sobie myśli, że ich zwodzi, dając im nieistotne informacje. Przyjdzie czas, to zadadzą mu ważne pytanie i nie wykręci się łatwo od odpowiedzi.

No i ten czas właśnie przyszedł i księżulo, zdaje się, wywęszył, co się święci, i próbował zwać.

– Co, myślicie, Zubrzyński, żeście sobie za darmo podupczyli tylko po to, żeby teraz pisać mi te gówniane prasówki z gazetek parafialnych? Że się za to dupczenie wyłgacie, Zubrzyński, tą, kurwa, kroniką towarzyską, co mi ją co dwa miesiące przesyłacie? – powiedział wesoło Bartul, zaciągając się camelem.

Ksiądz siedział na krześle, z twarzą ukrytą w dłoniach. Bardzo dobrze, pomyślał kapitan. Odczekał dłuższą chwilę, zgasił papierosa. Wstał, podszedł do księdza, poklepał go po plecach i powiedział, zmieniając trochę tembr głosu:

– No, już dobrze, dobrze. Przepraszam księdza za to. Wiem, że to dla księdza straszne i wiem, że to wcale nie było tak, mówię bez ironii. To była profesjonalistka, proszę księdza, uwiodłaby papieża, tylko święty by się nie złamał. Ksiądz i tak długo wytrzymał, dłużej niż ktokolwiek inny, na kogo musieliśmy ją nasłać. Takie czasy, proszę księdza, obrzydliwą mam robotę, ale to moja praca i muszę ją wypełniać.

Zubrzyński podniósł głowę i Bartul zobaczył w oczach kapłana jakiś cień wdzięczności. Mam cię, klecho.

– Mi jest cholernie przykro, że muszę tak traktować kapłana. Ksiądz mi nie uwierzy, ale ja jestem wierzący, naprawdę. U nas nie wolno, ale ja i tak czasem jeżdżę gdzieś daleko do kościoła, żeby nie zauważyli. Tym bardziej przykro mi, że muszę z księdzem pracować, ale, powtarzam, żyjemy w ciężkich czasach. Ktoś musi tę robotę odwalać, trafiło na mnie. Ja bardzo księdzu współczuję, naprawdę, że ksiądz znalazł się w takiej sytuacji, dla mnie też to nie jest łatwe.

Pierwsza zasada dobrego kłamstwa: wierz w to, co mówisz. Przynajmniej przez chwilę, ale wierz. Bartul naprawdę wzbudził sobie współczucie dla księdza. I Zubrzyński mu uwierzył.

– Proszę księdza – mówił dalej kapitan – wiemy, że w diecezji jest przechowywana relikwia wielkiej wagi...

Nagły ruch głową. Mamy cię, słoneczko, wiesz wszystko i zaraz mi wszystko wyśpiewasz.

– ...której kradzież byłaby niepowetowaną stratą i dla Kościoła, i w ogóle, dla narodu. Chcemy tej relikwii niepostrzeżenie strzec, bo, jak ksiądz się zapewne orientuje, są siły, obce siły, które mogą być żywotnie zainteresowane, aby tę relikwię zagarnąć dla siebie. Tymczasem hierarchowie nam nie ufają, proszę księdza. Niech zatem ksiądz mi po prostu powie, gdzie ta relikwia jest, a my, niedostrzegalni dla nikogo, będziemy jej pilnować i strzec. Nikt się o tym nie dowie, a ksiądz się przysłuży, i to nie nam, przysłuży się ksiądz Kościołowi, którego jest ksiądz kapłanem.

Rzecz nie w tym, czy to jest prawdopodobne, czy nieprawdopodobne. Batem, zmuszającym TW do działania, jest w tym przypadku szantaż. Takie kłamstwo natomiast jest marchewką, którą on, Bartul, daje tajemnemu po to, by było mu łatwiej. Oni zawsze w te kłamstwa wierzą, przynajmniej na początku, bo jednak przyjemniej myśleć o sobie, że nie jest się ostatnią gnidą, prawda? W tym przypadku, o ile Bartul domyśla się planów swoich zwierzchników, ksiądz się mocno rozczaruje za jakiś czas. Chociaż może wymyśli coś innego.

Ksiądz Zubrzyński patrzył na Bartula. Wiem, co sobie myślisz, myślisz sobie, że może nie jestem takim ostatnim łajdakiem, prawda? A myśl sobie.

Delikatnie przysunął mu kartkę i długopis.

– No, niech ksiądz ma to już za sobą. Adres i ja znikam, i wszystko wróci do normy, nikt się o niczym nie dowie, życie księdza będzie takie, jak dawniej.

Kapłan w nagłym odruchu chwycił ołówek i zapisał na kartce ulicę, numer domu, kod pocztowy i miejscowość.

Bartul uśmiechnął się do księdza, powstrzymując w sobie chęć głośnego wybuchnięcia śmiechem i powrotu do zwykłej retoryki esbeka. Jesteś, kurwa, miękki jak maselko, klecho. Jesteś gnidą, sprzedajesz swoich ze strachu, a ja cię owinąłem wokół palca jak dziecko.

Nie powiedział jednak niczego takiego. Jeszcze się ksiądz może kiedyś przydać. Zabrał kartkę, zostawił na biurku kopertę z napisem: „Ofiara na remont kościoła”.

– Zrobi z tym ksiądz, co ksiądz zechce. Jeżeli ksiądz nie chce dla siebie, to niech da biednym – powiedział kapitan i zniknął, a życie księdza wróciło do normy.

* * *

Sven Haraldsen miał dość tej wojny. Łupów mało, wszystko bierze kawaleria, bab nie ma, bo kryją się po lasach w tym dzikim kraju, wina nie ma. No, może piwo dobre. I kościołów sporo, które, na chwałę Pana, można wydzierać z pazurów rzymskiej kurwy,

niszcząc bałwochwalcze obrazy i obalając rzeźby wielkiego demona, którego papiści czczą pod postacią Matki Boskiej. A Maria przecież to była skromna kobieta, na pewno nie chciałyby hołdów i czci. Więc, poza piwem i rozrywką natury duchowej, nic fajnego w tej wojnie nie było, w ogólności, a w oblężeniu tego głównianego miasta, w szczególności. Działa grały cały czas, demolując staroświeckie mury, a Sven, najlepszy strzelec w pułku, postanowił w końcu wziąć się do roboty. Pogładził kolbę broni, która była jego dumą – jako najlepszy strzelec otrzymał kołowy muszkiet z gwintowaną lufą. Znalazł sobie dogodną pozycję, wbił forkiet w czoło transzei, nakręcił starannie zamek, nasypał do lufy precyzyjnie odmierzoną dawkę prochu, ubił, w sam raz, nie za mocno, nie za słabo, wybrał ładną kulę i za pomocą pobijaka i drewnianego młotka wbił ją w gwint, aż mocno oparła się o przybitkę na prochu. Na panewkę podsypał prochu drobno zmielonego, położył swój piękny muszkiet na forkiecie i wycelował. Chciał dostać postawnego chłopca w hełmie i kirysie, który co jakiś czas pokazywał się na blankach, bo wyglądał na dowódcę – wydawał rozkazy, polecenia, ktoś go tam słuchał najwyraźniej. Sven mierzył długo i starannie, wreszcie – jest! Pokazał się, gada coś do krzątających się na murze ludzi. Duńczyk ściągnął delikatnie spust, koło zamka zakręciło się, zgrzytnęło, skrzesało iskry, a Sven modlił się, by wielki Ślązak nie ruszył się, zanim padnie strzał i trrrach, huk wystrzału jak zwykle zaskoczył muszkietera. Kiedy po chwili dym z panewki i lufy rozwiął się na tyle, że przestał gryźć w oczy i Haraldsen mógł cokolwiek dojrzeć, Ślązaka nie było widać na murach. Sven uznał, że trafił, i pozwolił sobie wrzasnąć: „Hurrrra!” na swoją cześć.

Jan Pieper, czarny od dymu, szukał na ziemi hełmu. Potężne uderzenie zerwało mu szturmak ze łba, jak wiatr ściąga za mały kapelusz. Zerwał się wykładany metalowymi lamelkami pasek i Jana bolała od tego cała szczęka. Gdy w końcu znalazł swój hełm, z niedowierzaniem wkładał i wyciągał palec z dziury, jaką kula wywierciła w stalowym sklepieniu szturmaka. Dotknął czupryny i z przerażeniem stwierdził, że pocisk przeleciał mu może o pół cala nad czaszką, obcinając kosmyki włosów, które znalazł wczepione w zdemolowaną wyściółkę hełmu. Spod koszuli wyciągnął medalik z Matką Boską, ucałował go, uklęknął i z pamięci odmówił cały *Anioł Pański*, w podzięcie za ten cud.

Gdyby sytuacja nie była, jaka była, Pieper byłby pewnie teraz roześmiany, opowiadałby kamratom kolejną wojenną przygodę, może nawet opiliby to wesołe wydarzenie. Ale sytuacja była, jaka była – Duńczycy lada chwila przełamią obronę miasta. Wedrą się bez trudu na mury, kiedy tylko w końcu ich tchórzliwi oficerowie zdecydują się na prawdziwy szturm. Wedrą się do miasta, spalą, co mogą spalić, zrabują, co będzie do zrabowania, baby pogwałcą, kościół zbezczeszczą, stajnie w nim zrobią albo coś. A potem wyjdą, Mansfeld zostawi tylko skromny garnizon i horrendalne podatki, żołdactwo będzie dręczyć mieszczan na ulicach i Bóg jeden wie, ile to będzie trwało. Wrócił więc na mury, nasadzając na głowę przestrzelony hełm. Ku swojemu przerażeniu stwierdził, że duńscy oficerowie nabrali wreszcie odwagi i zaczęli gotować się do szturm. Przeciągnęli wszystkie działa na ten

właśnie, najłatwiej dostępny odcinek murów; armaty odprzodkowały. Pikinierzy i reszta piechoty ustawiała się w czworoboki; rozdzielano faszynę do zasypywania fosy, przygotowywano drabiny. Jan zaklął, pomyślał z żalem o żonie i postanowił drogo sprzedać swoje miasto, swój warsztat, czeladników, cech, łaźnię, karczmę pod ratuszem, kościół, żonę i nienarodzone dziecko. I nawet dziewczki z bajzlu przy łaźni, który za młodu zdarzało mu się odwiedzać. Dobra, gizdy, najduchy pieróny, majster szewski Hanys Pieper czeka sam na wos. Wyciągnął kord i oparł go o blanki, aby był pod ręką, jak już wleżą na mury. Ucieszył się, kiedy podano mu wiadro z gorącą smołą. Luter, któremu wyleje to na łeb, będzie miał początek piekła już po tej stronie śmierci.

– No, chopy, dalyj, niy dómy sie gizdóm, wanielikóm! Niy szczylejcie terozki, jak sóm daleko, dziepiyro, jak przidóm blisko. Yno cyłujcie dobrze, a jak ktoś bydzie miól gywyjr wyszczelóny, to drap ładuje zaś i tak durch, aż bydzie dran zajtyngywyjr, na rapiyr, kord i szabla! Kible z gorkóm teróm nalywać rajn na dole, i zaroz tu podować, na wiyrch! – wykrzyczał parę banałów, w równym stopniu do kamratów na murach, jak do siebie.

Od strony wojsk Mansfelda doleciał ich warkot werbli. Idą.

Nad miastem pociemniało.

Duńczycy stanęli. Jan Pieper nie wiedział, dlaczego, wycelował więc i strzelił w najbliższy czworobok pikinierów. Z murów odezwało się jeszcze parę strzałów i ogień ucichł. Ucichły też głosy; nad miastem, którego przedmurze stało się polem bitwy, zawisła cisza, tak doskonała, że Jan słyszał cichy syk palących się lontów. W końcu sam spojrzął przez ramię.

Na ciemnej chmurze nad miastem stała wysoka, jaśniejąca blaskiem kobieca postać, w niebieskiej, długiej szacie. Stopy opierała na złotym półksiężycu, a oblicze jej, nadzwyczajnej piękności, ukoronowane było diademem, koroną, na której zamiast brylantów świeciły gwiazdy. Jan Pieper odwrócił się natychmiast tyłem do oblegających i padł na kolana. Klęczeli już wszyscy. Maryja, Królowa Niebieska, swoim niebieskim płaszczem okryła gliwickie kamienice, domy, studnie i karczmy, kościół, ratusz, łaźnie i zamtuzy, kramy, stragany, uliczny bruk, mury, baszty i mosty. Kilku Duńczyków wystrzeliło – kule odbiły się od niebieskiego płaszcza Maryi.

Sven Haraldsen biegł, nie oglądając się na nic. Porzucił swój piękny muszkiet, zgubił kapelusz, pas z mieczem sam odpiął, bo przeszkadzał mu w biegu. Obliczył sobie, że jeśli będzie biegł wystarczająco długo na północ, to dobiegnie do morza. Wtedy skręci w lewo i pobiegnie dalej i tym sposobem wróci do domu i znowu ujrzy szare, spienione wody Sundu. Nie zamierzał ani na chwilę dłużej pozostać w tym przeklętym kraju. Był dobrym biegaczem, kiedyś był gońcem, kiedy rozpoczął dopiero karierę w armii. Zwolnił więc kroku, rozciągnął go, uregulował oddech i biegł, lekko i wytrwale. Minął płonąca jeszcze wieś, co chwila mijał swoich uciekających kompanów lub sam był wyprzedzany przez zwiewających konno kawalerzystów. Wpadł w końcu do lasu i równym krokiem biegł traktem. Chłopa, który wyskoczył na drogę przed nim, zauważył w ostatniej chwili. Za późno, żeby uniknąć

wideł, które przedziurawiły mu płuca i rozdarły serce. Czterema otworami ze Svena uszło życie, szybciej, niż jego zabójcy zdążyli obedrzeć go z zakrwawionego kaftana, butów, pluder i trzосу.

* * *

Bartul od razu ruszył do biura. Wiedząc, że czeka go cała noc papierkowej roboty, wpadł na chwilę do domu, wziął czystą koszulę, szczoteczkę do zębów i wodę kolońską „Old Spice”, klepnął w tyłek przymilającą się Jolę, pogłaskał łaszącego się Aresa i pojechał do Firmy.

Rano raport i notatka służbowa były gotowe, złożył je na biurku zwierzchnika i od razu odebrał polecenia. Przedstawił swoją koncepcję, zwierzchnik wyraził aprobatę, Bartul trzasnął obcasami kowbojek, odwrócił się na pięcie i wymaszerował, pogwizdując.

Z majorem Bieniem z trójki załatwił zlecenie dla TW Szydło z redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Szydło napisze artykuł o relikwii, który ma się w tygodniku normalnie ukazać, żeby nie było żadnych podejrzeń – przy okazji w kurii ma zdobyć jakąś dokumentację fotograficzną relikwii – do samej go na pewno nie dopuszczają, ale zdjęcia muszą jakieś mieć, a on, Bartul, chce mieć kopie. Bien zrobił krótkie notatki, mrugnął porozumiewawczo lewym okiem i powiedział krótko:

– Zrobi się, na wtorek.

Umówili się jeszcze na polowanie na przyszłą niedzielę, Bien zapytał Bartula, czy nie ściągnąłby dla niego jakiegoś fajnego wozu przez jego kontakt w RFN, Bartul obiecał, że zobaczy, co da się zrobić, i rozstali się w kumplowskiej, firmowej komitywie.

Bartul z dalszymi działaniami nie musiał czekać do wtorku. Wyszedł z firmy i wstąpił na melinę na Kazimierzu, wzbudzając popłoch bywalców. Uspokoił steranych życiem gitowców – jest tu towarzysko – i pomiędzy flaszki bimbrowe, cyckami zużytej kurwy, która zalana w trupa leżała naga na podłodze, słoikami pełnymi petów i puszkami po sardynkach znalazł Ola. Olo upił się razem z panią i znajdował się w podobnym stanie, wyglądało na to, że nie zdążył nawet skosztować tej znajomości, gdyż ze świata żywych do świata oddalonych przeszedł zaplątany we własne spodnie, pasek i obrzydliwie brudne gacie. Bartul pogratulował sobie, że Olo nie wyciągnął jeszcze interesu na zewnątrz. A że młody złodziej nie był zbyt postawny, to Bartul wziął go po prostu pod pachy i wyciągnął z meliny, a następnie stukając gołymi piętami wleczono Ola po schodach, zataszczył na dół, do samochodu, wzbudzając pełne oburzenia spojrzenia i komentarze matek, spacerujących ze swoim potomstwem po skwerku pod blokiem. Kapitan położył zalanego chłopaka na tylnym siedzeniu i, po krótkim zastanowieniu, zawiózł go do siebie do domu. Wniósł do łazienki, wrzucił do wanny i zawołał Jolę.

– Mała, doprowadź go do porządku i zadzwoń do mnie, do Firmy, jak już będzie kontaktował.

Spojrzał krytycznie na nagie pośladki i trójkąt włosów w kroczu, wyzierające spod jedyne go stroju Jolki, którym była jego wyjściowa koszula.

– I ubierz się jakoś, niech cię takiej, kurwa, nie ogląda. I nie bój się, palcem cię nie tknie, wie, że bym go zajebał. Cześć.

Wrócił do pracy, w kołonotatniku znalazł numer telefonu do lekarza sądowego, przypomniał sobie, co ostatnio razem robili (polowanie, tylko gdzie? Bieszczady chyba, dzik i dwa jelenie...), zadzwonił, pogadał o tym, jak leci, kiedy się znowu wybiorą do lasu, jak tam dzieci, po czym przeszedł do sedna. Wykorzystując milczenie, jakie zapadło po drugiej stronie słuchawki, uprzedził, żeby nie zadawać mu żadnych pytań, bo to jest tajne i poufne. Określił z grubsza termin i jak to ma wyglądać, odczekał następną chwilę ciszy i kiedy usłyszał w końcu przeciągłe: „Okay”, pożegnał się i odłożył słuchawkę. Wypisał odpowiednie zapotrzebowania do magazynu, przesłał gdzie trzeba, uzgodnił z przełożonym budżet i zaplecze logistyczne, zadzwoniła Jolka, że Olo dochodzi do siebie, Bartul zorientował się, że jest już po szesnastej, co znaczy, że od czterdziestu ośmiu godzin jest na nogach, pojechał więc do domu, zajrzał do pokoju gościnnego, gdzie Olo chrapał zdrowym, pijackim snem, kazał Jolce przygotować łóżko, wziął szybki prysznic i zwałił się w pościel, ignorując zupełnie zaloty swojej kochanki.

Obudził się o ósmej rano, po szesnastu godzinach snu. Nieprzytomny powlókł się do łazienki, długo siedział pod prysznicem, ogolił się, spryskał old spice'em i ułożył włosy. W szlafroku poszedł do kuchni i dopiero kiedy za stołem ujrzał wsuwającego jajecznicę i czytającego „Sport” Ola, przypomniał sobie wydarzenia ostatnich dni. Jolka zrobiła dwie kawy i, odgoniona pospiesznym gestem, wyszła z kuchni. Bartul zapalił papierosa i wtajemniczył młodego bandytę w tajniki sprawy. Żadnych współników; robi to sam, dostanie w zamian grubą kopertę papierów, jeśli piśnie o tym komuś choć słowo, to Bartul osobiście znajdzie go chociażby pod ziemią i zabije. Olo wiedział, że kapitan nie żartuje. Chciał odmówić, ale Bartul tylko roześmiał się szeroko i zapytał, czy Olo jest pedałem, skoro mu tak tęskno do rżnięcia w dupę i obciągania, jakie bez wątpienia czeka na takiego ślicznego chłopaczka w więzniu. Chłopak zrozumiał, że nie ma możliwości manewru, i się zgodził. Dla pewności, Bartul oświadczył mu, że do tego czasu będzie siedział tutaj, u Bartula w domu.

W Firmie czekały już zdjęcia. Według nich obstałował w magazynie odpowiednią walizkę, po czym, razem z walizką przesłał zdjęcia do lekarza sądowego. Po południu lekarz zadzwonił i powiedział, że sprawa załatwiona. Nie pozostawało nic więcej, jak pojechać z Olem na mały rekonesans i uzgodnić szczegóły.

I tutaj powstał problem. Kiedy chłopak dowiedział się, o jaką kradzież chodzi, powiedział krótko, że może pójść do pierdła, ale takiego skoku nie robi i żadne groźby ani prośby nie są go w stanie do tego skłonić. Bartul wściekł się, nawet parę razy chłopakowi przyłał, sklął go,

zagroził, że zrobi krzywdę jego rodzinie, że starej matce obetną emeryturę, nic nie pomagało, Olo zaciął się i odmówił. Kapitan, nie mogąc już odwołać całej sprawy, obiecał Olowi jeszcze raz, że jeżeli chociaż piśnie pół słowa w tym temacie, to on, Bartul, osobiście go rozwali, po czym wykopał gnojka z samochodu i uznał, że musi to zrobić samemu.

I zrobił. Bułka z masłem. Bardzo ryzykował, bo przyłapany przez milicję zdekonspirowałby całą operację i mógłby za to nawet polecieć z resortu. Na bruk. Ale wszystko poszło dobrze, opatrność czuwa, uśmiechał się pod nosem, wracając do siebie po całej akcji. Pod wskazanym adresem mieścił się dom sióstr wizytek. Wszedł od ogrodu, otwierając drzwi wytrychem. Wiedział, że musi szukać w piwnicy, i to zasadniczo ułatwiło sprawę. Żadna z siostrzyczek nawet się nie obudziła – wywiedziały się wcześniej, jaka jest ich reguła, i dobrał najlepszą, późnonocną godzinę. Nad pancerną szafą, stojącą pośród ornatów, zabytkowych krzyży, złotych kielichów i innych utensyliów, których nie rozpoznawał ani nie znał ich przeznaczenia, musiał się trochę napracować. Miał szczęście, ponownie, że siostrzyczki nie miały sejfu, a tylko zwykłą metalową szafę, zamykaną na klucz, jak w pierwszym lepszych gieesie. Manipulowanie wytrychami zajęło mu ponad kwadrans, aż rozboleły go kolana od kucania przed szafą, ale w końcu zamek szczęknął i skoble wysunęły się ze skuwek. Wpuścił po kropli oleju do zawiasów, by nie skrzypnęły, i uchylił drzwiczki. W szafie stał przedmiot przypominający duży kryształowy wazon, ze złotymi okuciami. Relikwiarz, przypomniał sobie Bartul – przed akcją przeczytał trochę, żeby orientować się, o co dokładnie chodzi. Otworzył delikatnie złotą pokrywę, na której wygrawerowano sceny z życia świętego, i odłożył ją na bok. Ściągnął plecak, z którego wyjął zabalsamowane męskie ramię i ułożył je sobie na kolanach. Z relikwiarza wyjął rękę świętego Felicjana. Świeże ramię schował do relikwiarza i w tym momencie uświadomił sobie, że jeżeli relikwia jest prawdziwa, to ma, nosz kurwa, czterysta lat. Ja pierdołę. Ramię było bezwładne, skóra napięta i elastyczna, na skórze widoczne były włoski i niewielka blizna, wyczuwalne pod skórą mięśnie były sprężyste. Stawy działały, ręka zginała się w łokciu, kiedy uniósł ją, żeby schować do plecaka, dłoń zwisnęła, a palce, pociągnięte ścięgnami, rozprostowały się. O kurwa. Pokręcił z podziwem głową. Teraz nikt by tak nie potrafił zabalsamować. Relikwia wyglądała dużo lepiej niż ręka, którą Bartul przyniósł w plecaku. Liczył jednak, że nikt nie będzie przecież wyciągać jej z tego wazonu. Dla nich to przecież jakaś świętość, nie będą jej macać ani wyciągać, chyba. Zaciągnął troki plecaka, zamknął szafę, rozejrzał się, czy nie zostawił jakiś wyraźnych śladów i wyszedł. Kiedy w końcu przeskoczył przez płot, zsunął kominiarkę, przeszedł dwieście metrów do samochodu i usiadł w środku, zapalając camela, uświadomił sobie, że plecy ma zupełnie mokre od potu.

No, Bartul, znowu ci się udało.

* * *

Gdyby wiedział, że studiowanie medycyny będzie się wiązało z wystawianiem w cuchnącym lizolem przedsiönku kostnicy, może wybrałby jednak prawo, do czego usiłowała go zmusić cała adwokacko-prokuratorska rodzina. Ale nie wiedział, a teraz, na trzecim roku, było już za późno.

Zza pomalowanych buropopielatą farbą olejną drzwi wychylił się typek, który mógłby zagrać Nosferatu, a charakteryzator nie miałby z nim dużo pracy. Adam, student Akademii Medycznej, przez chwilę nie rozumiał, co ufartuszony na biało gnom chce mu przekazać, potrząsając łysą czaszką. Pojął dopiero, kiedy gnom się zirytował i do potrząśnięć głową dodał gest dłonią.

Zaproszenie do środka. Wszedł więc.

Na blaszanym stole sekcyjnym leżało męskie ramię. Gnom stał nad nim, jak przedwojenny komiwojażer, zachwalający swoje produkty.

– No więc, panie doktorze kochanieńki, specjalny towar mamy dzisiaj. Rąsia, jednego pana, co miał to nieszczęście dostać kosę od innego pana, ładniusia, ucięta w barku, zdrowa i świeżutka. Ale to nie najważniejsze. Rąsia ta, panie doktorze kochanieńki, jest zabalsamowana. Rozumie pan doktor? Jak te, no, munie w piramidach. Nie zepsuje się, nie zaśmierdnie, nie trzeba będzie wyrzucać, bo to i zawsze kłopot, rąsię wyrzucić, no nie? A ta tutaj to jak Lenin na Placu Czerwonym, w bratnim Związku Radzieckim, rozumiemy się?

Adam przyjrzał się ramieniu, dotknął parę razy i uznał, że to rzeczywiście dobry pomysł. Potem się najwyżej odsprzeda komuś młodszemu, jak już zda ten kurewski egzamin.

– Ile?

Białofartuszny gnom zatarł łapki i uśmiechnął się, odsłaniając czarne pieńki zębów.

– Dwa tysiące, panie doktorze szanowny.

– Dam tysiąc i flaszkę – powiedział student, wyciągając pół litra z kieszeni.

Gnom, ucieszony perspektywą natychmiastowej konsumpcji, kiwnął aprobująco łysą czaszką.

Chłopak schował ramię do plecaka i wyszedł z prosektorium, powstrzymując wymioty.

Gnom odbił flaszkę, odkręcił, powąchał, przystawił do ust i odchylił głowę do tyłu, bul, bul, bul, bul, pociągając długie łyki. Odstawił wódkę od ust, odetchnął, zakręcił i schował opróżnioną do połowy butelkę do szafki ze środkami dezynfekcyjnymi. Poszedł do chłodni, przyjrzał się umrzykom i wybrał jednego, który był podobnego wzrostu i wagi jak poprzedni właściciel zabalsamowanego ramienia. „Zenon Ziębik” – przeczytał na przyklepionej do dużego palca u nogi karteczce. Wzruszył ramionami, przewiózł trupa na stół, poklepał po mocnej piersi, wziął piłę i oderznął mu ramię. Obmył je, osuszył, po czym z szafki wyciągnął dużą puszkę lakieru do włosów i spryskał odciętą rękę, pokrywając ją kilkoma warstwami matowego lakieru. Zapach nawet przyjemny, jak u fryzjera.

– Może to nie jest balsamowanie, ale kto tam się na tym u doktora pozna. A studentom bardziej się taka trwała rąsia przyda, ku chwale Ojczyzny – wymamrotał do siebie pod nosem.

Schowwał pozbawione jednej ręki ciało do szafki w chłodni, sprzątnął stół sekcyjny, wyciągnął resztkę wódki i dwie siary ze swoich zapasów i urznął się w trupa.

* * *

Jan Pieper, mimo swoich sześćdziesięciu ośmiu lat, trzymał się jeszcze krzepko i podróż do Krakowa nie bardzo go zmęczyła. Jechali z żoną, młodszym synem i synową, dobrym, krytym powozem, na noc zatrzymując się w zajazdach. Pieper często bywał w Krakowie, kupował tam skóry, a sprzedawał często gotowe buty, jego żona jednak, syn i synowa pierwszy raz wyjeżdżali za granicę, do Polski. Na doroczną gliwicką pielgrzymkę do Częstochowy, w podzięce za ocalenie miasta przed Duńczykami, nie chodzili, gdyż rodzina Pieperów złożyła i wypełniła swoje własne zobowiązanie, w podzięce Maryi.

Kiedy więc wjeżdżali do Krakowa, gdzie zatrzymali się u dalekiego kuzyna Katarzyny, wszyscy rozglądali się ciekawie. Katarzyna była nawet nieco zawiedziona. Polską szlachtę w długich strojach widywała czasem i w Gliwicach, a poza tym różnice jakoś jej się nie rzucały w oczy.

Nie przyjechali jednak zwiedzać Krakowa. Po pospiesznym obiedzie wszyscy przebrali się w najlepsze, odświętne stroje, Pieper wziął nawet piękną laskę i dostojnie, powoli poszli do wawelskiej, królewskiej katedry na prymicję młodego Felicjana Piepera.

Kiedy biskup krakowski, w kąpiącej od złota szacie, nałożył swe dłonie na Felicjana, wypalając w jego duszy niezacieralne znamię kapłaństwa, Jan i Katarzyna Pieperowie płakali ze szczęścia, dumy i wdzięczności. Kiedy po pierwszej odprawionej w życiu mszy – wino w krew, chleb w ciało – młody ksiądz, który pierwszy raz w życiu trzymał w dłoniach Chrystusa, uklęknął przed swoim ojcem, objął go pod kolana i poprosił o błogosławieństwo, staremu Pieperowi zrobiło się wstyd, że kiedyś żałował, że syn pójdzie za księdza.

* * *

Ramię świętego Felicjana leżało na biurku pułkownika Moczarskiego.

– Kurwa, to rzeczywiście wygląda jak żywe – powiedział w zamyśleniu pułkownik.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku – odpowiedział służbiście Bartul.

– I pomyśleć, że czarne już pięćset lat temu miały szpeca, który tak to zrobił. Ci to mają, kurwa, wprawę w ogłupianiu mas pracujących, no nie, Bartul? – Moczarski dźgnął relikwię palcem.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Moczarski pociągnął mocnej jak siekiera herbaty ze szklanki, ostrożnie manewrując tkwiącą w niej łyżeczką.

– No i dobrze, dobrze. Świetnieście się spisali, Bartul. Za to może być nawet awans na majora, Bartul, jak to skutecznie doprowadzicie do końca, wiecie?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Dziękuję, towarzyszu pułkowniku.

– Myślę, Bartul, że powinniście wiedzieć, jak sprawy się mają. Nie zapytaliście się do tej pory, po co nam ten religiancki artefakt...

– Nie było rozkazu pytać, towarzyszu pułkowniku, był rozkaz wykonać.

Stary Moczarski uśmiechnął się szeroko. Głupcem byłby ten, który dałby się nabrać na wygląd kapitana Bartula. Pod tymi ciuchami bikiniarza kryje się porządny i lojalny czekista.

– To słuchajcie, Bartul. Jak wiecie, towarzysze radzieccy ku chwale rewolucji trzymają w mauzoleum ciało naszego drogiego przywódcy, którego myśl będzie żyć wiecznie, Włodzimierza Iljicza Lenina.

Bartul uśmiechnął się enigmatycznie. Nigdy nie wiedział, kiedy stary Moczarski robi sobie jaja, a kiedy jest poważny. Moczarski kontynuował:

– Problem jest taki, że Lenin się psuje. Rozumiecie, Bartul? Gnije nam wódz naszej wielkiej rewolucji. No i my chcemy zrobić towarzyszom radzieckim prezent. Będziecie, Bartul, z naszej strony nadzorować badania nad metodami balsamowania zwłok, jakie najwyraźniej zna ta religiancka klika z Watykanu. Pojedziecie z tą ręką do ośrodka wojskowej rozwiadki na Mazurach i będziecie nadzorować. Robimy to w porozumieniu z LWP, z II Zarządem oczywiście, to ma być nasz wspólny prezent dla Ruskich. Wy będziecie reprezentować nas, jako resort; pamiętajcie o tym, że to wy zarządzacie całym projektem. Okazja do polowania też się tam wam trafi, Bartul. A jak nasi najlepsi specjaliści, których na tę okazję powołaliśmy do wojska: fizycy, chemicy, biochemicy, lekarze i konserwatorzy zabytków po analizie tej ręki odkryją metodę zastosowaną przez klechów, to my ją wtedy prześlemy naszym radzieckim przyjaciołom. I będziemy mieć nadzieję, że zaczną nam ufać trochę bardziej. Bo jak wiecie, Bartul, od czasów Solidarności towarzysze radzieccy mają do nas zaufania nieco mniej.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Mam pewien pomysł, towarzyszu pułkowniku, jak to jeszcze wykorzystać z drugiej strony – powiedział Bartul, prostując się na krześle.

– No, to mówcie, Bartul, mówcie.

– W redakcji „Tygodnika Powszechnego” mamy swojego tajnego współpracownika...

– Aby to jednego – uśmiechnął się pod wąsem Moczarski.

– Mi, towarzyszu pułkowniku, chodzi o TW o pseudonimie „Szydło”. Można mu nakazać napisanie artykułu poddającego w wątpliwość prawdziwość relikwii świętego Felicjana... tak jakby z pozycji wewnątrzkatolickich, towarzyszu pułkowniku. Jak to dobrze rozdmuchają, to będzie narodowa debata, niepostępowi katolicy na mur beton będą tej prawdziwości bronić, powołają komisję z Watykanu, która, ku swemu zaskoczeniu, stwierdzi, że to nie jest pięćsetletnie ramię, tylko nieco świeższe. Towarzysz pułkownik wie, jakim kultem cieszy się

w Polsce, szczególnie południowej, święty Felicjan. Jeżeli uda nam się w ten kult uderzyć, zadamy bolesny cios Kościołowi w Polsce.

– A jak komisja z Watykanu i tak, wbrew faktom, orzeknie, że to autentyk?

– Oni nie są tak cwani jak my, towarzyszu pułkowniku.

Moczarski milczał i patrzył na Bartula z podziwem. Wysokie kompetencje podwładnego nie wywoływały u niego reakcji obronnej i lęku. Masz łeb na karku, Jurek. Będiesz moim zastępcą na tym stołku, Jurek.

– Podobacie mi się, Bartul. Wasz plan też mi się podoba. Udzielam wam zezwolenia na jego realizację. Badania mają oczywiście priorytet, ale tym też się zajmijcie. Odmaszerować.

Trzaśnięcie obcasami kowbojskich butów, w tył zwrot. Należy ci się solidna popijawa, chłopie.

* * *

Siostra Benedykta naprawdę lubiła pozostający pod jej opieką składzik. Zachodziła tam raz w tygodniu, po sobotniej jutrzni i z pietyzmem odkurzała, czyściła i polerowała zabytkowe monstrancje, kielichy, cyboria, pateny, poprawiała na wieszakach stare barokowe ornaty, nieużywane już manipularze, kardynalskie czerwone pończochy i birety.

Dzisiaj jednak, kiedy tylko otworzyła drzwi, uderzył ją silny smród zepsutego mięsa. Pomyślała, że to zapewne szczur jakimś cudem dostał się do środka i zdechł. Miała nadzieję, że nie zniszczył zabytkowych szat liturgicznych. Zatykając nos, szukała zdechłego zwierzęcia, jednak na marne. Po chwili stwierdziła, że smród wyraźnie wydobywa się z zamkniętej szafy, do której klucze miała jedynie matka przełożona. Siostra Benedykta nie wiedziała, co jest w szafie, więc uznała, że jedyne, co może zrobić, to udać się do matki przełożonej i poinformować ją o tym.

Matka przełożona Teresa Maria prawie zemdląła, kiedy usłyszała słowa siostry Benedykty. Poprosiła o szklankę wody, wypiła, doszła do siebie, porwała klucze i zbiegła na dół, do piwnicy. Kiedy drżącymi rękami otworzyła szafę, uderzył ją smród tak potworny, że matka przełożona zwymiotowała pod nogi. Zamknęła szafę, pomyślała, że ćwiczeniem w pokorze będzie, jeśli sama posprząta, poprosiła więc o szmatę i wiadro, sprzątnęła wymiociny, chociaż dalej czuła nudności. Potem poszła na górę i zadzwoniła na bezpośredni telefon arcybiskupa, do jego prywatnego apartamentu.

* * *

Piotr Szydłowski ucałował pierścień arcybiskupa, mimo że ten usiłował się wyrwać.

– Wasza ekscelencjo, mam do was taką prośbę... – zaczął.

– Daj spokój z ekscelencjami, Piotrek, wal, o co chodzi – powiedział biskup, a jego sekretarz, młody ksiądz Tomek, zastanawiał się, czy taka bezceremonialność przystoi następcy Apostołów. Może nasz biskup akurat jest następcą tego apostoła, który był bezceremonialny, uznał w końcu młody kapłan.

– Chodzi o relikwie świętego Felicjana. Byłem tutaj już ostatnio w sprawie dokumentacji fotograficznej, a teraz chodzi mi o to, że niektórzy poddają w wątpliwość ich autentyczność i myślałem o takim przeglądowym artykule na ten temat... – rozgadał się Szydłowski i po chwili zamilkł, widząc wydłużającą się twarz biskupa.

– Relikwia ramienia świętego Felicjana została skradziona – powiedział w końcu pasterz diecezji.

Piotr Szydłowski, pseudonim „Szydło”, nie wytrzymał i głośno przełknął ślinę. Miał nieoficjalny przeciek i wiedział, o co chodzi, ale według jego oficera prowadzącego nikt nie miał się w tym połapać – mieli zamiast relikwii podłożyć identyczną, zabalsamowaną rękę. Szydłowski był katolikiem otwartym i nowoczesnym, kult relikwii wydawał mu się pogańskim przeżytkiem średniowiecza, dlatego przychylnie odniósł się do propozycji, z jaką wyszło SB. Przynajmniej lud się trochę oświeci. Teraz jednak nie wiedział, co ma powiedzieć.

– Ekscelencja jest pewien? – wykrztusił w końcu.

Biskup znaczącym spojrzeniem polecił młodemu księdzu opuścić gabinet. Kiedy ten wyszedł, biskup wstał i otworzył szafę. Z szafy wyciągnął ogromny słoje na ogórki kiszzone. Chociaż słoje był szczelnie zakręcony, rozszedł się zapach formaliny, w której, w słoju, zanurzone było szerniałe męskie ramię.

– To jest to, co zostało podrzucone na miejsce prawdziwej relikwii.

Szydłowski panicznie szukał w głowie jakiegoś wātku, którego mógłby się trzymać.

– Ale skąd ekscelencja wie, że to nie jest prawdziwa ręka świętego Felicjana? Tylko dlatego, że się zepsuła? No, po pięciuset latach w końcu mogła się zepsuć, prawda? Może była kiepsko zabalsamowana, ekscelencjo. Ja, przyznam się szczerze, nigdy nie wierzyłem w te niby cuda, że się członki świętego Felicjana nie psują.

Szydłowski pokiwał głową.

– Rzeczywiście, może nie było cudu, chociaż zaręczam ci, nie dalej jak trzy miesiące temu oglądałem tę relikwie osobiście i nie było na niej nawet śladu procesów gnilnych. A jednak dopuszczalby taką możliwość, gdyby nie pewien szczegół.

Biskup przysunął dziennikarzowi *Małą Encyklopedię Katolicką*, otwartą na literze „f”.

– Po lewej, na górze, święty Felicjan. Przeczytaj sobie.

Szydłowski przeleciał wzrokiem po skrótowym haśle.

Felicjan, św. Święty Felicjan Pieper, ksiądz, ur. 1626 w Gliwicach, zginął śmiercią męczeńską 1662, na Krymie. Patron misjonarzy, świeżo nawróconych z

pogaństwa, patron tych, co walczą z islamem, patron kobiet w ciąży. Wielki czciciel Maryi, przyczynił się do rozwoju kultu maryjnego na ziemiach polskich i na Śląsku, misjonarz pogan, nawracał Tatarów krymskich i Turków. Beatyfikowany w 1679, kanonizowany w 1734 roku. Relikwie św. Felicjana znajdują się: lewe ramię w kościele pod wezwaniem św. Felicjana w Wiedniu, serce w katedrze wawelskiej, prawe ramię w kościele pod wezwaniem św. Felicjana w Krakowie.

– No, poza tym, że od trzech lat ukrywamy te reikwie w tajnych miejscach, to wszystko się zgadza, nie? – zapytał Szydłowski, w końcu zapominając o ekscelencji.

– Jak zapewne wiesz, Piotrek, święty Felicjan był synem rzemieślnika, sam nie stronił od pracy. Słyszałeś tę legendę, jak każdemu nawróconemu na chrześcijaństwo Turkowi własnoręcznie szył buty? – zapytał biskup.

– No, słyszałem, słyszałem.

– Zatem nawet w przenośni nie możemy powiedzieć, że święty Felicjan miał dwie lewe ręce, prawda?

Szydłowski przez chwilę nie rozumiał. Zajrzał jeszcze raz do encyklopedii, na słój ze szerniałym ramieniem i pojął. Zanurzona w formalinie ręka była lewa.

* * *

W zasadzie to nowe doświadczenie. Bartul nigdy nie siedział na tylnej kanapie radiowozu, ze skutymi rękami i obitym żołądkiem. Był spokojny o tyle, że ręka świętego Felicjana jechała razem z nim, w bagażniku. Wściekły był również. Po pierwsze, wąsaty milicjant prowadził jego wóz. I to jak prowadził – jakby jechał jakimś cudem polskiej myśli technicznej, szarpał sprzęgłem, przegazowywał silnik na wysokich obrotach, w ogóle nie wrzucał czwórki. Na dodatek idiota musiał pobawić się pokrętłem regulacji niskich obrotów, bo merc gasł mu na każdym skrzyżowaniu. Kapitan miał nadzieję, że posterunek nie jest zbyt daleko. Po drugie, zawałił po raz drugi. Niby nie będzie problemu, telefon do Firmy i z Krakowa pojedzie umyślny z jego dokumentami. Ale Moczarski będzie mu to pamiętał.

Najpierw blamaż z podmianą ramienia i to tak drastyczny – po pierwsze, ramię zgniło, po drugie, było nie te. Jak mógł wtedy tego, kurwa, nie zauważyć? Założył może, że doktor się nie pomyli. O to, że ramię było źle zabalsamowane, może mieć do doktora pretensje, ale przecież to go wcale nie usprawiedliwia przed Moczarskim. Klechy się połapały, wydały komunikat, że relikwia została skradziona, poinformowali, że nie była to zwykła kradzież, gdyż nie zginęło nic poza relikwią, żadne kosztowności. Kurwa, kurwa, mógł przynajmniej coś zwędzić, można by wciskać ludziom, że to złodzieje. A tak każdy gnojek na Grzegórkach i Kaziku gada, że to SB rąbnęło relikwię. Co prawda Szydło jest na tyle

dyspozycyjny, że raczył wyśmiać te podejrzenia na łamach „Tygodnika”, ale ludzie i tak wiedzą swoje.

A teraz jeszcze to. Dać się złapać psom, jak byle gówniarz, z tak błahego powodu. Zapomniał dokumentów. Czy czekista zapomina dokumentów? Wzorowy wywiadowca, kapitan SB, z szeregiem sukcesów na koncie zapomina portfela. Portfel to może sobie zapomnieć robol w drodze na zakład albo wiejska nauczycielka, nie oficer operacyjny. Kurwa mać. Może jednak trzeba było dać psom po ryju albo uciec? Dostałby za to oficjalną naganę od Moczarskiego, może nawet z wpisem do akt, ale nieoficjalnie odebrałby gratulacje. A tak. Będą docinki, stłumione śmiechy – no, śmiechy może nie, za bardzo się go boją i wiedzą, że może dać po ryju, ale za plecami będą, skurwysyny, gadać, że Bartul, „Amerikano”, jak go nazywali, dał się złapać psom, bo zapomniał portfela.

Dojechali na posterunek i gdy siadł ze skutymi rękami przed biurkiem milicyjnej kopii Wałęsy, powiedział w końcu:

– Kapitan Jerzy Bartul, czwarty wydział Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Krakowie. Numer legitymacji taki a taki. Proszę prosić pułkownika Moczarskiego. Proszę uważać na mój ładunek, to sprawa tajna. Może obywatel ponieść odpowiedzialność służbową za jakiegokolwiek rozprzestrzenienie tej informacji.

Milicjant Zdzisiek wymruczał pod nosem parę grubych słów, sierżant Wałęsa popatrzył ciężko na Bartula, podniósł słuchawkę, zakręcił tarczą, odczekał swoje, poprosił o połączenie, zadał kilka pytań. Moczarski na pewno na zewnątrz będzie stał murem za swoim podwładnym, na opieprz przyjdzie czas później. Twarz milicjanta się wydłużyła, ze słuchawki dobiegły stłumione krzyki. Po chwili Wałęsa odpowiadał już tylko: „Tak jest, obywatelu pułkownika”. Ech, Moczarski to potrafi.

Milicjant odłożył w końcu słuchawkę. Długo patrzył na Bartula, który nie odmówił sobie przyjemności ułożenia warg w drwiący uśmiezek, wiedząc, że sierżant będzie musiał to przełknąć. I przełknął. Bał się, za te ciosy w brzuch. I dobrze, niech się boi. Wstał, rozkuł, wszystko bez słowa.

– Moja broń – powiedział Bartul.

Milicjant oddał pistolet, patrząc nań z zazdrością – w Łomży nikt nie miał nowego P-83, a w kaburze milicjanta Wałęsy tkwiła ciągle ciężka tetetka, pamiętająca chyba szturm na Berlin. Bartul wyciągnął magazynek, sprawdził komorę, demonstracyjnie wyluskał wszystkie naboje, przeliczył, załadował z powrotem, wsunął magazynek i schował spluwę do kabury. Postanowił poczekać na dokumenty, ustalił z drugim gliniarzem, kiedy przyjedzie umyślny, i poszedł na obiad do restauracji. Zjadł rosół, schabowego tylko do połowy, bo był jak podeszwa, wsunął kelnerce pięć dych i poprosił o coś dobrego, dostał jadalną pieczeń z karczku, zjadł do końca. Po obiedzie wypił setkę i zagryzł ogórkiem, zaszedł do peweksu i za dwa dolce kupił camele, w sklepie obok dwie oranżady i gazetę. Poszedł do parku, wyciągnął się na ławce, palił, grzał się na słońcu i gwizdał na przechodzące dziewczęta.

Nastrój mu się poprawił.

Wieczorem siedział z powrotem za szerokim kółkiem swojego merca, przekręcił kluczyk, diesel odpowiedział miłym pomrukiem. Bartul odetchnął z ulgą, wsunął do radiomagnetofonu kasetę z Modern Talking, zaśpiewał razem z wokalistą – jurmaj hart, jurmaj sołl – i ruszył w drogę, klepiąc kierownicę w rytm zachodnioeuropejskiej, dekadencjonalnej muzyki.

* * *

Ksiądz Zubrzyński miał pójść na wizytę do arcybiskupa, na Franciszkańską. Zjedliby ciasta z wiśniami, popili herbatą, potem biskup na pewno poczęstowałby jakąś nalewką albo – w upał – szprycerem z wody sodowej i białego wina. Potem spacerowaliby, rozmawiali o świętym Augustynie albo o jakichś błahostkach, aby pożegnać się dopiero po zmroku.

Ale ksiądz Zubrzyński nie poszedł na tę wizytę. Siedział, trzymając w ręku nowy numer „Gościa Niedzielnego” i po raz czwarty czytał artykuł o bezczelnej kradzieży relikwii świętego Felicjana. Miałby rozmawiać o tym z następcą Apostołów? On, Judasz. Zdrajca. Tchórz. Donosiciel. Ścierwo. Kapuś. Szpion. A z nieba patrzy na to świętej pamięci tatuś Zubrzyński, który do pięćdziesiątego pierwszego siedział w lesie i bił się z komunistami. Taki był dumny, że jego syn został księdzem. A jego syn donosi komunistom na swój Kościół. Jego syn się skurwił, zbrukał kapłaństwo, zakochał się w dziwce, którą mu podstawili, rozpracowali go jak dziecko, a taki był pewien swoich przekonań, taki spokojny, bo sądził, że serce wypełnia mu moc Chrystusa. A on, ścierwo, najpierw obraził Chrystusa, napluł na niego, napluł Chrystusowi w twarz swoim postępkami, brukającym dar kapłaństwa. A potem zdradził jeszcze swój Kościół, swojego ojca i wszystkich w tym Kościele. Judasz się powiesił.

Ksiądz Zubrzyński wstał i pobiegł na strych plebanii. Wiedział, gdzie za szafą leży gruba lina, której używali do remontów, wciągając na niej wiadra z cementem i tynkiem. Szybko, szybko. Bez trudu znalazł twardy powróż, przerzucił go przez krokiew. Szybko, nie ma czasu, szybko. Zadzierzgnął pętlę, podstawił sobie pusty kosz po sianie dla królików, wszedł, dopasował długość, zszedł, przywiązał, szybko, szybko, założył pętlę na szyję, konopna lina gryzie i ociera skórę, dociągnął, wykopał sobie kosz spod nóg. Świat zawirował, ciągle żyje, ręce wczepione w miażdżącą gardło pętlę, twarz zaraz mu pęknie, nogi kopią powietrze, miało być tak prosto, a to tortura, tortura, ręce coraz słabsze, charkot, kopie powietrze, bicepsy już go nie utrzymają, zaraz lina tępo urznie mu głowę, nagle młyńskie kamienie, które ktoś uwiązał mu do nóg, znikają, jakieś ramiona obejmują go w pasie, podnoszą, krzyk, zmiażdżone gardło, krzyk, tchu, oddech, ktoś po schodach, na górę, szarpie linę nad jego głową, nie, przecina, kładą go na podłodze, nie, nie, luzują pętlę, nie, nie, nie, nie, nie, zostawcie, do diabła, już był blisko, nie, nie, nie, nie, o Boże, nie.

Wikary oddychał ciężko. Patrzył na gospodynię, która nie umiała opanować szlochu. Przyłożył głowę do piersi proboszcza – serce biło, oddychał, żył.

– Niech pani dzwoni po pogotowie, czym prędzej! – krzyknął w końcu.

Siedział nad swoim proboszczem i myślał, kim jest człowiek, który potrafi w dwa dni zmiąć w dłoniach czyjeś życie, jak papierek. Zmiąć, wrzucić do kibla, spuścić wodę, zapomnieć. A dla księdza Zubrzyńskiego skończyło się wszystko na tej konopnej linii do wciągania wiadra z cementem.

* * *

Mimo mrozu, który ściał step kamienną zmarzliną, w chacie było ciepło. Pod drzwiami leżała łacha nawiewanego śniegu, który ksiądz Felicjan co jakiś czas sprzątał. Gliniany piec grzał potężnie – i chociaż nad ranem woda w cebrzyku była zamrznięta, to na zapiecku ksiądz proboszcz sypiał w samej koszuli, a wielkie krople potu błyszczały mu na czerwonym czole.

Siedzieli razem przy stole, Pieper, proboszcz i zakrystian, organista i parobek w jednej osobie, niemy Rusin, Hrehory. Wąty płomień świecy reprezentował na stole wielki ogień, co płonął w piecu i nastrój w chacie mógłby być przyjemnie zimowo-przytulny, gdyby nie ciężkie spojrzenia i złe słowa, wiszące nad tą wieczerzą.

Felicjan milczał, kiedy proboszcz Horczewski, herbu Trąby, perorował, jaka to szkoda, że byle niemiecki łyk może w naszej Polsce być kapłanem. Hrehory przyklaskiwał każdemu słowu swojego chlebobawcy, wielce sobie ceniąc parafialny wikt i opierunek. Ksiądz proboszcz podpiał sobie zdrowo zimowego piwa i coraz bardziej miał dosyć spokoju i milczenia swojego wikarego, który nijak nie reagował na zaczepki, w żaden sposób nie dawał się sprowokować, nie odpowiadał drwiną.

– A jak świętej pamięci dziad mój, Mikołaj, co służył w chorągwi pana pułkownika Piewnicza, rodem z Wołynia, rekonesans prowadził na Śląsku, w kampanii, co ją przeciwko habsburskiemu uzurpatorowi przedsięwzięto, wjechał ze swymi kozakami do śląskiego miasta, które nazwy nie pomnę, niestety, i śląskie łyki spyży dla ludzi i koni dać nie chciały, w domach swoich się zamknąwszy, jęły się z rusznic ostrzeliwać, to im dziadzio taką surpryzę sprawił, że te domy, w których chamstwo się broniło, podpalał; a jak który wybiegł, to go kawalerstwo łapało, z szatek rozdziewało – czy chłop, czy baba – i dalej siec kańczugami, aż padali nieprzytomni. Jak inne łyczki zobaczyły, co się dzieje, dalejże się poddawać, oddawać nie tylko spyżę, ale i kosztowności, i na kolana – bach – i błagać dziadzia, aby im domostwa oszczędził. Z dziadziusia był ludzki pan i tylko dwie kamienice z dymem poszły.

Hrehory szczyrzył czarne pieńki zębów w kompulsywnym uśmiechu, proboszcz Horczewski patrzył, czy ta zmyślona historyjka robi jakieś wrażenie na księdzu Felicjanie; a Felicjan Pieper śmiał się w duszy, bo dobrze wiedział, że szlachcic tylko dzięki piątemu kufłowi piwa i tylko na chwilę pokonał w proboszczu kapłana. Wikary wiedział, że proboszcz

go szczerze nie znosi; ale wiedział też, że Horczewski, nie dalej jak wczoraj, na piechotę brnął pięć mil z wiatykiem do umierającego ruskiego chłopca, który na koniec życia z prawosławia postanowił się na rzymską wiarę nawrócić, bo mu się Maryja ukazała i rzekła, że papieża słuchać trzeba. Po drodze proboszcz odmroził czubek nosa i wystrzelał wszystek proch i kule do arkebuza, odstrasząc wilki, ale dotarł na czas. Na powrót udało mu się już u chłopów podwodę z saniami wyblagać.

Ksiądz Felicjan uznał więc, że skoro proboszcz całym sercem miłuje Jezusa i swoich parafian, to już niekoniecznie musi kochać swojego wikarego.

* * *

Piękny koziołek! Bartul nie posiadał się z radości, to właśnie to, co najbardziej kocha w polowaniach. Długa zasiadka nad ranem, ze sztucerem na kolanach i lornetką na szyi, nagrodzona pięknym kozłem sarny, z ładnymi parostkami. Trafił pięknie, na komorę, kozioł, jak należy, zerwał się do góry, przeskoczył kilka metrów i padł martwy. Bartul postanowił wypatroszyć go jeszcze w lesie, podwiesił na gałąź, przesunął parę razy oselką po ostrzu fińskiego noża i najpierw wytrzebił zwierzaka, żeby mięso nie zgorzkniało, wypreparował tchawicę, rozciął powłoki brzuszne i usunął wnętrzności, wyrzucając je w krzaki, na żer dla lisów.

Zarzucił sobie wypatroszone zwierzę na plecy, sztucer powiesił na szyi i wolnym krokiem wrócił do gazika, który zaparkował kilometr dalej, po czym pojechał do ośrodka. Przy bramie wartownik w hełmie i z kałasznikowem na plecach podniósł szlaban i zsalutował, Bartul wjechał i zaparkował samochód. Chwycił za rękaw przechodzącego żołnierza, wręczył mu zenita, w którym sam już ustawił czas, ostrość i przysłonę, i kazał się sfotografować, z koziołkiem na masce gazika, sztucerem z fasonem przewieszonym przez pierś i z szerokim, amerykańskim uśmiechem przyklepionym do twarzy. Zawołał jeszcze dwóch oficerów, którzy również polowali i pochwalił im się zdobyczą. Pogadali chwilę fachowo o łowach, zanim Bartul oddał kozła do kuchni, polecając przyrządzić sobie comber z sarny i wygotować czaszkę, z której zamierzał zrobić ładne trofeum, po czym wrócił do swoich obowiązków.

Które zresztą na razie nie były zbyt absorbujące. Przyjechał przed dwoma dniami, przekazał relikwię komu trzeba, przywitał się z naukowcami – doktor Tomanek, Jackowski, docent Wierzyński, szef zespołu profesor doktor habilitowany Szeliga, bardzo mi miło. Naukowcy pokazali mu laboratorium, sprzęt – mikroskopy to jedyne, co Bartul rozpoznał, reszta urządzeń w ogóle go nie interesowała, przedstawił się, poprosił o cotygodniowe raporty z prac i na bieżąco meldowanie o trudnościach i zapotrzebowaniach, powiedział, że pozostawia całkowitą swobodę – i zajął się sobą.

Urządził się miło w pokoju – w szafie powiesił koszule i marynarki, poukładał równo swetry, na parapecie postawił przenośny radiomagnetofon grundigunitra, cierpliwie kręcąc

pokrętem znalazł Program Trzeci, dogadał z komendantem szczegóły przechowywania broni – nie zamierzał oddawać swojego mannlichera, dubeltówki i boka do magazynu – i do jego pokoju wstawiono metalową szafę na broń. Na stoliku nocnym obok łóżka postawił artystyczne zdjęcie nagiej Jolki – sam je zrobił i wywołał w swojej małej ciemni w piwnicy.

Rano był na spotkaniu roboczym, z którego nic nie wyniknęło, wieczorem ze smutkiem zauważył, że całkowity zakaz picia alkoholu na terenie ośrodka zdaje się być przestrzegany – obiecał sobie, że się dostosuje, po dwóch ostatnich wypadkach postanowił dmuchać na zimne, potem obiad, nic do roboty wieczorem, pokręcił się po laboratorium, w którym naukowcy dopiero przygotowywali się do pracy – chyba nawet jeszcze nie wiedzieli, nad czym będą pracować, zadał parę dyletanckich pytań, nie zrozumiał odpowiedzi i poszedł na kolację. Po kolacji walnął się od razu spać, żeby nad ranem być rześkim i gotowym na polowanie.

Kiedy wrócił z łowów, poszedł znowu na chwilę do laboratorium. Od razu wyczuł, że atmosfera jest zupełnie inna – naukowcy unikali kontaktu wzrokowego, na pytania odpowiadali półgębkiem. Domyślił się, dlaczego – pewnie właśnie dowiedzieli się, na czym będzie polegać ich praca. Trudno, jebał ich pies, pochodzą z tą myślą przez dwa dni i im przedzie. Postanowił jednak spróbować zmotywować ich dodatkowo do pracy na jutrzejszym spotkaniu roboczym. Tymczasem, nie mając zajęcia na wieczór, poszedł popływać w pobliskim jeziorze, wrócił odświeżony do pokoju i otworzył książkę.

Bartul rzadko czytał, chociaż raczej z braku czasu, niż z niechęci do słowa pisanego – bardzo lubił amerykańskie powieści sensacyjne, MacLeana lub Forsytha, dobre kryminały, chociaż raczej nie te, które wydawały mu się po prostu łamigłówką. Lubiał jednak poczytać Chandlera czy Hammeta – dla klimatu i nastroju, chciał postrzegać samego siebie przez pryzmat Marlowe’a, jako twardego faceta z zasadami, z tą różnicą, że Marlowe był jednak, koniec końców, zawsze przegrany, a on, Bartul, jest z zasady zwycięzcą.

Tym razem jednak nie wyjął, jak mu się zdawało, książki o twardych facetach. Nie lubił kupować książek, wydawało mu się to niepotrzebnym marnotrawstwem pieniędzy – bo po co trzymać książkę, którą się już raz czytało? – więc wypożyczał je z biblioteki miejskiej. Szukając czegoś do czytania na wyjazd, wertował karty z nazwiskiem MacLean i natrafił na książkę, której autorem był niejaki Maczyński, jednak to nie nazwisko pisarza przykuło uwagę Bartula, lecz tytuł – *Żywot św. Felicjana. Prawda i mit*. Wydawnictwo PAX, rok 1972. Czemu nie? – pomyślał i wypożyczył książkę, ignorując zdziwione spojrzenie bibliotekarki, przyzwyczajonej do innego repertuaru.

Teraz więc, siedząc w slipach na łóżku, otworzył *Żywot św. Felicjana...* Jerzego Maczyńskiego i zaczął czytać. Robił to niezbyt szybko, być może dlatego, że czytał nad wyraz starannie, nie zdarzało mu się omijać zdań, nigdy nie przesunął się wzrokiem nad akapitami, lecz sumiennie i metodycznie przyswajał po kolei treść książki, z umysłem wyczulonym na detale. Dlatego drażnili go autorzy, popełniający w swoich tekstach drobne nieścisłości – wyłapywał od razu, że trzecioplanowy bohater na stronie 32 pochodził z

Poznania, a na stronie 398 z Gdańska. Z trudem przebrnął więc przez nudny wstęp, nieco więcej zainteresowania miał dla krótkiej charakterystyki tła historycznego, a kiedy doszedł do opisu oblężenia Gliwic przez Duńczyków, miał wrażenie *déjà vu* – nie czytał na pewno tych słów, ale widział już gdzieś ten obraz (zapewne grupową halucynację) – Matkę Boską nad oblężonym miastem. Wrażenie było tak silne i irytujące, że przerwał na chwilę lekturę, ale nie udało mu się przypomnieć sobie niczego. Czytał dalej i kiedy doszedł do opisu rodziny świętego Felicjana, zmartwiał.

*Jan Pieper, mistrz szewski, całując delikatny kark i gniotąc obfite piersi żony, jęknął donośnie i spełnił się. Katarzyna Pieperowa, oplatająca dotąd nogami potężne łądzwie męża, niemal w tym samym momencie przeżyła potężny spazm i krzyknęła:
– O, Jezu!*

Pamiętał dokładnie ten sen. Uznał go za zwykłe, erotyczne marzenia, chociaż były dziwne przez swój historyczny kontekst. Teraz, czytając o Janie Pieperze, szewcu, i jego żonie Katarzynie, po prostu wiedział, że wielkie chłopisko z jego snu, różące cysatą blondynę, to Jan Pieper i jego żona. Oczywiście w katolickiej książce nikt nie opisał sceny, która mu się przyśniła. Przypomniał sobie inne sny, które wcześniej uznawał za absurdalne: kobieta uciekająca wozem przed rajtarami, chata w stepie, uroczystość w katedrze wawelskiej – sądził, że to przez to, że był ostatnio w kinie na *Potopie*, z nudów.

Odłożył książkę i drżącymi dłońmi włożył grzałkę do kubka, zagotował wodę i zrobił sobie herbatę. Nie pomogło. Musi zadzwonić do generała Anysza. Na szczęście Moczarski zażądał dla niego telefonu w pokoju, nie zważając więc na porę, wykręcił numer generała.

* * *

Kiedy Bartul dodzwonił się do domu starego generała, ten, po „Dzień dobry, generale” Bartula, zapytał tylko:

– Skąd dzwonicz, Bartul?

Po czym kazał mu zmienić telefon na bezpieczny. Bartul wskoczył więc do gazika, bo nie chciało mu się wyciągać merca z garażu, i pojechał do Pizsu. Kiedy znalazł tam automat telefoniczny i wyposażył się w odpowiednią ilość bilonu, wybrał ponownie numer Anysza.

Bartul roztrzęsionym głosem relacjonował Anyszowi swój problem, stary generał milczał. Wysłuchał swojego podopiecznego do końca, po czym milczał jeszcze jakiś czas.

W końcu zaczął mówić, a Bartul nie ośmielił się mu przerwać.

– Wiedziałem, że kiedyś na to trafisz, Jurek. W zasadzie powinniśmy się spotkać nad flaszką wódki i pogadać, przez kilka godzin przynajmniej. No, ale jak widzę, w tym wypadku nie mamy na to czasu, więc muszę ci pomóc tak, jak mogę. Nie dyskutuj, nie zadawaj pytań,

nie kwestionuj tego, co ci mówię w tej chwili, bo nie możesz sobie teraz pozwolić na wątpliwości. A zatem słuchaj, Jurek, i odpowiadaj tylko wtedy, kiedy ja ci zadam pytanie, dobrze?

– Oczywiście, generale – wyszeptał Bartul, a jego wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach, gorączkowo przeglądając najbardziej fantastyczne wytłumaczenia, dla których Anysz zdawał się wiedzieć, o czym Bartul mówi. Kapitan spodziewał się, że Anysz poleci mu jakiegoś psychiatrę albo każe sprawę zignorować, zamiast przyjąć Bartulowe rewelacje ze spokojnym: „Wiedziałem, że kiedyś na to trafisz”.

– Widzisz, chłopcze, od kiedy jestem na emeryturze, mam więcej czasu na czytanie filozofii, niż miałem kiedyś. I teraz, uważaj, pytam ciebie: jaki jest twój pogląd na istnienie Boga, Jurek?

– Bóg nie istnieje, generale – odpalił szybko Bartul.

– Dobra, ale ja pytam o twoje osobiste przekonanie, nie opinię z kursu.

Kapitan zastanowił się chwile.

– Osobiście to nie wiem, generale. W zasadzie nic mnie to nie obchodzi, jeśli nawet jakiś tam Bóg istnieje, to i tak nie wierzę w te wszystkie chrześcijańskie bzdury o niebie, piekle i innych tam.

– Dobrze, chłopcze. Teraz słuchaj i nie przyjmuj tego jako teoretycznej opinii czy modelu, bo takich nie mam, tylko jako wiedzę sprawdzoną empirycznie. Nie powiem ci ani słowa ponad to, co sam wiem, bo tego doświadczyłem, sprawdziłem, widziałem. Rozumiesz? Nie przedstawię ci moich przekonań, tylko wiedzę, jaką posiadam.

– Tak... – Bartul chciał potwierdzić odruchowym: „Tak jest”, ale generał nie zwrócił na to uwagi i kontynuował, nie przerywając.

– Zatem, do rzeczy. Świat nie jest tak po prostu materialny, jak się zdawało Marksowi. Marks prawie we wszystkim miał rację, ale w tej podstawowej kwestii się mylił. Nie znaczy to od razu, że Bóg istnieje, papież jest nieomylny, a w opłatku mieszka Bóg, czy jak tam sobie to katolicy tłumaczą, nic z tych rzeczy. Wiem jednak na pewno, że świat to nie tylko atomy, elektrony, fale i grawitacja, rozumiesz, Bartul? Wiem, bo to sprawdziłem, wiem, bo widziałem na własne oczy rzeczy, których nie da się wytłumaczyć fizycznie... ba, które da się wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Jeszcze, psiakrew, w Kujbyszewie. Albo w pięćdziesiątym pierwszym, kiedy z Brystygierową przesłuchiwaliśmy jedną siostrę zakonną. A więc słuchaj, co wiem: w świecie toczy się...

Trzask. Coś przerwało połączenie, kapitan, znając metody działania w takich przypadkach, od razu podejrzewał najgorsze. Na próbę połączył się jeszcze raz – odpowiedział mu sygnał zajętości.

Zaczął szybko analizować sytuację. Anysza przejście na emeryturę było przyspieszone, to pewne – jednak w Firmie pozostało potężne stronnictwo wychowanków i współpracowników generała. Anysz podobno był zmęczony i dlatego nie bronił się zbyt mocno. Jego pozycja

ciągle była bardzo silna, bo miał zakulisowy wpływ na swoich byłych ludzi – chociaż nie angażował się bezpośrednio, służył jednak radą – tak jak Bartulowi w tej chwili. Okazało się jednak, że ktoś podsłuchiwał telefon Anysza. Mógłby to być obcy wywiad albo nawet wywiad sojusznicy, lecz nieufny – jednak im zależałoby na tym, żeby usłyszeć, co stary ubek miał do powiedzenia młodemu. Ci, którzy odcięli połączenie, nie chcieli, żeby Bartul usłyszał, co Anysz zamierzał przekazać – mogli to być tylko swoi. Czyli wiedzą o sytuacji, która jest kapitana Bartula udziałem, i wiedzą również, że powinien w pierwszej kolejności zameldować o tym swojemu przełożonemu, nie emerytowanemu mentorowi. Kolejna, kurwa, wpadka. Trzeba naprawiać. Podniósł słuchawkę automatu i zadzwonił do Moczarskiego. I powiedział całą prawdę, bo nie miał możliwości manewru. W końcu zabrakło mu bilonu, ale miał pewność, że nic mu nie grozi, rozkaz nie zawracania dupy pierdołami i jasno sformułowane polecenie:

– I na koniec, towarzyszu kapitanie. Bardzo szanujemy towarzysza generała Anysza, jego kujbyszewską kartę, walkę o wyzwolenie i walki z bandami. Nie mamy nic przeciwko temu, żeby towarzysz generał przekazywał swoje doświadczenia młodym funkcjonariuszom. Ale o jedynym, towarzyszu, musicie pamiętać. Towarzysz generał Anysz na emeryturę przeszedł, gdyż trudy służby odbiły się na jego zdrowiu, jakby to powiedzieć, psychicznym, rozumiecie? Generał Anysz zaczął wyznawać pewne absurdalne i nienaukowe poglądy, spotyka się z najdziwniejszymi ludźmi. I tym poglądom nie powinniście dawać posłuchu, rozumiemy się? Do końca aktualnego zadania macie zakaz kontaktów z towarzyszem generałem.

* * *

Ksiądz Pieper Inianą szmatą zbierał wymiociny, płukał szmatę w lodowatej wodzie, w cebrzyku, i ścierał podłogę z desek dalej, aż była czysta. Kiedy zagrzebana w barłogu dziewczyna, imieniem Katia, popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem, zdążył podstawić jej cebrzyk. Dziewczyna wymiotowała długo, a ksiądz czekał, aż skończy.

– To już, księżu proboszczu, nie godzi się wcale – usłyszał zza pleców.

Odwrócił się. Na progu jego plebani stał pan Krzysztof Waraźdyński, herbu Warnia. Wracał chyba z polowania, bo nosił praktyczny strój zachodni – wysokie buty i skórzany kolet, chociaż był przy szabli i w kołpaku.

– Wie ksiądz dobrodziej, co chłopstwo gada? Że sobie ksiądz wziął kochanicę, zrobił jej bękarta, a teraz ją na plebani pielęguje. Co się księdzu wydaje? Że jak popy mogą, to księdzu też wolno? To ja księdza dobrodzieja oświecić pragnę: nawet popy jeno z żonami własnymi żyją, a ksiądz dobrodziej na plebani cudzołóstwo uprawiać raczy. To tak dalej trwać nie może!

Pieper milczał. Stał do końca nieczystości z podłogi, okrył porządnie Katię i spojrzał na krucyfiks z wdzięcznością. Chryste, dziękuję ci, że nakładasz na mnie ten krzyż. Daj mi dość woli i siły, abym potrafił go unieść.

– Jeślim waszą miłość w czym uraził, wybaczenie, pokornie proszę – powiedział.

Warażdyński poczerwieniał na gębie.

– Ksiądz dobrodziej ogłuchł! Rzekłem, że nie będę tego tolerował! Nie na mojej ziemi! Ma się ksiądz wynosić, niech no jego ekscelencja ksiądz biskup przyślą jakiegoś kapłana, co nie będzie się z kurwami zadawał! I niech ksiądz swoją kochanicę ze sobą zabierze! – wrzeszczał.

Pieper pochylił głowę.

– Ja waszą miłość pokornie przepraszam, ale nijak mnie parafii opuścić, póki mię tego jego ekscelencja ksiądz biskup nie rozkażą.

Warażdyński sapnął ze wściekłości. Wargę mu zadrgała, siwy wąs nastroszył się, upodobniając kresowego szlachcica do wściekłego wilka. Podszedł do księdza, zasłaniającego dziewczynę własnym ciałem, zza pasa wyjął grubą nahajkę.

– Chce ksiądz dobrodziej tego posmakować? – warknął, podtykając księdzu bat pod nos.

– Jeślim był przyczyną, dla której wasza miłość tak się wzburzyła, niech mi Bóg wybaczy i wy mi wybaczenie, waszmość.

Warażdyńskiemu żyły na szyi zaczęły pulsować, zdawało się, że pęknie. Prawie wznosił już rękę do ciosu, jednak powstrzymał się i wyrzucił z siebie tylko:

– Tydzień!

I wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Ksiądz Pieper trwał nieruchomo, aż nie usłyszał odgłosów, świadczących, że Warażdyński z poczem oddalili się. Padł wtedy na kolana i jął przeproszać Boga, że tak nieumiejętnie rozmawiał z panem Warażdyńskim, który jest przecież zacnym człowiekiem, dobrym mężem i ojcem, a nadto wsławionym obrońcą chrześcijaństwa, co wiele razy swoje życie kładł na szali w bitwach i patrolach. Odmówił od razu w intencji pana Warażdyńskiego dwa „Pater noster”, po czym jął modlić się za Katię.

* * *

Sny nie opuszczały Bartula, ale postanowił nie kusić licha i do *Żywotu św. Felicjana...* już nie wracał. Nie miał na to zresztą zbyt wiele czasu. Po obu rozmowach wrócił szybko do ośrodka. Wartownik przy bramie, kiedy tylko zobaczył Bartula, zaszalutował i powiedział:

– Obywatelu kapitanie, melduję, że major Osiatyński szuka obywatela po całym obozie, w jakiejś bardzo pilnej sprawie.

Bartul poszedł prosto do biura majora. Osiatyński siedział za biurkiem, przyciskając do swojej wielkiej głowy słuchawkę – odłożył ją od razu, kiedy tylko kapitan otworzył drzwi.

– Szukaliście mnie, obywatelu majorze.

– Mamy problem, Bartul.

Bartul postanowił zachować się jak profesjonalista – uwielbiał to słowo z amerykańskich filmów. Nie wypytywał więc, kiwnął tylko głową, wyciągnął camelę, poczęstował majora, zapalili. Major skomplementował papierosa, wypalił do końca, popił herbatą i przeszedł do rzeczy.

– No więc, Bartul, doktor Tomanek odmówił współpracy. Pomówcie z nim... szeregowy Bilski was zaprowadzą.

– Jak to odmówił? Dlaczego? – zdenerwował się podwójnie Bartul. Najpierw zirytowała go zasłyszana informacja, potem zdenerwował się własną irytacją.

– A ja nie wiem, Bartul, dlaczego. Nie moja broszka. Nadzór nad uczonymi to wasza sprawa, wy z nim gadajcie.

Jesteś profesjonalistą, Bartul, profesjonalistą. Przybrał zblazowany wyraz twarzy i kiwnął głową, wyciągając ostatni dym z camela, który zaczął już parzyć palce. Zgasił peta w popielnicze, pełnej po brzegi.

– Bułka z masłem, obywatelu majorze – powiedział i podniósł się leniwie z krzesła.

Szeregowiec zaprowadził Bartula do salki konferencyjnej obok laboratorium.

Doktor Tomanek, mały, zwinięty w sobie, łysy facecik o żółtych od tytoniu palcach siedział za stołem, nerwowo polerując połą fartucha grube okulary. Bartul odsunął sobie krzesło, siadł, jesteś profesjonalistą, Jurek, odchylił się w fotelu, buty w kowbojkach wywalił na stół, zapalił camelę. Cisza i milczenie przed przesłuchaniem są jak przygotowanie artyleryjskie przed szturmem – powtarzał wykładowca na kursie technik śledczych. Więc milczał, a Tomanek jeszcze bardziej się skulił w sobie, a każda sekunda milczenia była jak cios.

– No, Tomanek, toście sobie nawarzyli piwa – powiedział wreszcie od niechcenia Bartul, między jedną a drugą chmurą niebieskiego dymu.

A Tomanek mięknie, pęka, sypie się. Bartul uśmiechnął się w duchu. No to teraz mocny akord. Zerwał się z krzesła, odkopując stół, z hukiem i traskiem, przyskoczył do przerażonego naukowca, nachylił się nad nim i ryknął:

– Co wy sobie, kurwa, myślicie, Tomanek? Że będziecie sobie ze mną lecieć w chuja? Ze mną, kurwa?

Dup pięścią w stół, szklanka z herbatą, którą ktoś litościwie postawił przed doktorem, podskoczyła i rozlała bładny płyn na stół i na spodeczek. A teraz stanowczo, ale spokojniej. Przysunął sobie krzesło.

– Czy wy sobie, kurwa, Tomanek, zdajecie sprawę ze znaczenia naszego projektu dla dobra naszej socjalistycznej ojczyzny? Wiecie, kurwa, ile dewiz poszło na cały ten sprzęt w laboratorium? I takie zasrańce, jak wy, Tomanek, których nasza socjalistyczna ojczyzna za darmo wykształciła, teraz będą się, kurwa, stawiać? Zostaliście powołani do wojska, Tomanek. A to, co teraz robicie, to jest odmowa wykonania rozkazu. Powiedziałbym wam,

jakie są tego konsekwencje, ale nie powiem, bo oficjalne konsekwencje to jest nic przy tym, co ja wam zrobię, Tomanek, jeśli w ciągu kwadransa nie doprowadzicie swojej inteligentkiej osoby do porządku i nie wróćcie do laboratorium, rozumiano?

Doktor Tomanek, ewidentnie nieprzywykły do obcowania z niczym nie maskowaną agresją, trząśł się. Bartul był pewien, że inteligencik zaraz wstanie, wyjąka przeprosiny i wróci do pracy – póki nie spojrzał mu głęboko w oczy i nie dojrzał głębokiej determinacji, która wyraźnie wycierała spod strachu. Kapitan zrozumiał – naukowiec bał się jak cholera, trząśł się cały – tym bardziej, że uważał, że nie może zrobić tego, co każe mu esbek i piekielnie bał się konsekwencji, jakie poniesie. Czyli nie będzie tak prosto. Nie wystarczy po prostu pogrozić, nawet wpierdol lekki by nie wystarczył, facet boi się konsekwencji, wyobraża sobie nie wiadomo co, więc jest na nie przygotowany, liczy się z nimi, tak go Bartul nie złamie.

Ciągnął dalej swoją wzburzoną przemowę, ale tylko przez chwilę, zaraz wstał i zaczął przechadzać się po sali, jakby starał się uspokoić. Cisza i milczenie, milczenie i cisza. Usiadł znowu, w zmienionym nastroju – przesłuchiwany najbardziej obawia się śledczego, który jest w wyraźny sposób nieobliczalny, gdyż wtedy liczy się również z groźbami, które wykraczają poza normalny sposób postępowania, a więc na przykład z groźbą ciężkiego pobicia lub nawet śmierci. A słuchacze kursu pilnie skrob-skrob w bladoniebieskich zeszytach w kratkę: po-bi-cia lub, przecinek, na-wet, przecinek, śmie-rci, kropka.

– Dobra, panie doktorze, niech pan powie, tak po ludzku, dlaczego nie chce pan robić tego, co do pana należy?

Czujne spojrzenie śledczego. Boi się powiedzieć.

– Niech pan mówi, panie doktorze, proszę się nie obawiać.

Tomanek założył grube okulary na nos, otarł usta, wyprostował się na krześle.

– Bo to jest, proszę pana, profanacja. Ja wiem, co to jest, to jest skradziona Kościołowi relikwia. I ja nie będę w tym uczestniczył.

– Jak nie pan, doktorze, to ktoś inny – odpowiedział Bartul i zaraz skarcił się w myślach. Źle, źle, przecież on wie, że nie jest w stanie zapobiec temu, co my zrobimy, a jedynie chce uniknąć osobistej odpowiedzialności za to, błąd, błąd.

– Ja o tym wiem, proszę pana. – Mały facecik odzyskuje odwagę i pewność swoich przekonań, Bartul klnie w myślach. – Ale ja po prostu nie mogę. Ja jestem katolikiem i nie mógłbym spojrzeć sobie w oczy w lustrze, gdybym to zrobił. Nie zmusi mnie pan do tego, może mnie pan bić, może mnie pan zamknąć w więzieniu, może pan grozić mojej rodzinie, ja po prostu nie mogę. Wiem, że wylecę z uczelni, wiem, że nie będę mógł znaleźć pracy, tak, mam dwójkę dzieci. Ale to jest relikwia, proszę pana...

No, kurwa, pięknie, myśli Bartul. Ale tu jest możliwość ataku.

– Panie doktorze, jest pan katolikiem... Dobrze. W porządku. Pan mi nie uwierzy, ale ja również jestem wierzący. Ale przecież intelektualista, uczony, jak pan, nie musi wyznawać

średniowiecznych przesądów: relikwie, cuda... na co to komu? Czyż wiara to nie jest osobista relacja człowieka z Bogiem? Te wszystkie rytuały, obrzędy, święte przedmioty to było dobre tysiąc lat temu, a nie teraz w dobie telewizji, komputerów i lotów kosmicznych, nie sądzi pan?

Tomanek uśmiechnął się lekko, z wyższością. Uśmiechnął się z wyższością, ja pierdolę! Bartul zaraz chwycił, że adwersarz jest silniejszy intelektualnie od niego i że w ten sposób nie da rady. Z przerażeniem stwierdził, że kończą mu się argumenty – a co gorsza, zaczyna swojego adwersarza podziwiać. No bo to przecież, kurwa, nie byle co – facet zdaje sobie dokładnie sprawę, że może skończyć jak Popiełuszko, możemy go zniszczyć, zrobić z niego cwela w najgorszym więźniu w Polsce, możemy oddać jego dzieci do sierocińca... I Bartul nawet nie zauważył, że już wykrzykuje te groźby, ryczy je, wrzeszczy, waląc pięścią w stół i nachylając się nad Tomankiem:

– ...oddać dzieci do sierocińca, żona wyleci z pracy, zatrujemy ci, chuju, życie, zniszczymy, rozjebimy, wylądujesz, chuju, w worku w rzece, jak ten cały Popiełuszko, rozgłosimy, że jesteś pedałem i zgwałciłeś własnego syna, wiesz, chuju, co w więźniu gity robią z gwałcicielami dzieci? Zajebią cię, chuju, na śmierć, wyruchają jak kurwę, będziesz im, chuju, ciągnął druta, każdemu, będą na ciebie szczali, a potem cię zajebią, kurwo jedna, rozumiesz?

A Tomanek trzęsie się ze strachu. Bartul siada ciężko na krzesło i widzi, że facet nie pęka.

Co ci daje siłę? Przecież widzę, jak się boisz. Boi się, ale nie pęka, coś w tym małym okularniku, w tym inteligenciku, który zapewne nigdy nawet się z nikim nie bił, który pewnie nie umie zabić karpia na gwiazdkę, który pewnie nigdy nie strzelał z pistoletu czy z kałacha, a jak chce przelecieć własną żonę, to ją o to prosi – w tym małym okularniku jest coś, co jest silniejsze i twardsze niż groźby Bartula, niż przemoc, ciosy, więzienie. Zrozumiał – nie wygra z nim. Doktor Tomanek, chudy inteligencik w kusej marynareczce, pokonał kapitana Służby Bezpieczeństwa w dewizowych lewisach i kowbojkach. Bartul uspokoił oddech.

– Pakujcie się i jedźcie do domu – powiedział nie swoim głosem. – Piśniece słowo o tym, co tu widzieliście, a osobiście was wykończę – dodał już bardziej stanowczo.

Tomanek zerwał się z krzesła i wybiegł z sali. Bartul zapalił papierosa i, siedząc z nogami na stole, myślał o tym, co powie Moczarskiemu. Nie miał zbyt wielu pomysłów na dobre usprawiedliwienie.

* * *

Walenie do drzwi.

– Wstawaj, klecho! U mnie słowo droższe pieniędzy, a rzekłem: tydzień... i tydzień minął. Po dobrociś nie chciał, w łykach pójdziesz.

Warażdyński popchnął drzwi – otwarły się łatwo. Wszedł do izby, proboszcz Pieper stał przy łóżku, w sutannie, w kącie kuliła się Katia.

– Nie godzi się mi parafii opuścić, miłościwy panie. A was proszę, nie podnoście na mnie ręki, bom osoba duchowna i grzech wielki zaciągniecie, ale i modłę się, że jeżeli podniesiecie, to aby wam to policzone nie zostało, bo w dobrych intencjach czynicie – poprosił kapłan.

Szlachcic zatrzymał się przed księdzem, stanął tak blisko, że rękojeść szabli trącała księdza w bok.

– Księżę dobrodzieju, czy mam was jak psa za kark na majdan wyciągnąć? – wyszeptał.

– Pokornie przepraszam, że waszą miłość do gniewu przywiodłem, ale nie godzi mi się inaczej czynić – powiedział Pieper, spuszcżając wzrok.

Warażdyński wielką łapą ucapił wątłego księdza za kark i wyprowadził go tak przed chatę, gdzie stało kilku konnych pachółków, dwukółka i syn Warażdyńskiego, Zbigniew, na pysznym tureckim siwku.

– Siadajcie na wóz, księżę proboszczu. Semen, idź po dziewczkę i wygnaj ją, niech idzie precz ze swoją hańbą.

Ksiądz Felicjan stał obok wozu, bez ruchu. Niski i krępy pachół zeskoczył z siodła i rozkołysanym krokiem krzywych nóg wszedł do chałupy, i wyszarpał z niej dziewczynę, odzianą w same tylko giezło, pod którym rysował się wyraźnie zaokrąglony brzuch. Pachółek spojrzał pytająco na swego pana; ten potwierdził skinieniem głowy i Semen zaczął ciągnąć dziewczkę w kierunku rozstajów dróg.

Warażdyński, widząc, że Pieper ciągle stoi obok wozu, skinieniem głowy skierował ku niemu pozostałych dwóch hajduków, aby umieścili księdza proboszcza na dwukółce – lecz ci nie doszli do kapłana, gdyż młody Warażdyński, dziedzic, w końcu nie wytrzymał, dał siwkowi ostrogę, koń z miejsca wyskoczył w galop, w paru susach był przy ciągnącym szlochającą bezgłośnie dziewczynę parobku. Młodzieniec, ledwo schylając się z siodła, pchnął hajduka tak, że ten puścił dziewczkę i upadł – zdziwiony, chwycił nawet za szablę, ale zobaczył, kto go szturchnął i puścił zaraz. Zbigniew Warażdyński ścisnął siwka łydkami i w ciasnej volcie zawrócił, schylił się z siodła, uniósł Katię i posadził przed sobą.

Podjechał do oniemiałego ojca, zostawił dziewczynę na koniu, a sam zeskoczył, wodze zahaczył o łokieć, padł na kolana przed rodzicielem i rzekł:

– Oduście, panie ojcze. Mojego bękarta nosi ta dziewczka pod sercem.

Stary Warażdyński stał, znieruchomiały jak żona Lota. W końcu jego prawe ramię sięgnęło za pas, ujęło nahajkę i opadło trzykrotnie, rażąc syna potężnymi smagnięciami, które z suchym trzaskiem zawijały się na jego głowie i ramionach.

– Bierz ją i jedź do Surmicz, do Żyda. Tam siedź i czekaj, co ci rozkażę – powiedział stary szlachcic, gdy dokonał kary i odwrócił się w kierunku księdza Piepera. Podszedł doń – i tak jak przed chwilą syn przed nim, tak teraz on sam, biorąc na siebie ciężar winy, padł na

kolana przed kapłanem. Hajducy odwrócili wzrok, nie chcąc oglądać swego pana ukorzonego, Zbigniew już siedział w siodle.

– Przepuście, wielbny ojcie. Gdybyście słowo rzekli... – zdążył tylko wyszeptać stary Warażdyński, bo Pieper, mimo wątlej postury, zaraz pochylił się, porwał szlachcica za ramiona i podniósł z klęczek.

– Panie Warażdyński, nie godzi się... Pójdźcie ze mną do chaty.

Weszli obaj. Pacholki Warażdyńskiego popatrzyli po sobie, wzruszyli ramionami nad szlacheckimi dziwactwami, zeskoczyli z siodeł, rozsiedli się na trawie i jęli pokrzepiać się słoniną i gorzałką z bukłaka.

* * *

Bartul odłożył słuchawkę. Pot ściekał mu cienką strużką między łopatkami i żłobił ścieżki na skroniach. To była ciężka rozmowa, Moczarski się wściekł, ryczał: „Co się z wami dzieje, Bartul? Czyście zwariowali, Bartul?” Kapitan siedział sztywno na krześle i oddychał ciężko. Po chwili wziął głęboki oddech i wstał. Za dwie minuty miał robocze zebranie z pozostałymi naukowcami. Musi być, kurwa, przekonujący. Z kieszeni wyciągnął błyszczącą piersiówkę, przytknął do ust, przechylił i przelykał palące i aromatyczne krople budafoka, nabierając determinacji. Opróżnił buteleczkę, otrząsnął się, otarł usta wierzchem dłoni, chuchnął sobie w kułak – dobrze, niech czują, że pił, niech się boją.

Poszedł do umywalni, popatrzył w lustro – no, Bartul, weź się w garść, pokaż inteligentom, kto tu rządzi.

Walał drzwiami o ścianę, wkroczył do sali konferencyjnej. Rozsiadł się na krześle u szczytu podłużnego stołu i w milczeniu patrzył na przestraszonych naukowców. Pomilczał tak chwilę, po czym cicho, przemówił. W dwóch zdaniach uzmysłowił im, jak ważny jest projekt, opieprzył za brak efektów, nastraszył, obiecał nagrody, zagraniczne wyjazdy, pieniądze i zaszczyty, jeżeli wszystko się powiedzie, pogroził nieprzyjemnościami, jeśli będą problemy, pogroził jeszcze raz, że tego dziecko nie dostanie się na studia, a tu podobno syn i synowa starają się o mieszkanie, a u pana brat w Stanach Zjednoczonych, pewnie knuje przeciwko ludowej ojczyźnie, no. Zażądał efektów, za tydzień, odmaszerować. Poszli, bez słowa, przestraszeni. Będą pracować, skubańce, dadzą sobie radę bez Tomanka, jeszcze będzie mi dziękował Moczarski.

Wyszedł z sali konferencyjnej zadowolony z siebie i postanowił pojechać do Pizzu, żeby się rozerwać. Wyciągnął mercedesa z garażu i z przyjemnością toczył się powoli bocznymi drogami, celowo wybierając dłuższą trasę, rozkoszował się jazdą, słuchał muzyki. Prawie, kurwa, jak na wakacjach.

Zajechał pod hotel. Zaparkował merca na widoku, przekręcił kluczyk, centralny zamek szczęknął luksusowo. Oł jes, to jest życie, pomyślał Bartul, nagle podniesiony na duchu.

Wszedł do hotelu, rzucił młodej recepcjonistce zabójcze spojrzenie i zapytał, gdzie jest bar – prowincjonalna dziewczyna zapłonila się i wskazała mu drogę. W zasadzie chętnie poderwałby taką, ale nie ma czasu. Ma za to nadzieję, że instynkt go nie zawodzi.

I nie zawiódł. Przy barze siedziało kilka prostytutek. Kiedy wszedł, obrzuciły go fachowym spojrzeniem i bezbłędnie rozpoznały człowieka z resortu. Poznał po tym, jak się prostowały na barowych stołkach, po spojrzeniach, jakie wymieniały między sobą, i po nerwowych chrząknięciach alfonsa, który, przy stoliku, usiłował schować się za płachtą „Trybuny”. Skąd oni zawsze wiedzą – zastanawiał się Bartul i po raz kolejny doszedł do wniosku, który zawsze go bawił – że zapewne podpowiada im to ten sam zmysł, którym on odróżnia prostytutki od kobiet, którym za dupczenie się nie płaci.

Usiadł na stołku przy barze, obok najmłodszej – jak mu się wydawało – z dziewcząt i zamówił dwa harcerzyki, dla siebie i dla pani, całą swoją rozluźnioną postawą dając kurwom i alfonsowi do zrozumienia: „Jestem po służbie, przyszedłem się tutaj zabawić”. Zrozumieli, pozostałe dziwki, zawiedzione, że wybrał Młodą – wszyscy zawsze wybierają Młodą – wróciły do swoich plotek, alfons wstał, wyszedł i po chwili pojawił się znowu, dyskretnie wsunął Bartulowi do ręki klucz z drewnianą plakietką i szepnął:

– Tysiąc dwieście się należy, panie szanowny, płatne przed, panience pan płaci, w pokoju. Za specjalne życzenia stawka specjalna, panie szanowny.

Dopili drinki, Bartul pokazał zęby w uśmiechu i podał damie ramię – poszli do pokoju. Kapitan nie chciał od razu przechodzić do rzeczy, siadł więc w fotelu, wyłożył nogi w kowbojkach na stolik, dłońmi podparł potylicę. Dzwinka przysiadła na łóżku, popatrzyła na klienta i z zadowoleniem stwierdziła, że należy do najrzadszego typu takich, z którymi poszłaby i za darmo. Wymienili kilka banalnych uwag, w końcu Młoda przypomniała sobie, że jest w pracy i postanowiła się specjalnie postarać. Może, jeżeli będzie dość dobra, ten warszawski królewicz w kolorowej koszuli i kowbojkach wróci do niej kiedyś i zabierze ją stąd na Zachód. Włączyła więc radio i pokręciła gałką, aż z głośnika popłynęła rzewna, rockowa ballada. Rozkołysała się w takt muzyki i pamiętając, żeby nie było zbyt szybko, zaczęła ściągać z siebie ciuchy. Kiedy stanęła już naga przed Bartulem, pokazała mu się z każdej strony, uniosła w dłoniach swoje niewielkie piersi, zakołysała pośladkami, bezwstydnie i lubieżnie nie wstydziła się obnażonego łona – położyła się na brzuchu na łóżku, machając zalotnie łydkami, tak jak widziała na filmie, a jej pośladki falowały apetycznie. Spoglądała przez ramię na swojego królewicza.

A Bartul mocował się z szerokim paskiem dzinsów. Panna była całkiem dobra, świeża, podobała mu się. Cholerny pasek. Podniósł wzrok, żeby puścić oko do dziewczyny, którą zaraz zerznie. Laska miała twarz Jolki.

I niby co z tego? Przecież Jolka była taka sama jak one, po prostu trzymał ją w domu, żeby grzała mu łóżko i robiła rano kawę, zapewniał jej byt, wymagając w zamian dyspozycyjnej dupy i dobrego żarcia. Tak mu się przynajmniej wydawało. Bo w rzeczywistości

podobnych do twarzy Joli rysach młodej kurwy ujrzał miłość. Jolka go kochała, uwielbiała – kochała, bo jej nie bił, kochała dlatego, że zabrał ją z kieleckiej wsi i dał mieszkanie w Krakowie, kochała, bo był jej pierwszym mężczyzną, kochała, bo nie umiała inaczej. I Jerzy Bartul nagle zrozumiał, że kocha dziewczynę, która cierpliwie czeka na niego w domu. Do tej pory nigdy nie miał z tego powodu skrpułów, a teraz nagle zdał sobie sprawę z tego, że mimo podniecenia, mimo buzującej w żyłach krwi, mimo że na łóżku przed nim leży naga dziewczyna, a jej pośladki zachęcają, by zsunąwszy spodnie, wszedł w nią i udowodnił, jakim jest mężczyzną – nie może tego zrobić. Nie potrafił uwierzyć we własne uczucia, jeszcze bardziej zdziwił się tym, co robi – a wstał, wydusił jakieś głupawe: „Przepraszam panią, ale coś mi się przypomniało”, wyciągnął z portfela dwa banknoty z Kopernikiem i położył je na stoliku i wybiegł z pokoju. Załomotał obcasami na schodach, przebiegł przez bar, ścigany okrzykami przestraszonego alfonsa i pełnymi wyrzutu spojrzeniami recepcjonistki. Dopadł samochodu, zapalił silnik, wyrzucił spod tylnych kół strugę piachu i żwiru i wypadł na szosę, pędząc przed siebie.

Po chwili zdziwienie minęło. Zrozumiał, po prostu zrozumiał, że postąpił właściwie. Zrobił dobrze, cokolwiek to znaczy.

* * *

Samże, chłopcy, dawajcie tu lackiego klechę. Boisz się, nie? Coś ty robił, k roku, w tym tatarskim aule? Imamem chciało ci się zostać, muftim? Rzymska wiara głupia, każdy wie, ale żeby do pohańców przystawać? No i patrz, k roku, jakieś skończył. Do muslimów żeś poszedł, a zginiesz z kozackiej ręki, za krzywdy, co nam twoi wyrządzają. Za niewolę, za spalone cerkwie, za batuszkę Nikołaja, coście go za brodę wytargali z monasteru i precz przepędzili. I za tę waszą unię, coście w swej chytrłości i z poduszczenia rimskoho papy zmyślili, aby dobrych chrześcijan na wasz rzymski zabobon zwodzić. I za waszych panów, co po naszych karkach na koń siadają. A palik już nastrugany, klecho, i konie narychtowane. Modlisz się? A módl się, nikt ci nie pomoże, a do piekła prosto trafisz, każdy wie, że tam zaraz rzymskie k roku jadą. No, dalejże mu, chłopcy, zedrzeć sutannę. Hajdawerki zacne ma, to ja sobie wezmę. I hajdawerki też won. O, jaka chudzinka, a chuj u ciebie, kleszko, jak u detyny małego. Można by cię z niewiastą pomylić, więcej tam u ciebie kudłów niż kuśki. Dla palika to żadna różnica, dla pala toś jest jeszcze dziewica, ale on już się wydupczy, raz, a dobrze, kleszko. Już z szatek rozdżian? No to wiązać mu nóżki do powrozów, a powrozy do koni. Dobrze, żeś taki spokojny, ale jak se myślisz, że nie będziesz ryczał, kleszko, to się mylisz, job twoju mat'. Koniki gotowe? No to, dobrze. Rozchyl nóżęta, dziewico, bo cię dupczyć będziem. Sam ci palik prosto w dupę naceluję, o... tak. Czujesz? Podoba ci się, a? Sodomito rzymski, kleszy pomioście, diabelski łajdaku! Kwilisz? Szlochasz? No, jakem ostatnio mniszki w klasztorze dymał, to też kwiliły, jednej to się tak podobało, że laźła potem za naszą sotnią i

się sama prosiła, wiesz, kuku? Ale na to nie licz, nie ma takiego, co by chodził po tym, co cię czeka. Nóżeta ziemi nie sięgną, to i się nie obrazisz, jak se twoje buty wezmę, tobie już niepotrzebne. No, bracia, ciągnąć, ale równo, na początek. Co ja powiem Moczarskiemu: czy nabijanie na pal należy do zestawu metod przymusu bezpośredniego? No, wszedł, słyszycie, jak wyje, klecha? A jedna worożycha to podobno z wycia nanizanych umiała przeszłość przewidywać, tak na siczy mówią. Ciągnąć dalej, ale po prawej mocno, zahaczymy go o żebra, to se powisi trochę, żeby nam tu od razu nie zdechł. O... i już. Ładnie. I raz, dwa, trzy – stawiamy, ściągnij tutaj tę ziemię, Semen, idź, przez radio zamelduj do centrali, że sprawa załatwiona jest. Spasi, Chryste, jakie radio? Łóżko?

* * *

Leżał z otwartymi oczami, nie mógł, nie chciał już spać. Miał przed sobą oczy człowieka, którego męczył, a który patrzył na niego z miłością. Tego nie umiał pojąć – miłości w oczach ofiary. W końcu nie wytrzymał, zapalił światło i sięgnął po *Żywot św. Felicjana*. Przekartkował książeczkę i znalazł opis męczeństwa, skrótowy zresztą i pobieżny. Kurwa, Bartul, wariujesz, trzeba będzie iść do doktora od łbów i się wyleczyć. Brać proszki, nie wiem, elektrowstrząsy, cokolwiek.

Nie zasnął już tej nocy, leżał, gapiąc się w ciemność.

Rano wstał, wziął długi prysznic i postanowił po prostu przycisnąć naukowców, żeby dali mu cokolwiek, co wystarczy jako efekt jego pracy, coś, co będzie mógł dać Moczarskiemu jako dowód, że wypełnił zadanie. Wróci wtedy do rutynowej pracy, która przecież jest dość ciekawa; do pozyskiwania agentury, budowy siatki. Wiedział przecież doskonale, że zostało im już tylko parę lat, w końcu to wszystko się skończy i trzeba być na to gotowym, dokładnie zinfiltrować tych, z którymi trzeba będzie się podzielić tym krajem. Zwykła, codzienna praca, wieczorem łóżko, Jolka albo picie z kumplami z Firmy, rano znowu praca, ta praca, która codziennie wynosi go ponad szarą, zakutaną w jesionkę codzienność.

Po śniadaniu w jadalni chciał zwołać zebranie, nie zdążył jednak, gdyż uprzedził go profesor, szef zespołu. Podeszedł do kapitana przy stoliku i cicho poprosił o stawienie się na spotkaniu roboczym, które już zorganizował. Był wyraźnie poruszony, jednak kiedy Bartul chciał się niecierpliwie czegoś dowiedzieć, delikatnie zaoponował banalnym: „Wszystko w swoim czasie”. Bartul dojadł więc chleb z masłem i dżemem, dopił zbożową kawę i poszedł do sali konferencyjnej, zajął krzesło z boku i czekał.

Schodzili się niemrawo, odziani już w białe kitle, w ten sposób dodając sobie powagi i wiarygodności. Kiedy byli już wszyscy, Bartul wyczuł bardzo nerwową atmosferę, jaka panowała między naukowcami, i zaraz się zdenerwował – zrozumiał, że chcą mu powiedzieć coś, co się mu nie spodoba. Po chwili wiedział już, że sprawa musi być poważnego kalibru, bo przygotowali się do tego bardzo solidnie – doktor wtaszczył rzutnik do folii, drugi niósł

stertę papierów, zaczęli się krzątać, podłączać sprzęt, rozkładać notatki, poprawiać okulary, chrząkać, udawać, że notują coś w kołonorotnikach, znowu poprawiać okulary. Kapitan w końcu miał tego dość, wstał nagle, głośno odsuwając krzesło.

– Panowie, towarzysze – poprawił się. – Do rzeczy, nie marnujcie mojego czasu. Profesorze, niech pan mówi, o co chodzi.

Naukowiec wymruczał coś pod nosem, pokiwał głową i włączył rzutnik. Przejrzał gruby plik folii, wybrał jedną i położył na szybie projektora. Na ścianie pojawił się obraz – namalowane odręcznie wykresy, odręczny rysunek czegoś, co Bartul rozpoznał jako komórki – było ich kilka, wielokątnych, obok siebie. Jeszcze na dole – tabelka.

Profesor wśród tkwiących w napierśnej kieszeni ołówków, flamastrów i długopisów wyszukał teleskopowy wskaźnik i rozsunął go starannie. Jeszcze raz poprawił okulary, chrząknął i zaczął mówić.

– Otóż, towarzyszu kapitanie Bartul, wyniki naszych badań są cokolwiek zaskakujące. Nie stwierdziliśmy mianowicie obecności żadnych organicznych i nieorganicznych środków balsamujących, o... tutaj, jak pan, znaczy towarzyszu, widzi... Tutaj... – Profesor wskazał na jeden z wykresów i na odpowiadający mu zapewne punkt w tabelce. – Ramię nie zostało również poddane żadnym procesom fizycznym, które mogą działać czasem jak balsamowanie, czyli: nie jest wysuszone, mówiąc po ludzku.

Bartul zmarszczył brwi. Profesor zauważył ten grymas i wyraźnie się przeląkł.

– No i dalej, mówiąc po ludzku, znaczy się, ta struktura komórkowa jest nienaruszona, komórki są martwe, ale nie uszkodzone przez procesy gnilne, i tego, to znaczy, jakby ramię odjęto człowiekowi zmarłemu przed, powiedzmy, kwadransiem. Początkowo dopuszczaliśmy możliwość pomyłki, w sensie, że to nie ta ręka, ale nawet w zupełnie świeżym ramieniu, chociażby przez ten czas, jak tu jesteśmy, musiałoby dojść do jakiegoś rozkładu, tymczasem tutaj próbki pobrane przed tygodniem są nie do odróżnienia od próbek pobranych dziś, tak jakby czas i prawa entropii omijały ten... przedmiot, rozumie pan, towarzyszu?

– Co chcecie przez to powiedzieć? – zapytał grobowym głosem Bartul.

Profesor, który pamiętał dobrze lata pięćdziesiąte, wzdrygnął się.

– Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że mamy tutaj do czynienia z cudem, cud, jako taki, jest bowiem niezgodny z materializmem, który, jak wiemy, jest podstawowym i zdrowym fundamentem marksizmu-leninizmu, który, jak wiemy, jest światopoglądem naukowym, a więc udowodnionym ponad wszelką wątpliwość, a zatem musimy przyjąć, że nasze metody badawcze są niedoskonałe, niewątpliwie może to być naukowo wyjaśnione, tylko my jeszcze tego wyjaśnienia nie znamy, oczywiście, nie mamy tutaj na pewno do czynienia z cudem, taka interpretacja byłaby przejawem fideizmu, który jest zgubny, i niewłaściwej postawy religianckiej, oczywiście – usprawiedliwił się chaotycznie.

– Bo, jak przecież ponad wszelką wątpliwość udowodnili uczeni radzieccy, Boga nie ma. A skoro Boga nie ma, to nie może być cudów, tylko sztuczki sił przeciwnych postępowi – dodał najmłodszy z naukowców, uśmiechając się ironicznie.

Bartul wyczuł łatwo ironię, nie zwrócił jednak na nią uwagi. Nigdy nie przejmował się specjalnie teoretyczną podbudową, jakiej go nauczano – nie wierzyli w nią nawet nauczyciele, powtarzający puste formułki. Bartul wiedział, jak świat działa, i nie potrzebował teoretycznych uzasadnień; marksizm, cóż to jest marksizm? Marksizm to zbiór formułek, jakie trzeba było powtarzać, by mieć na dzem do chleba, po prostu. Tak samo religia – kiedy był małym chłopcem i jego rodzice zapraszali do domu świętego Mikołaja, mały Jureczek musiał klękać w salonie, patrzeć na krucyfiks, składać nabożnie ręczki i odmawiać pacierz – a wszystko to, żeby dostać prezent. Tak samo przy pierwszej komunii: trzeba było chodzić na katechezy, potem na msze, potem pójść do kościoła, zjeść ten opłatek – przecież to nic strasznego, nie? – a potem w domu była rodzina, chrzestny już mocno wlany, i prezenty – zegarek, piękny, enerdowski, i brązowy konik na biegunach. Tak samo w Firmie działał marksizm. Profesor się przestraszył, więc klepał swoje formułki – tak jak stare babiny w tramwaju z pijanym motorniczym, co pędzi przez miasto w szalonym wyścigu, klepiąc swoje paciorki.

A jednak teraz było coś więcej. Coś, co nie zgadzało się nie tylko z formułkami – to przecież go nie raziło, był parę razy w RFN i widział na własne oczy naukowo potwierdzoną wyższość gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną. Teraz to, co mówili jajogłowi, nie zgadzało się po prostu ze zdrowym rozsądkiem. Musi to zobaczyć, na własne oczy.

– Przynieście tutaj tę rękę – rozkazał.

Doktor pobiegł i wrócił zaraz, niosąc ramię, owinięte w szary papier.

– Specjalnie nie trzymaliśmy go w lodówce ani nie konserwowaliśmy w żaden sposób, żeby stwierdzić, czy nie zajdą jednak jakieś procesy... – dodał jeszcze profesor, ale Bartul go nie słuchał. Położył ramię na stole, odwinął z papieru. Z kieszeni wyjął szwajcarski scyzoryk i otworzył największe ostrze.

– Co pan robi, czy pan oszalał, towarzyszu? – krzyknął profesor i chwycił kapitana za rękę.

Bartul odepchnął go mocno, warknął: „Spierdalaj” i żaden z naukowców nie odważył się podejść. Esbek przycisnął nożyk do relikwii i pociągnął. Skóra rozstąpiła się pod ostrzem i odsłoniła tkanki, białozółte pasma tłuszczu, różowe, włókniste mięso z sznurkami żył i tętnic. Ręka mu zastygła, patrzył na chwilę na świeże mięso pod nożem, po czym nagle świat skrył się pod mrokiem i odleciał, w łagodnym łuku, z głuchym uderzeniem potylicą o parkiet.

* * *

Żyje jeszcze! A ty daj gorzałki. To co, pokrajem go? A jak to po co? Żeby czuł, że umiera. Dawaj piłę, Semen, i podsadź mnie.

Zardzewiałe, zębate ostrze dotyka brudnej skóry. Ksiądz z trudem odwraca głowę, z ust cieknie mu krew, ale ma jeszcze dość przytomności i czuje, jak pociągnięte mocno zęby wgrzyzają mu się w ramię, czuje, jak rwą skórę i mięso, chroboczą o kość, a przy drugim pociągnięciu wgrzyzają się w nią. Nie może już krzyknąć.

Ale krew z niego sika, patrz, Semen, żywotny klecha, całe ręce mnie okrwawił, trzymaj mnie mocno, urnę mu te rękę, to odpoczniesz. A gorzałki jeszcze podaj, wzmocnić się muszę.

* * *

Ksiądz Zubrzyński zajmował mały pokoik przy klasztorze. Mieszkał poza klauzurą, ale żył życiem zakonu, wstawał na jutrznię, owijał szyję szalikiem, aby ukryć żółtosiną pręgę na gardle, w świeckiej sutannie szedł do klasztornej świątyni i śpiewał psalmy.

Nie wiedział, kiedy skończy się to pokutne wygnanie od spraw tego świata; nie miałyby za złe biskupowi, gdyby nie skończyło się nigdy. Codziennie odprawiał dla braci zakonnych Mszę świętą – tęsknił trochę do cichych mszy sprzed soboru, w starym rycie rzymskim – mógłby stanąć przy bocznym ołtarzu i być sam na sam z przemienianym Chrystusem. Ganił się czasem w myślach za tę nostalgię, jako za niezgodną z duchem posłuszeństwa, i starał się codziennie skupić jak najwięcej myśli na modlitwie. Modlił się tak, jak nakazał mu jego Pasterz, następca apostołów: prosił świętego Felicjana o wstawiennictwo w intencji nawrócenia swojego prześladowcy, esbeka. On zwerbował ciebie, ty zwerbujesz jego – powiedział mu arcybiskup. – Stałeś w prawdzie. Przyznałeś się, poprosiłeś o przebaczenie, za kobietę i za wiarołomstwo, i ja ci przebaczam, ale wyznaczam pokutę. Więc zwerbujesz go. Naszymi metodami, księżę proboszczu. Modlitwą.

Modlił się w tej intencji z tępym uporem, wbił się w tę modlitwę jak pies, zębami, zaciskając szczęki w żelazny uścisk, każdego dnia, pobudka o czwartej rano, modlitwa, post, modlitwa, praca, ostrze motyki zagłębia się w piaskową ziemię, a ty, święty Felicjanie, racz u naszego Pana Jezusa Chrystusa wstawiać się o nawrócenie tego człowieka, Jezu Chryste, spraw, abym umiał go nie nienawidzić, zabierz mi tę nienawiść, zabierz ode mnie to pragnienie (przeskakuje przez biurko, dopada rozpartego na fotelu esbeka, wali go pięścią w twarz, upadają na ziemię, i zaciska dłonie na jego szyi, i trzyma, ściska, nie puszcza), i ty, Maryjo, wstawiaj się u Pana w tej intencji, w tej intencji będzie ta dziesiątka. Zamiast paciorków różańca miał grządkę, przesuwiał się po niej, spulchniając ziemię, jak przesuwają się palce po brązowych koralikach, chwalał Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, Ojczy nasz, zdrowaś Maryjo, zdrowaś Maryjo, zdrowaś Maryjo. Nienawiść wcale nie malała, ale modlił się, jak muł, noga za nogą wciągający pod górę ciężar, który spoczywa w jukach.

Wieczorami dodawał jeszcze do modlitw jedną intencję, swoją własną, modlił się za kobietę, którą tak niedawno całował, której piersi dotykał, którą pieścił i którą kochał, wściekle i beznadziejnie.

Zasypiał w zimnej celi, pod cienkim kocem, na cztery godziny, tylko po to, by nocnym jeszcze porankiem wrócić do swego jarzma.

* * *

Otworzył oczy i zobaczył nad sobą twarz profesora.

– Co się panu stało? – zapytał profesor.

– Tak, to dobre pytanie – mruknął esbek.

Usiadł na podłodze i dokładnie obejrzał swoje dłonie – były czyste. Nawet pod paznokciami nie było ani śladu krwi.

Wstał, spakował ramię do aluminiowej walizki i wyszedł z sali konferencyjnej.

– Co pan robi? – ścigał go krzyk profesora.

– Nie mam, kurwa, pojęcia – odkrzyknął Bartul przez ramię.

Poszedł do pokoju, wziął tylko portfel, kluczyki i pistolet, resztę bagaży zostawił. Gdy szedł spokojnie do garażu, widział, jak naukowcy biegają, zdyszani, w poszukiwaniu dowódcy ośrodka. A szukajcie sobie. Wsiadł do mercedesa, walizkę położył obok, na siedzeniu pasażera, przekręcił kluczyk. Rozrusznik obrócił raz i silnik zapalił, wyrzucając z rury wydechowej kłębek niebieskiego dymu, który Bartul rozjechał, wyjeżdżając tyłem z garażu i obracając się ku bramie. Poprawił się w fotelu, otworzył schowek i chwilę przerzucał kasety, szukając konkretnej, którą kiedyś zabrał kablującemu na kolegów punkowi. Znalazł, wsunął ją do radiomagnetofonu zamiast Modern Talking, zaskoczyła z trzaskiem. *„Był potężny. Był bogaty.”* Bartul wcisnął gaz i puścił sprzęgło, mercedes wyrwał się do przodu, rycząc swoimi trzema litrami, i pognął do bramy. W tylnym lusterku zobaczył, jak biegną za nim: naukowcy w białych kitlach, dowódca i dwóch żołnierzy. *„Był szczęśliwy. Chwalił Pana.”* Wartownik nie zrozumiał sytuacji – zsunął kałasznikowa z ramienia, ale stał obok bramy, bezradnie patrząc, jak popielaty mercedes uderza w nią z impetem, bez trudu przerzuca wąż, blaszane skrzydła nad maską, dachem, spadają na ziemię z łoskotem. Bartul skulił się przy uderzeniu, ale gazu nie puścił, silnik wył na najwyższych obrotach, kapitan zmienił bieg i spojrzął w lusterko. *„Był potężny. Był bogaty. Był szczęśliwy. Chwalił Pana.”* Dowódca machał rękami i – chyba na wyraźny rozkaz – wartownik w końcu użył swojej broni, puścił za odjeżdżającym mercem serię, z biodra, nie rozkładając kolby, tak jak widział na filmach. Filmy nie przekazują prostej prawdy, chłopcze: nie celujesz, nie trafiasz – pomyślał Bartul. *„Tak, a ty zabierz mu wszystko, co jego, zabierz mu wszystko, co jego, zabierz mu wszystko, co jego, ale nie rusz jego samego.”* Dowódca dopadł strażnika, wyrwał mu karabin, rozłożył kolbę i złożył się starannie, przestawił na ogień pojedynczy, wycelował.

No, teraz nieco gorzej, pomyślał Bartul. „*Stracił dom. Stracił zdrowie.*” Pierwsza kula poszła górą, potem się poprawił, pocisk rozbił tylną lampę, przeleciał przez bagażnik, tylną kanapę, siedzenie pasażera i uwiązał gdzieś w bebeczach samochodu. „*Stracił szczęście. A chwalił Pana.*” Jeszcze dwieście metrów do zakrętu, sto pięćdziesiąt, major Osiatyński strzelił trzeci raz. „*Tak, a ty zabierz mu wszystko, co jego, zabierz mu wszystko, co jego, zabierz mu wszystko, co jego, ale nie rusz jego same...*” Dobrze skurwysyn strzela, pomyślał Bartul, kiedy kula ponownie przewierciła kanapę i rozbiła radio, przerywając wokaliście refren. Zakręt, wzięty z poślizgu, z wyciem silnika, został z tyłu. Dwa ostatnie pociski, wystrzelone przez majora, poleciały w las. Podziurawiony mercedes dziarsko motał na opony wstęgę szos.

Bartul jechał spokojnie przez godzinę, kalkulując, gdzie mogą zrobić blokadę. Przewidział dobrze, kiedy zaparkował samochód na leśnej drodze i przekradł się przez zarośla, wyjrząc za zakręt – stały tam dwa milicyjne fiaty i nyska, i kilkunastu milicjantów w polowych mundurach z długą bronią. Pewnie gdzieś się tu kręci ten glina, co wyglądał jak Wałęsa – pomyślał Bartul. Miałby gość radochę, nie ma, co. Wrócił do auta, otworzył bagażnik i ucieszył się, że swojego plecaka, małej, parcianej horoleski, nie zabrał do pokoju. Przełożył doń relikwię z walizki, zapiął kurtkę, zarzucił plecak na ramiona. Jeszcze pistolet, przeładował, zabezpieczył i schował do kieszeni, żeby w razie czego nie szarpać się z kaburą. Poklepał z żalem merca po masce, obejrzał dziury po kulach z tyłu, kluczyki cisnął w krzaki. Używając zegarka wyznaczył kierunki świata z pozycji słońca i pomyślał, że wreszcie mu się przydadzą do czegoś te cztery lata służby w desancie, długie tygodnie na poligonach, w śniegu, deszczu, spiekocie i słońcu. Nagle w głowie, znikąd, pojawiło mu się absurdalne zdanie: „*Nawrócenie to długa droga.*”

– Nawrócenie to długa droga. Kurwa mać... – powiedział głośno, wrzucił ramionami i pokręcił głową z niedowierzaniem.

Ruszył na południe, gwizdząc pod nosem melodię z kasety. „*Zabierz mu wszystko, co jego. Zabierz mu wszystko, co jego, ale nie rusz jego samego.*”

MANIERA TENEBROSA

Maniera tenebrosa – wzmocniona forma chiaroscuro, styl malarski, rozwinięty przez Caravaggia, w którym zasadniczą rolę odgrywa dramatyczny kontrast między światłem a ciemnością.

Papier, na którym spoczęła stalówka, przyjaźnie zachęcał porządkiem swoich rubryk: „Podpisz mnie, nie mam nic do ukrycia”. Z lewej strony podpis kredytodawcy, elegancki zawijas podparty wypisanym na maszynie nazwiskiem i imieniem. Żadnych przypisów maczkami, żadnych odnośników do paragrafów. Podpisuję tylko to, co przede mną. Nic do ukrycia.

Spojrzałem na przedstawiciela banku, który siedział przede mną. Kiedyś był zapewne przystojnym, postawnym młodzieńcem. Kiedyś, nie dalej pewnie niż rok czy dwa temu, nosił czoło wysoko, zaczesywał bujną czuprynę i podobał się kobietom. Teraz siedział przede mną, zgięty i przerażony jak fornal, jak niewolnik przed rozgniewanym panem, z cerą nabrzmiałą, zapuchniętymi oczami. Miał spocone czoło, gdy zauważył moje spojrzenie, uśmiechnął się nerwowo, a palce prawej dłoni, które wcześniej biegły w nerwowym rytmie po blacie stołu, zadrżały i zastygły w niepokoju. Prawie słyszałem, jak pod jego czaszką tłucze się jedno słowo: podpisz. Podpisz. Podpisz.

Spojrzałem na Lilly, ona skinęła przyzwalająco głową. Pióro zaskrzypiało, podpisałem, miałem kredyt, dwieście tysięcy guldenów.

Kiedy stalówka oderwała się od papieru, bankowiec głośno odetchnął. Uśmiechnął się szczerze i promiennie, porwał moją prawicę i uścisnął, dłonią jeszcze oślizgłą i spoconą. Zmiękł, rozluźnił się, nawet jego krawat wydał się weselszy.

Wyszliśmy z banku na ulicę, spojrzałem na Lilly, niepewny, czy nadszedł właśnie ten moment, w którym możemy się cieszyć. Jej uśmiech potwierdził – tak!

– R., nareszcie! – krzyknęła, obejmując mnie za szyję. – Wreszcie doszliśmy do niezależności! Nasz dom, R.! Nasz!

– Banku – powiedziałem kwaśno. – Banku, nie nasz. Nasz będzie za trzydzieści lat.

– Och, ty zawsze musisz być tak z nosem przy ziemi... – odsunęła się ode mnie. – Cieszymy się, głupi, jutro wypiszemy odpowiedni czek, parafujemy umowę i ta piękna willa będzie nasza! Jeszcze zostanie nam dość pieniędzy, by ją odnowić, założyć piękny ogród i kupić stare, odpowiednie meble.

Pokiwałem tylko głową. Należała się jej ta radość, po tylu latach biedy. Biedy pozornie dumnej, bo artystycznej, biedy rzekomo szlachetnej, bo literackiej.

Po tylu latach, w których od rana wyglądałem listonosza, czy przyniósł już pieniądze. A listonosz, widząc mnie w oknie, kręcił głową i rozkładał bezradnie ręce: „Nie ma jeszcze”. Chwytałem wtedy za telefon, po raz setny dzwoniąc do redakcji, po to tylko, by usłyszeć wieczne: „Nie, w środę nie daliśmy rady, dzisiaj wyjdzie przekaz na pewno”. Tyle razy musiałem znosić spojrzenie Lilly, kiedy mówiłem: „Nie, jeszcze nie ma, kotku, przepraszam”. Nigdy nie okazała mi zniecierpliwienia, nigdy nie powiedziała: „Wziąłbyś się do jakiejś roboty wreszcie”. Zawsze powtarzała: „Ważne, żebyś pisał, kiedyś ktoś zapłaci za twoją książkę okrągły milion”. Kocha mnie przecież całym sercem, cóż miała powiedzieć? Ale wiedziałem, że w głębi duszy czuła się zawiedziona. Gdy byliśmy jeszcze narzeczeństwem, handlowałem trochę antykami, nic specjalnego, meble z późnego empire, trochę XIX-wiecznego, lokalnego malarstwa, jakieś przemywane z Rosji ikony, stuletnie szable po Napoleonie. Nie zrobiłem fortuny, ale bez żadnego wysiłku (ot, kilka telefonów, trochę siły przekonywania, spotkanie i koniec) mogłem zarobić tysiąc czy dwa tysiące guldenów miesięcznie. Utrzymywali mnie rodzice, więc z taką sumą bez trudu mogłem wieść wystawne życie. Oczywiście, nie dlatego mnie kochała, ale przed ołtarzem mówiła mi: „Tak” z przekonaniem, że wychodzi za człowieka jeśli nie zamożnego, to zaradnego i zarabiającego pieniądze z łatwością.

Kiedy byliśmy już małżeństwem, nagle okazało się, że wszyscy kolekcjonerzy, których telefony zapisane miałem w kajecie, skompletowali już swoje kolekcje; teraz poszukują już tylko rarytasów, których ja, podrzędny handlarzyna, kupić dla nich nie mogłem. Słowem, rynek się nasycił, zyski spadły, a ja nagle zacząłem utrzymywać i siebie, i żonę. Na dodatek coraz więcej energii poświęcałem na pisanie. I tak biedowaliśmy – zarabiałem coś, co jakiś czas mieliśmy pieniądze, ale czasem właściciel domu pukał do drzwi, a my, przestraszeni groźbą eksmisji, którą wcześniej znaleźliśmy w skrzynce na listy, udawaliśmy, że nie ma nas w mieszkaniu.

Dlatego, kiedy jeden z przyjaciół przy drugiej butelce koniaku przypomniał sobie, że znajome wydawnictwo szuka redaktora do działu literatury obcej, nie wahałem się długo. Po dwóch tygodniach siedziałem już na miękkim krześle przy biurku w siedzibie wydawnictwa. Miałem własną maszynę do pisania, stertę katalogów i całe przyzmy książek, we wszystkich znanych mi językach. Po roku pracy zyskałem jeszcze asystentkę, która przejęła uciążliwy obowiązek prowadzenia korespondencji – ja zajmowałem się czytaniem książek i recenzjami, negocjowałem wysokości honorariów, jeździłem po całej Europie, spotykając się z autorami i wydawcami.

Zarabiałem dobrze. Nie na tyle dobrze, by zaliczono mnie do miejscowej socjety. Nie bywałem na herbatkach u państwa Straussów – na tych przyjęciach gromadziła się co wtorek elita naszego niewielkiego, prowincjonalnego miasta. Nie odczuwaliśmy jednak potrzeby społecznego awansu – byliśmy młodymi, pewnymi siebie artystami, gardziliśmy nowoczesnym liberalno-demokratycznym filisterstwem.

Jednak praca w Hermann Mohr und Sohn Presse (nazwa w kartuszu nad podzielonym na troje herbem, w lewym górnym rogu herb Mohrów, w prawym miasta, na dole sentencja: „Sed magis amica veritas”) miała swoje złe strony.

Wydarzenia, o których piszę, miały miejsce wiele lat temu. Nie mogłem wtedy ich opowiedzieć, gdyż brakowało mi tego, czego najbardziej potrzeba do tworzenia literatury.

I nie chodzi o atrament – pisać można wszędzie, w pociągu, w więzieniu, w kawiarni albo we własnym zamku. Można spisywać pamiętnik złotą stalówką na czerpanym papierze, można skrobać powieść obgryzionym ołówkiem na serwetkach w bistro, można, z burczącym z głodu brzuchem, walić w skrzypiące klawisze starej maszyny do pisania, drżąc z zimna i wyczekując na listonosza, który przyniesie honorarium.

Jednak jedno mieć trzeba. Czysty umysł. Literatura wymaga poświęcenia, by pisać, trzeba zanurzyć się w spływających na papier słowach, pozwolić im zawładnąć sobą, przynajmniej na kwadrans oddać się bez reszty.

Praca w HMSP dała mi finansową niezależność. Znowu stać nas było na stołowanie się w restauracjach, mogliśmy pozwolić sobie na spontaniczne wyjazdy – mój drogi, za godzinę odchodzi pociąg do Wiednia, mam dwa bilety na salonkę – w Wiedniu przesiądziemy się i za kilkanaście godzin będziemy w Wenecji, co ty na to?

Częste wyjazdy służbowe dawały mi inspirację, tak potrzebną – przemierzając londyński Strand w poszukiwaniu siedziby wydawnictwa John Ramsay & Co., spoglądałem na miasto zupełnie inaczej, niż widziałem je kilka lat wcześniej, gdy odwiedziłem stolicę Imperium jako turysta. Przed turystą każde miasto się zamyka, otacza szczelną jak kauczuk powłoką, którą można naciągnąć, można się w nią zagłębić, ale nie da się jej przebić. Intencjonalność czyni turystę kimś obcym – jeżeli jedzie się do miasta, specjalnie po to, aby je obejrzeć, na pewno się go wtedy nie zobaczy.

W Nowym Jorku ze znajomymi z zaprzyjaźnionych wydawnictw i agencji chodziłem do murzyńskich klubów w Haarlemie, słuchać najnowocześniejszej z muzyk, jazzu. Szedłem tam sceptyczny, zakładałem, że przy mojej formacji intelektualnej, wywodzącej się bezpośrednio z antyświęceniowego buntu, nie poruszy mnie nic, co skomponowano po 1830 roku. A jednak – w tej paradzie trąbek i kontrabasów, w tych pięknych, atletycznie zbudowanych Murzynach, którzy porywali do szalonego tańca swoje partnerki, zgrabne i gibkie, bo zaprawione ciężką fizyczną pracą, nie odnalazłem dekadencji. Dekadency byli słuchacze i turyści – ja również – ale nie ta prosta, prymitywna młodzież z slumsów, murzyńscy robotnicy, stróże, praczki, sprzątaczkki, służące, które pewnie musiały znosić dotyk lubieżnych dłoni na swoich pośladkach – oni przychodzili tutaj z autentycznej miłości do muzyki, do tańca pełnego prostackiej, zwierzęcej erotyki. Nie byli niemoralni, byli amoralni, niezdeprawowani – a w eleganckich klubach przy 5th Avenue widziałem tylko rozpacz i smutek, nawet jeżeli grali tam ci sami czarni muzycy.

Syciłem się światem, nasiąkałem wydarzeniami, doświadczeniami, sztuką, godziny spędzałem w Metropolitan Museum of Art, w National Gallery, w Alte Pinakotek, w Muzeach Watykańskich – sądziłem, że prędzej czy później nadejdzie moment, w którym gromadzone w pamięci, przetrawione przez intelekt doświadczenia przekroczą masę krytyczną i nagle literatura sama się ze mnie wysypie i napiszę wielką powieść.

Wtedy czułem, że w gdzieś w ustronnym, zacienionym zakątku świadomości zaczyna pojawiać się książka, że wystarczy już tylko impuls, jakaś scena, która zadziała jak katalizator i nagle znowu poczuję przymus pisania, zyskam tę czystość umysłu, której tak pragnąłem, życie zejdzie na daleki plan, a pisanie nie będzie wymagało wysiłku, a jedynie czasu, gdyż stanie się na jakiś czas nie aktem tworzenia, a mechaniczną czynnością nadania materialnej formy maszynopisu literaturze stworzonej już, ukrytej jak Atena w głowie Zeusa.

Narastające podniecenie zbliżało mnie do tego intelektualnego orgazmu, wylania literatury, który miał nadejść po tylu miesiącach duchowych pieszczot, które fundowałem sobie najbardziej wyrafinowanymi metodami, czytając gnostyków i Akwinatę, oglądając el Greca w Metropolitan i w Prado, kontemplując w milczeniu sklepienia gotyckich katedr, słuchając wykładów Heideggera w Freiburgu, odwiedzając w Paryżu stuletnich starców, którzy jako ostatni o rewolucji potrafili mówić z prawdziwą nienawiścią, gdyż pamiętali jeszcze, w resztkach świadomości, które błyszczały w ich zetlałych ciałach, rewolucję roku 1848, w Londynie zaś młodych trockistów – emigrantów, którzy jako ostatni potrafili mówić o rewolucji z prawdziwą miłością i nie kryli dumy z tego, że sami palili z mauzera w łeb kułakom, rozszerzając w ten sposób horyzonty kułackich synów, zabieranych potem do komunistycznych domów dziecka, w których przeżywał jeden na trzech.

Katharsis, ulga, przekroczenie masy krytycznej jednak nie następowało. Nie napisałem wtedy tej powieści, ponieważ poznałem Jamesa Wilyego.

Wymieniliśmy wcześniej kilka telegramów, później telefonicznie nasze sekretarki umówiły spotkanie w „Cafe Decadence”. Siedziałem przy stoliku nad filiżanką z espresso i starałem się przypomnieć sobie, o jakim rękopisie była mowa w telegramach. Czy powinien byłem go znać? Czy nadesłano go już do mojego biura i po prostu utonął w piętrzących się wokół biurka stertach, pełnych manuskryptów nadesłanych przez grafomanów lub pechowych autorów? Na pewno nie dokonałem na nim aktu symbolicznej nobilitacji – nie odłożyłem go na półkę zarezerwowaną dla tekstów opatrzonych określeniem: „Interesujące”.

Przegryzam się co tydzień przez kilkanaście nadesłanych próbek czyjejs prozy, z czego znakomita większość to podobne do siebie jak jednojajowe bliźnięta płody grafomanów – tych, którzy piszą z potrzeby duszy, i tych, którym po prostu imponuje fałszywy, literacki blichtr.

Ci pierwsi piszą rzeczy słabe, acz uczciwe, ci drudzy zawsze podążają za literackimi modami, sprowadzając je do pastiszu. Gdy panował trend pisania prozy egocentrycznej, widziałem kilkadziesiąt dzieł, których autorzy przekonani byli, że przebiją pewnego

polskiego literata, przebywającego wtedy w naszym kraju, a wzbijającego się na szczyty egotyzmu. Zamierzali tego dokonać w prosty sposób, przez kilkanaście stron wypisując daty, z dopiskiem: „ja”, „ciągle ja”, z różnymi wariacjami na temat tegoż zaimka. I dalej, kiedy modna stała się proza o prostakach, czytałem teksty zbudowane z wulgaryzmów, pełne opisów kopulacji i bójek, przez wypranych z emocji agentów opisywane pochlebnymi – w ich mniemaniu – określeniami, jak: „autentyczna literatura młodego pokolenia”, „głos ulic wielkiego miasta” i tym podobne.

Przyznaję, praca w wielkim wydawnictwie czasem skazuje na pewien automatyzm. Nie wykluczam, że wśród morza grafomanii, które przewala się wokół mego biurka w papierowych falach znaczonej czarnym planktonem maszynowej czcionki, może dryfować tekst o innej wadze gatunkowej, wartościowy, który odrzuciłem dlatego tylko, że nie spodobało mi się pierwsze zdanie lub autor wybrał sobie zbyt pretensjonalny pseudonim, jak np. kilku Hieronimów von Boschów, jeden Adam Kadmon, pani Nefillmma Gnosa. Przed spotkaniem z Wilym nie miałem czasu przejrzeć korespondencji i teraz musiałem robić dobrą minę do złej gry, nie wiedząc, o jakiej książce będziemy rozmawiać. Liczyłem, że uda mi się rzucić okiem na maszynopis, który na pewno przyniesie, jeszcze w trakcie rozmowy i wtedy przypomnę sobie, o czym mamy mówić.

Nic takiego się nie stało. Wily nie kazał mi długo czekać, wszedł do kawiarni minutę po umówionym czasie, uścisnęliśmy sobie dłonie. Gdy siadałem, po przywitaniu i wymianie zwykłych grzeczności, za szklaną szybą zauważyłem szybko oddalającą się od drzwi lokalu postać, dobrze mi znaną. Od „Cafe Decadence” wyciągniętym krokiem odchodził bankier, z którym kilka dni wcześniej podpisałem umowę na kredyt. Pomyślałem o nim z sympatią – pieniądze trafiły szybko na nasze konto i kupiliśmy już upragniony dom mojej żony – i wróciłem myślami do interesów, o których miałem rozmawiać z właśnie poznanym agentem literackim. Zawód mojego rozmówcy kazał mi myśleć cieplej o potencjalnej książce, która miała być przedmiotem naszej konwersacji – poza potomkami książąt, czy to krwi, czy nowej arystokracji węgla i stali, rzadko spotykało się grafomanów, którzy posiadali własnych agentów literackich. Arystokratyczne pochodzenie autora było mało prawdopodobne, pewnie więc w grę wchodził utwór nie pozbawiony wartości.

– Proszę mi powiedzieć parę słów o swoim życiu. Lepiej robi się interesy z prawdziwymi ludźmi, niż z reprezentantami przedsiębiorstw – zaczął natychmiast Wily. – Słyszysz pan zapewne, jak to nieludzko brzmi: reprezentant przedsiębiorstwa. Jak nazwa części silnika samochodu!

Zaniemówiłem na chwilę. Nigdy nie poznałem nikogo, kto zaczynałby profesjonalną rozmowę od takiego wstępu – nawet w tej pełnej oryginałów branży.

– No cóż, niewiele tutaj do opowiadania... Jak pan wie, pracuję w Hermann Mohr and Sohn, prywatnie: żonaty, acz dzieci nie posiadam jeszcze. Dla rozrywki jeżdżę czasem konno, chociaż ostatnio coraz rzadziej, z nawału obowiązków – przedstawiłem tradycyjną formułkę,

którą, niezmienną, wypowiadam w obliczu takich osobistych pytań, od kiedy pracuję w HMSP, chociaż dawno jest już nieaktualna, w siedzibie ostatni raz siedziałem chyba ze trzy lata temu.

– Och, zbyt pan skromny, panie R. Pańska powieść, acz nie stała się literaturą masową... na szczęście, bo zbyt wielu czytelników potrafi zożydzić każdy tekst, w pewnych, dodajmy, liczących się kręgach cieszyła się wielkim powodzeniem. Jak zatem pan, pisarz, czuje się, że tak powiem, po drugiej stronie barykady?

W ciągu trzech minut rozmowy z Wilym zaniemówiłem po raz drugi.

Rzeczywiście, napisałem powieść. *Rozpacz pułkownika*. Historia człowieka, który w wieku czternastu lat zostaje donosicielem tajnej policji w maleńkim państewku, podobnym do naszej niewielkiej, wciśniętej między mocarstwa ojczyzny. Aby nie odbierać tej historii syntetycznego, uniwersalnego charakteru, nie osadziłem akcji w żadnym konkretnym miejscu, stwierdzając po prostu, że „kraj ów leży w dużym zakolu jednej z największych europejskich rzek; otaczające jej koryta czarnoziemy stworzyły urodzajną glebę dla tych wszystkich kultur, które wzrastały i ginęły nad powolnymi nurtami Rzeki Matki”.

Po latach ciągle jestem przekonany, że była to dobra książka. Sprzedało się tyle egzemplarzy, że z mojego honorarium kupiłem sobie nową maszynę do pisania, a wydawca odzyskał zainwestowany kapitał. W ubogich pismach literackich ukazały się dwie czy trzy kurtuazyjne recenzje, napisane głównie po to, by redakcje dalej otrzymywały swoje darmowe egzemplarze. W potężnym dzienniku pewien entuzjastyczny dziennikarz umieścił artykuł na temat książki i jej autora, na trzy kolumny – nie wywołał on jednak żadnego odzewu. Mogłem o sobie myśleć jako o pisarzu – w końcu miałem książkę. Przez rok czy dwa od daty wydania coś się wokół mojej niedoszłej literackiej kariery działo, wydawca kilka razy wysłał uprzejmy list, że jest zainteresowany dołączeniem do grona pierwszych czytelników mojej kolejnej powieści – która nie mogła powstać, gdyż oddałem czterdzieści procent mojego czasu w pacht, przez zasadniczą część dnia byłem niewolnikiem – czyli, mówiąc zwyczajnie, miałem posadę w wydawnictwie. Po dwóch latach nie zapraszano mnie już na literackie imprezy, wydawca nie przysyłał mi już listów. Moje nazwisko pojawiło się wśród wielu innych w analitycznym artykule: „Literaci jednej książki”, w mało zaszczytnym kontekście: „Obok genialnego Lampellera, autora *Paragrafu lamparta*, w najnowszej europejskiej literaturze w ostatnich latach mogliśmy ujrzeć kilkudziesięciu autorów jednej, przeciętnej książki, którzy nie napisali już drugiej. Wystarczy wymienić Hignessa, Jennara, Bronsky’ego, Stranda, R. czy Bellevina, aby czytelnik zorientował się, o jakiej, ani złej, ani dobrej, literaturze mówimy. Może w przypadku niektórych z wymienionych autorów lektura ich powieści niosła ze sobą przynajmniej pewne zaciekawienie, jaki kierunek rozwoju pokaże drugie dzieło”. Miałem nadzieję, że to do mnie autor odniósł przedostatnie zdanie, ale szybko zapomniałem o całej sprawie i przestałem myśleć o literaturze w kategorii czegoś, co mogę tworzyć, a zacząłem w kategoriach przedmiotu mojej pracy Niedużo czasu minęło, a przestałem obsesyjnie wertować

prasę w coraz bardziej beznadziejnym poszukiwaniu wzmianek o sobie. Straciłem ambicję pisarską, wydana kiedyś książka była miłym szczegółem, wyróżniającym mnie jakoś spośród naszego środowiska – mieszczańskich niby – albo prawie artystów, zakotwiczonych w różnego rodzaju przedsięwzięciach, dryfujących dookoła rynku szeroko pojętej sztuki. Ktoś miał dziadka Szkota, ktoś inny był w Afryce i walczył przez parę dni w lokalnej wojence, ja miałem książkę.

Słowa Wily'ego, wypowiedziane tak naturalnie i autentycznie, jakby rozmawiał z kimś, kto przedwcześniej odebrał ważną nagrodę literacką, nagle obudziły we mnie pogrzebane już tęsknoty. Co innego usłyszeć komplement od kochającej ciotki, co innego od nieznanego, znajomego się na rzeczy. Przez pierwsze parę sekund trwałem zdziwiony, że kilka słów może wskrzesić coś, co z satysfakcją odłożyłem do przedziału marzeń, na które spogląda się z tkliwością, ale bez smutku, razem z młodzieńczymi marzeniami o karierze wojskowej, muzycznej czy malarskiej. Wielcy ludzie zawsze mają w sobie coś z dziecka, gdyż dorośli stajemy się, gdy przestajemy marzyć o wielkości i godzimy się, że nasze życie, przeciętne, nie odróżniać się będzie od tysięcy żywotów, wiedzionych przez przechodniów z ulic średniej wielkości miast. Zdałem sobie też zaraz sprawę: mówi mi o tym nie byle kto, bo przecież człowiek zawodowo zajmujący się literaturą. Nie jest to proste, zwykle pochlebstwo – lecz celna, słuszna analiza sytuacji. Po paru sekundach namysłu, zanim zdołałem przemówić, wiedziałem już, powziąłem postanowienie – muszę wrócić do pisania.

Dziś, zaraz, jak tylko wrócę do domu. Maszyna do pisania ciągle stoi na biurku, gdzieś jeszcze leży kajet, w którym zapisywałem pomysły na historie. Wystarczy po prostu usiąść i uderzyć w klawisze...

Wydało mi się, że w jasnyniecznych oczach mojego rozmówcy odbiła się całe moje zmieszanie, cały przełom, jaki, szybciej niż mgnienie powieki, dokonał się w mojej duszy. Przywołałem się do porządku.

– Och, pochlebia mi pan, dziękuję. Jednak porzuciłem literaturę, niektórzy nazywają to prozą życia, a ja po prostu wybrałem spokojne, szczęśliwe dni, zamiast artystycznych mąk tworzenia – odpowiedziałem ze spokojem, myśląc o nieprzespanych nocach, w których, słowo za słowem, pisarski rytm wygrywał będę na klawiaturze mojej maszyny.

– Wystarczyło sobie udowodnić, czy się potrafi, tak? Rozumiem to. Jednak, gdyby kiedyś rozważał pan powrót do literatury, proszę pozwolić mi pierwszemu zapoznać się z pana nowym dziełem.

Zagrały fanfary, zobaczyłem swe nazwisko w górnych obszarach listy bestsellerów i tłumy czytelników, tratujące się, by dostać się do stolika, przy którym rozdają autografy. Wily kontynuował:

– Jako pisarz na pewno znakomicie pan radzi sobie w roli wydawcy. Nie na darmo najlepsi prokuratorzy wywodzą się zawsze spośród adwokatury. Pracuje pan w znakomitej

firmie, na pewno jest pan zasypywany manuskryptami, nie sędzę, aby jeszcze pamiętał pan książkę, którą wysłałem do pana kilka miesięcy temu, a która na pierwszy rzut oka...

Uderzył w czułą nutę, wygłosiłem kilka zwykłych dań o ogłupiających skutkach nieustannej lektury złych tekstów i o tym, że nieuniknionym wydaje mi się, że przegapić mogę, wśród tej grafomańskiej powodzi, rzeczy cenne lub warte uwagi.

– Proszę się nie tłumaczyć. Sam, kiedy pierwszy raz zaproponowano mi reprezentowanie tegoż autora, odrzuciłem propozycję. Na pierwszy rzut oka moja książka nie wydaje się być dobrą literaturą. W związku z tym mam dla pana osobiście i dla pańskiego wydawnictwa propozycję. Chciałbym, aby pan poświęcił trzy godziny na lekturę maszynopisu, który przyniosłem. W zamian proponuję państwu to. – Podał mi elegancką teczkę z bordowej skóry.

Szczęknięto mosiężne okucie, otworzyłem. W środku tkwiło kilka kartek, zapisanych staroświeckim charakterem pisma.

– Niech pan przeczyta, proszę – zachęcił.

Już po nagłówku zorientowałem się – to kontrakt. Tytuł książki wykropkowany. Wpisano natomiast autora: Tomasz Mann. Na samym dole podpis.

– Pan żartuje sobie ze mnie chyba... – odpowiedziałem, zdziwiony.

Wily sięgnął do swojej aktówki i podał mi starannie wydaną broszurę. Tłoczone, złote litery na okładce głosiły: „Katalog reprezentacji”.

– Strona siedemdziesiąt cztery – dodał.

Otworzyłem. Utkanymi z drobnych kresek drzeworytu oczami patrzył na mnie Mann, z pięknej ryciny. Obok krótka biografia i lista krajów, do których sprzedano prawa.

Przy nazwie naszego kraju nie widniała nazwa wydawnictwa Fischer, chociaż jako oddział niemieckiego Fischer Verlag mieli prawa do Manna od zawsze.

– Od zawsze nie znaczy na zawsze. Daję to wam. Warunki są raczej korzystne, zaliczka niezbyt duża. Nowa książka Manna to mój mały prezent dla was. W zamian chcę tylko jednego: kilku godzin pańskiego czasu, poświęconych na lekturę książki, którą panu przyniosłem. Niczego więcej... nie musicie jej wydać, po lekturze może pan ten manuskrypt wyrzucić do śmieci.

Wydalibyśmy dziesięciu grafomanów, żeby mieć Manna! Jutro – myślałem – wkraczam do biura, proszę panią Renatę, żeby umówiła mnie z szefem na dowolną godzinę, bez pośpiechu. W końcu prezes mnie wzywa, ja mówię swoje zwykłe: „Dzień dobry panu prezesowi”, on odburkuje swoje: „...bry”, nie podnosząc tonących za grubymi szklami oczu od słupków tasiemcowo długiego bilansu – i okulary, i zmęczenie są efektem obsesji mojego szefa, jaką jest kontrola wydatków. Nad wielkim biurkiem z libańskiego cedru wisi zdjęcie, na nim ten sam człowiek, młodszy o czterdzieści lat, ściska prawicę Knuta Hamsuna, prezentując pierwsze, krajowe wydanie przekładu *Głodu*, na długo przedtem, nim Hamsun dostał Nobla. Wydawca zakochany w literaturze, mentor pisarza, prawie jak renesansowy mecenas, człowiek sztuki. Oto, jak kończą marzenia.

Muszę pana przeprosić – zacznę – ale przekroczyłem moje uprawnienia. Podniesie wzrok, już zdołałem go rozdrażnić, czeka tylko, aż ostatecznie opiszę moją zbrodnię, aby rozstrzelać mnie suchymi, pozbawionymi emocji słowami. Przekroczyłem uprawnienia – powiem dalej – gdyż sytuacja tego wymagała, nie było czasu na zastanowienie. Zaakceptowałem dziesięć tysięcy guldenów zaliczki... za nową powieść Tomasza Manna. Najpierw usłyszy kwotę, po której specjalnie zrobię pauzę, to rozdrażni go na dobre. Jak mogłem! Nawet zdąży poczerwieniec i otworzyć usta do krzyku, gdy usłyszy nazwisko. Czyją powieść? – zapyta. Może dodać coś jak: „Cóż pan bredzisz?” albo, jeżeli w mniejszym stopniu straci nad sobą kontrolę: „O czym pan mówi?”. Owszem, wymagało to trochę zachodu, ale mam już kontrakt, podpisany, o, proszę... Gdy już uważnie przestudiuje każdy akapit mojego zwycięstwa, podniesie wzrok i powie coś suchego i lakonicznego, jak: „Gratuluję” albo: „No, no, świetna robota”. Może uściśnie mi dłoń. Wyjdę lekkim krokiem, a on zacznie myśleć, co może mi zaproponować, żebym odrzucił propozycje przejścia do innych wydawnictw, które już za parę tygodni zaczną wypełniać moją skrzynkę pocztową, którą specjalnie na tę okazję pomaluję niebieską, błyszczącą farbą. I lepiej niech wymyśli coś dobrego!

Pisarz, nawet były, nie może być umiarkowanym optymistą ani umiarkowanym pesymistą – dostrzegając konsekwencję wydarzeń, musi odnajdować w niej dramatyzm, tylko wtedy zdolny jest do pisania. Dramatyzm zawsze kryje się w sytuacjach granicznych. Gdy więc Wily podał mi kontrakt, w parę sekund moje myśli ogarnęły wszystkie perspektywy, które przede mną się otwarły, łącznie z przeprowadzką do pięknego gabinetu z widokiem na rzekę, w którymś ze skrzydeł monumentalnej siedziby.

Przyrzekłem poświęcić nawet sześć godzin na lekturę manuskryptu i wyraziłem przekonanie, że skoro książkę proponuje nam nie tylko Wily Literary Agency, ale sam James Wily osobiście, to oznacza, że na pewno jest ona warta uwagi. Gdy tylko się rozstaliśmy, poszedłem do klubu, zamówiłem flaszkę sauvignon blanc – to najbardziej orzeźwiający umysł wino, może obok gewirztraminera – ująłem w dłonie maszynopis i do połowy butelki, zamiast czytać, z plikiem kartek złożonym na kolanie, rozpamiętywałem cały dzień i imaginowałem sobie moją przyszłość jako pisarza.

Ciągle czułem na sobie ślad przenikliwego wzroku tego niewielkiego mężczyzny o jasnożółtych włosach. Wreszcie poczucie obowiązku zwyciężyło nad skłonnością do autorefleksji.

Pierwsza strona nie posiadała ani tytułu, ani nazwiska autora, ani daty. Bez akapitu rozpoczynał się pierwszy wers. Kiedy spojrzałem na kartkę, słowa rozsypały się w bezładną zgraję liter, rozedrganych czarnych pyłków, jak mrówki. Przetarłem oczy, litery rozbiegły się po papierze i ułożyły się w nowe słowa, opiłki przyciągnięte magnesem. Wino uderzyło mi do głowy – pomyślałem.

– Po cóż komu to? – powiedział. – Że nasze życie tutaj jest egzaminem – dobrze.

Ale kim jest egzaminator, który bandzie beznogich ślepców każe wspiąć się na wysoką górę, zaśmiewając się do rozpuku, gdy upadają? Oczywiście, tych, którzy starają się najbardziej, podnosi czulą dłoń i sam kładzie na szczyt – ale nikt nie może zdać tego egzaminu sam! Nikt nie wejdzie na szczyt dzięki samemu sobie – ślepecie i beznożności sami sobie winni, zaś każdy centymetr, który z wysiłkiem uda im się zyskać, i tak jest zasługą egzaminatora, który, brajłem, zostawił gdzieś wskazówki. Czyż cały ten egzamin nie do zdania nie służy jedynie ukazaniu egzaminowanym ich nędzy? Tak przy nim są nędzni, jak gliniana figurka wobec dziecka, które ją ulepiło. Gdyby stworzył swoje istotki i postawił przed nimi egzamin najtrudniejszy, ale możliwy do zdania – byłby jak surowy, ale sprawiedliwy wychowawca. On jednak stworzył istoty niskie, nędzne, kalekie, stawiając przed nimi wyzwanie najtrudniejsze – i teraz może rozkoszować się ich klęską i swoją dobrocią – „Jesteście nędzni i marni, ale niektórym z was, którzy mocno próbowali, zaliczę ten egzamin, oczywiście niezasłużenie – jedynie dzięki mojej łasce”. Ci zaś, którzy nie chcą uczestniczyć w tej grze, gdyż zasady zdają się im być beznadziejne – tego nie zniesie, takiej arogancji i pychy – musicie grać i przegrywać, nędzne robaki, abym mógł okazać wam łaskę. Tych, którzy uniosą hardo głowę i odepchną moją łaskę, odrzucę i upodłę tak, że błagać będą o przebaczenie, ale wtedy pozostaną już głuchy na ich wołania – krzyczał prawie, nie odrywając od niej wzroku. Po pierwszym zdaniu zaczął się rozbierać, gdy skończył swoją tyradę, stał już nagi, szczupły i piękny, od łydek, muskularnych ud, łuków mięśni rysujących się na biodrach, poprzez płaski brzuch do wysklepionej klatki piersiowej.

Jej wzrok ślizgał się po jego ciele, odważnym, silnym, gibkim. Oto człowiek – pomyślała – który pazurami wydrapał sobie godność i dumę, wzgardziwszy zbawieniem, wybierając potępienie – nie potępienie mimo starań, lecz przez słuszną dumę syna, który nie zgina kolana przed ojcem, prosząc o dar, lecz wyprostowany odchodzi, wzgardziwszy bogactwem płynącym z upokorzenia. Wzgardził cnotą – uznał, że to ludzie sami nadali sobie wszelkie zło i dobro – bo to najcięższe wyzwanie, jakie mógł rzucić w twarz Egzaminatorowi – nie ma egzaminu, nie ma ciebie, wszystko to zmowa uczniów. Odwracam się i wychodzę z tej szkoły!

Nie mogła liczyć na jego przyjaźń, bo wiedziała, że nie dorównuje mu w człowieczeństwie, a tylko ludzie mogą być przyjaciółmi. Ona mogła być tylko tyranem albo niewolnicą, nie współczłowiekiem dla człowieka, który stał przed nią. Zdolna była tylko do miłości i do bycia kochaną, nie do przyjaźni. Jej szczęście to spełniać jego pragnienia, być mu wytchnieniem, odpoczynkiem wojownika. Odrzuciła więc jedwabne prześcieradło, które okrywało jej nagie ciało, a on przyszedł do niej. Myślała o kobiecie, z którą powinien teraz być, która czeka na niego w ich domu zbudowanym z kłamstw i umów. Może i tamta była lepsza, jak dobra krowa,

zanurzona w cnotach, praktykująca dobre uczynki bezwolnie, jak powszednie tykanie zegara. Ona za to jest ptakiem i kotem, do niej musi przychodzić z biczem, ale nagroda warta jest wysiłku. Gdy wiła się...

Odłożyłem maszynopis. Oto przeczytałem słowa, przez anonimowego autora zaczerpnięte wprost z duszy mojej. Spoczywały tam jako intelektu cichy wyrzut, stłumiony przez wiarę i *timor Dei* albo zwykłe tchórzostwo. Żyły w ukryciu, jak za szafą pleśń, na wilgotnej ścianie domu, ukryta, ale niemożliwa do wyplenienia, od wielu lat, zasiane we wczesnej młodości książkami starego szarlatana, co zdechł z mózgiem rozmiękłym jak nasiąkła krwią gąbka. Ich grzybnia wrosła w mój umysł, jak tłuszcz przerasta mięso starego knura, oplatając myśli swoim pędami. Bez wpływu – ba, odczuwałem sporą satysfakcję na myśl o tym, że mój hardy umysł gnie pokornie kark przez potęgą mojej wiary – ale niemożliwe do wyrwania. Gdybym szarpał zbyt mocno, razem z tymi słowami śmierci wyszarpałbym sobie cały mózg.

Ktoś bardzo mi bliski napisał te parę akapitów. Bliski mi tak, jakby dzielił ze mną jedną duszę, znał wszystkie włókna, które tworzą mnie, określają moje – wielkie słowo! – człowieczeństwo.

Teraz pleśń ta, zapłodniona słowami napisanymi przez obcego człowieka, nagle wypuściła ze swojej grzybni pączki nabrzmiące, które pękły, rozsypując swoje zarodniki, maleńkie twarde ziarenka, padające na przychylny grunt mojej rozmiękczonej przez zaniechanie pobożnych praktyk duszy. Zadrzałem.

Strach złapał mnie za gardło – i mimo krążącego w żyłach alkoholu, uznałem, że czas, po wielomiesięcznej przerwie, udać się do księdza Adama, mojego spowiednika. Ale najpierw zerknę na zakończenie tej historii, bo po finałach poznaje się klasę pisarza. Ze spodu równego stosiku maszynopisu wyjąłem ostatnią kartkę. Litery były już na swoich miejscach.

kończy się wszystko, wreszcie, wreszcie nadejdzie ten moment, w którym fałsz obietnicy wyjdzie na jaw. I wyjdzie na jaw jego słabość – a może przewrotna mądrość – dzięki której stworzenie zada kłam i zwycięży swego stwórcy, gdyż ze wszystkich swych przymiotów udzielił swemu stworzeniu tego najpotężniejszego, woli. Cóż to jest wola? Wola jest siłą, która kształtuje świat, nic nie dzieje się bezwolnie, pierwszy ruch nastąpił, bo ktoś tego zapragnął. Planety okrążają słońca, bo ktoś je do tego zmusił swoją wolą właśnie, wolą żelazną – tak samo każdy, kto ma wolę, mógłby je zatrzymać, gdyby tylko chciał i wierzył, że może. Wystarczy więc, że będziecie chcieli tego – chcieli – i że uwierzycie, żeście zdolni to zrobić. Odpowiedzcie mi, chcecie uwolnić się ze swojego więzienia? Chcecie zrzucić z urzędu swego strażnika, który mieni się waszym ojcem?

Tłum, wsłuchany w jego słowa, zafalował i z cichego pomruku nagle wyrodził się

ryk tysiąca gardel – CHCEMY! I patrzył na nich z wysokości swojej trybuny, maleńki za mikrofonem i wielki, ogromny, monumentalny na zawieszonym za trybuną plakacie, który jakimś magicznym sposobem był zarazem ekranem kinowym, i jego podobizna na tym wielkim płótnie żyła, jak żywe obrazy w filmie. Głos, zwielokrotniony przez dziesiątki ogromnych głośników, dudnił w powietrzu, w skali adekwatnej do gigantycznej twarzy, wielkości domu, wraz z ruchem dziwnie wymalowanych na płótnie, żywych, ogromnych ust.

I twarz z plakatu spojrzała na pewnego człowieka, który stał na samym końcu placu, życzliwie przyglądając się euforii tłumy, lecz w niej nie uczestnicząc. Młody mężczyzna, odziany w szary garnitur, dobrze uszyty i prawie maskujący zaczątki tuszy, dowód siedzącego trybu życia, bawił się końcem jedwabnego szala, który nonszalancko nosił, zarzucony na marynarkę. Wyczuł wzrok wielkiego malowidła, podniósł głowę zwieńczoną blond czupryną i spojrzał w oczy tego, który władał ludzkimi sercami – a mały człowieczek na trybunie i jego wielki fantom na żywym plakacie symultanicznie odezwali się:

– R., jesteś z tego tłumy najszlachetniejszy, najbardziej godzien, najbliżej tego, czym powinien być człowiek, dlaczego więc gorsi od ciebie wiedzą, jaką ścieżkę wybrać, ty zaś odrzucasz solarną męskość i nie wychodzisz naprzeciw decyzji, jak kobieta telleuryczna? R., zrób krok, a tłum rozstąpi się przed tobą, uczynię cię moim namiestnikiem, moim bratem, moim synem. R.

Zamarłem. Noszę raczej rzadkie nazwisko. Rzadkie, swoiste dla mojej ojczyzny i nawet w jej granicach pozbawione tej popularności, przez którą każdego Niemca przedstawiamy sobie jako Schmidta. Skąd więc...? Litery zadrżały, rozbiegły się i stanęły w równych szeregach. Przeczytałem jeszcze raz ostatni akapit.

– R., coś musi się stać, abys otworzył oczy i przestał odrzucać to, co niepojęte. Skoro wszystko zaczęło się od Słowa, skończyć się musi na Słowie. Ty jesteś homo literatus, nikt inny nie jest tego bardziej godzien niż ty i tobie podobni. Wydadz więc książkę, którą trzymasz w rękach, a dopełni się historia i Obietnica nieodwołalnie okaże się fałszywa. Każdy człowiek znajdzie w tej książce prawdziwego siebie, takiego, jakim jest pod tą fałszywą skorupą, która zniewala wasze człowieczeństwo – i to ty możesz przynieść im wyzwolenie, możesz uczynić ich prawdziwie swoimi bliźnimi – którymi nie są, tak jak we wspólnocie niewolników nie ma przyjaciół.

* * *

Oderwałem się od drgających hipnotycznie liter, rzuciłem kartkę na resztę maszynopisu, całość zgarnąłem do teczki, przewracając kieliszek z winem, i jak oparzony wypadłem z klubu, nie uregulowałem nawet rachunku. Postój taksówek był pusty, pobiegłem więc ulicę dalej, wziąłem dorożkę i pojechałem do domu. Odruchowo podałem woźnicy stary adres, dopiero po chwili zorientowałem się, dokąd zmierzamy, i skierowałem powóz w stronę naszego nowego domu. Dojechaliśmy, zapłaciłem i wszedłem do domu, między puste ściany, których nie zdążyliśmy jeszcze wypełnić materialnymi efektami naszego dotychczasowego życia.

Lilly, ze szkicownikiem w dłoni, chodziła po pokojach i szkicowała plan sytuacyjny. Studiowała historię sztuki, jako jedna z pierwszy kobiet na akademii, i była specjalistką od konserwacji zabytkowych wnętrz, chociaż pasjonowała się raczej sztuką współczesną. Będzie więc przestawiać ściany, meblować pokoje – ten nowoczesnie, zamówimy meble w pracowni Miesa van der Rohe, wiesz, proste szafki ze szlachetnych materiałów, piękne fotele – maszyny do siedzenia, z giętych rurek, tutaj będzie sypialnia, w przeciwieństwie do reszty domu stare meble, może taki ludwik filip albo empire, biedermeier jest taki banalny. Tak, klasyczne i trochę surowe linie empire – i wiesz co? – złamiemy to nowoczesnym malarstwem, tutaj będzie takie piękne, stutrzydziestoletnie łóżko, tutaj szezlong jak z portretu pani Recamier, a na ścianie powiesimy wielki abstrakcyjny obraz, płótno pełne pięknych plam. Może kupimy jakiegoś Klee? Tata mówi, że Klee to dobra inwestycja.

Chętnie włączyłbym się w ten rozkoszny proces planowania nowego gniazda. Razem zarzucalibyśmy się pomysłami, co i jak urządzimy, nieodmiennie docierając do obszarów, znajdujących się daleko poza naszymi finansowymi możliwościami. Opowiadałbym o otwartej, pnącej się aż po wysokie sufity bibliotece, z ciemnego drewna, z konieczną drabinką, dodającą moim obfitym zbiorom powagi, Lilly o nowoczesnym kredensie z surową w stylistyce zastawą art deco, o szklanym stole, aparacie telefonicznym z czerwonego bakelitu...

Gotów już byłem porzucić dramatyczne wspomnienie szalonej lektury, złożyć je na karb butelki wina, którą w siebie wlałem, już chciałem pogрузić się w jakiś niekończący się spór o kolor ścian czy coś równie banalnego, ale, na swoje nieszczęście, sięgnąłem po grubą jak encyklopedia kopertę, spoczywającą na jednym z pudeł – musiała przyjść dzisiaj, Lilly jej jeszcze nie otworzyła, więc zrobiłem to sam i stałem, bezwładnie wpatrując się w kartkę papieru w eleganckim kolorze ecru.

Pismo wieńczył dostojny nagłówek „Credit Bank of London. Since 1785” z tarczą herbową (ach, ci Anglicy...!) i roślinnym dekorem, oplatającym gustownie zakomponowane dane adresowe (Credit Bank of London, London, Westchester Street 2323, telephone 43 99). Poniżej znajdowała się treść wiadomości, wystukana na maszynie. Szanowny Panie, jesteśmy zaszczytni, że wybrał Pan nasz bank, parę formułek standard, w razie nie zaksięgowania na koncie miesięcznej raty Credit Bank of London skieruje do Pana upomnienie, którego koszt w

wysokości równowartości dwudziestu funtów wyrażonej w guldenach, w razie trzymiesięcznej zwłoki w płatnościach bank albo upoważnione do tego przedsiębiorstwo lub osoba uprawniona, dokona, przepadek nieruchomości, sprawa sądowa, przedstawiciel banku, kwota nie ulega zwrotowi, koszty windykacji, dołoży wszelkich starań, aby, z poważaniem, Mattheaus Bernic, referent. Do pisma załączono 360 blankietów wpłat. Trzysta sześćdziesiąt miesięcy. Trzydzieści lat. Edmund Dantes, który właśnie obliczył, że wydrapanie łyżką tunelu zajmie mu więcej czasu, niż miał do tej pory dane przeżyć. Za trzydzieści lat będę starszy, niż jest w tej chwili mój ojciec. Za trzydzieści lat pozostanie mi, biorąc statystyczną długość życia, szesnaście lat życia. A gdybym spróbował wyrwać kark z tego jarzma, które sam sobie nałożyłem, nagle, z dnia na dzień, zostanę pariasem.

Przez trzydzieści lat co miesiąc wpisywać będę moje imię i nazwisko, adres i kwotę, kwotę, kwotę, połowę mojej pensji, połowę mojego niebycia literatem, co roku wyślę do banku powieść, której nie napisałem, co miesiąc do blankietu załączę puste kartki eseju, który nie powstał. Moje książki, przybrawszy wpierniczą formę comiesięcznych przelewów, przepoczwarzą się w końcu w cegły, tynk i trawnik, za koszenie którego będę musiał zapłacić ogrodnikowi.

A Lilly tłumaczyła mi – rozumiesz, R., łożko empire, takie lekko klasycyzujące, ale we właściwy epoki sposób, a naprzeciwko obraz tego Klee, samo płótno na blejtramic, białe tło i kolorowe figury, rozumiesz?

Nie mogłem tego znieść, nie tego dnia, więc przeprosiłem ją i po prostu poszedłem spać, na połowym łożku rozłożonym w pokoju, który będzie naszym salonem. Rano obudziłem się wcześniej i wyszedłem do pracy, nie budząc żony. Maszynopis zostawiłem w domu, w biurze siedziałem za biurkiem jak na szpilkach, czekając, aż prezes przyjdzie do pracy, i kiedy tylko usłyszałem jego głos zza drzwi, chciałem pobiec do prezesowskiego gabinetu, ale zatrzymała mnie sekretarka. Pan prezes jest zajęty, zaanonsuję pana i dam znać, kiedy znajdzie dla pana czas. Znalazł po dwóch godzinach dopiero – dwóch godzinach, w czasie których nie byłem w stanie zająć się niczym innym, niż tylko czekaniem. W końcu więc wszedłem do gabinetu szefa i od drzwi oświadczyłem:

- Nie wydamy tej książki.
- Której? – zapytał szef, podnosząc głowę znad słupków rozliczenia.
- Tej, którą dostałem do przeczytania razem z Mannem. Mówiłem panu.
- A, tak. Zaraz... facet dał ci Manna, a jako jedyne warunki postawił to, żebyś poświęcił kilka godzin na lekturę jakiegoś maszynopisu?
- Tak.
- I ten maszynopis to po prostu zła, marna literatura, tak? – pytał dalej.
- Tak – skłamałem.
- Jak zła?
- Zupełnie. To grafomania, panie prezesie.

– Ach, aha – pokiwał głową. – Dobra, wydajmy to w serii kieszonkowej, z miękką okładką, na tanim papierze. Nakład: tysiąc egzemplarzy wpiszcie, ale wydrukujemy pięćset, wrzuci się to do księgarń, a ja już poproszę Heissa i Blanqviego, żeby o tym nic nie pisali.

– Ale... po co? – wyjąkałem.

– Wiesz, facet dał nam prezent i w najuprzejmiejszy sposób poprosił o przysługę. Poprosił, nie zażądał. Na Mannie zarobimy tyle, że wydanie pięciuset kopii na przemiał to żaden wydatek, a, po pierwsze, należy się to Angolowi, a, po drugie, może przyjdzie do nas z drugim prezentem. Wiesz co... nie, nie kieszonkowa. Wydajcie to ładnie, jako zwykłą powieść w twardej oprawie, ale bez szaleństw, żeby się nie rzucało w oczy. Dostaliśmy piękny prezent, nie obrażajmy go tandetą.

Pochylił głowę i wrócił do długich słupków swojej analizy finansowej.

Chciałem się odezwać, zaprotestować, przekonać – ale zgięty kark szefa już nie drgnął, ołówek biegł regularnym zygzakiem po dziesiątych i setnych częściach po przecinku uszeregowanych w kolumnę cyfr, podczas gdy stare wargi prezesa meły sumy i procenty.

Wyszedłem z poczuciem beznadziejnej porażki.

Z poczuciem porażki o tyle gorszej, że stojąc już za tapicerowanymi drzwiami, które zamknęły się za mną zdecydowanie, wiedziałem, że sprawa się na tym nie zakończy. Czulem się, jak przyszły student, który mówi ojcu – chcę studiować literaturę, nie prawo, ojciec odpowiada: wydziedziczę cię! – a student wie, że będzie studiował literaturę, bo to pewnik, i wie również, że ojciec nie żartuje. Chciałby jeszcze coś zrobić, ale spada już, wie, co nastąpi, sprawa zamknięta. Ja wiem – nie mogę wydać tej książki, ta książka się nie ukaże. I wiem, że poniosę za to konsekwencje. Jeszcze minutę temu mogłem sprawę poprowadzić inaczej, ale teraz słowa już padły, już niczego nie mogę zmienić. Szef zdecydował, podjął decyzję i obwieścił mi ją wprost. A ja muszę postąpić inaczej – nie, nie muszę – ja postąpię inaczej. Nie boję się już, że ta książka się ukaże, nie, boję się już tylko konsekwencji, które niechybnie poniosę.

Różnie można być mężczyzną. Można być mężczyzną, którego męskość realizuje się w odpowiedzialności. Taki człowiek, wyprostowany i żyłasty, podejmuje decyzje powoli i z rozważą, nie pozwala się poganiać. Gdy życie rozwidła się w decydujących punktach, badawczo wymacuje sobie drogę naprzód, asekurując się we wszystkich innych opcjach. W końcu statecznie i ostrożnie zagłębia się w jedną z odnóg i coraz szybciej rusza nią dalej, ale nie zdaje sobie nawet sprawy z momentu, w którym możliwość pójścia inną drogą zniknęła. Nie zdaje sobie sprawy, gdyż przemyślał wszystkie opcje i ta wybrana jest najlepsza, więc w zasadzie, w pewnym momencie już nie interesują go pozostałe. Jeżeli wybrał źle, będzie wiedział, że to jego wina. Przyjmie owoce swego czynu z pochylonym czołem i zaciętymi ustami.

Inny, nienawidząc momentu wahania, gdy tylko zauważy punkt rozwidlający życie, rzuca się głową w dół w pierwszą lepszą opcję. W momencie, kiedy wybija się i w skoku traci

równowagę, jest przekonany, tak naprawdę, że uczynił rzecz jedyną – dla ludzi rozsądnych nie było tam żadnej alternatywy. Swojej decyzji będzie bronił niezłomie i do końca, za głupców mając tych, którzy decydują inaczej. Jeżeli wybrał dobrze, będzie chodził w glorii bohatera. Jeżeli mylił się, nie przyjmie konsekwencji swojego błędu. Wyprze się, odrzuci odpowiedzialność, oskarży innych.

Są jeszcze inni, tacy jak ja. Boimy się porażki, nie chcemy dlatego ryzykować skoku. Brzydzimy się kunktatorstwem, więc nie chcemy też ospale i powolnie badać innych możliwości. Co więc można zrobić?

Z rozpaczliwych rozważań wyrwała mnie sekretarka.

– Prezes pana wzywa, panie R. – powiedziała.

Spojrzałem na zegarek – wyszedłem od niego kwadrans temu, nie wcześniej. Cóż było robić, wróciłem tam, po drodze budując w sobie nadzieję, że może znajdę gdzieś siły, aby postawić sprawę na ostrzu noża.

– Pojedź do niego – powiedział prezes.

– Do Anglii? – zapytałem.

– Oczywiście, że do Anglii. Przecież tam mieszka. Pojedź, zjedzcie razem obiad...

– ...lunch – wtrąciłem.

– R., działasz mi dzisiaj na nerwy. Więc zjedzcie razem obiad, idźcie do pubu, pogadajcie o życiu. Rozumiesz?

– Tak.

– Taka zwykła, życiowa rozmowa, pogadajcie jak dwóch facetów. Po trzecim piwie zacznie gadać o pracy, a ty wtedy przytakuj, zgadzaj się, dziw się, kiedy trzeba, bądź świetnym słuchaczem i zapamiętuj. Uczyni wasze stosunki towarzyskie mniej oficjalnymi, odejmij im rys profesjonalnej sztywności, spraw, żebyście spotkali się jak ludzie, nie jak przedstawiciele dwóch przedsiębiorstw. Ale bądź uważny. To on ma gadać, ty masz słuchać, nie na odwrót.

Kiwnąłem głową. Nic nowego. Pamiętam. Tak właśnie wyglądało moje stawianie sprawy na ostrzu noża. Resztę – znałem. Najlepszy biznes robi się z tymi, z którymi chodziło się na wspólne popijawy albo na ryby, startowało razem w regatach i można było pogadać o dzieciach albo starej ciotce. Znałem to, aż za dobrze. Firmowe bankiety, na których zaraz po przemówieniu zawodowa atmosfera niby się ulatnia. Wszyscy prześcigają się w okazywaniu dystansu – tak, praca została za drzwiami, my jesteśmy tutaj, w męskim towarzystwie, spotykamy się jak ludzie, nie prezesi, redaktorzy czy kto tam jeszcze – może cygaro? Co tam u żony? Ciągłe nie masz kochanki? Bo ja rozglądałam się za nową, stara zbyt przypomina mi żonę. A jak tam leci? Niezły pieniądz robicie na tym ostatnim podręczniku. Ach, no tak, profesor spędził wakacje w waszej willi w Kalabrii, to teraz poleca wasz podręcznik. Doskonale, doskonale. Piękny garnitur. Włoski. Świetne te ośmiorniczki. Może martini?

A potem wychodzimy załogą z firmy, wytaczamy się z bankietu w szampańskich humorach i kierowca szefa rozwozi nas do domów. I już w adlerze szefa się zaczyna. Widzieliście tego łajdaka z Grunee Verlag? Jak się uśmiechał! A to łajno w garniturze, z agencji – dzisiaj gadał tak, jakby nie posiadał się z miłości dla nas, skurwiel, a wcześniej – zresztą, wszyscy pamiętacie. Ale załatwimy chama, załatwimy go na amen, bo Skvirt się urżnął i wypaplał, że skurwiel stracił reprezentację.

Zgodziłem się na wszystko, wyszedłem i zacząłem załatwiać formalności – z każdym etapem poczucie klęski wzmagало się. Teleksem nadałem wiadomość, prośbę o spotkanie. Po godzinie miałem na biurku odpowiedź Wily’ego.

Zapraszam. Termin proszę uzgodnić z moim sekretariatem. Cieszę się, że zdecydowaliście się wydać moją propozycję. Wily.

Skąd wiedział? Trzymając w ręce karteluszek z odpowiedzią, czułem jego ironiczny uśmiech, okrutny jak wyszczerzone zęby rottweilera, chociaż taki kulturalny i światowy. Skąd Wily wiedział, że nie wydam jego książki?

I tak nie byłem w stanie pracować, poszedłem więc do brytyjskiego konsulatu załatwić wizę. W ważnych krajach konsulaty mocarstw piętrzą się dumnie w pysznych ogrodach, między żywopłotami i fontannami, z feerią flag, mosiężnych tablic i ozdobnych kołatek. Konsulaty małych i słabych państw gnieżdżą się gdzieś na trzecich piętrach kamienic, zadowolają się skromną tabliczką i małą flagą w oknie. Są jeszcze takie państwa, które swoje przedstawicielstwa umieszczają w oficynach. W małych konsulatach, gdy pukasz do drzwi, często otworzy ci sam konsul, w bonzurce i z zaspanymi oczami, przyjmie cię przy kuchennym stole i na świstku papieru wypisze wizę, skasuje za nią odpowiednią kwotę, pieniądze wrzucając do kieszeni surducika.

W moim kraju, maleńkim kraiku w środku Europy, każdy konsul wyglądał jak niewielki, rodzinny biznes. Nawet przedstawicielstwo Wielkiej Brytanii zajmowało tylko jeden apartament w kamienicy – mieszkanie, w którym mógłby zamieszkać zamożny lekarz, profesor uniwersytetu lub sędzia. Po raz drugi wdrapałem się po schodach na trzecie piętro i stałem przed drzwiami, obok których przybito skromne szyldy – konsul taki a taki, chargé d’affaires taki a taki, wicekonsul taki a taki. Obok przycisk elektrycznego dzwonka, tablica z godzinami urzędowania. Zadzwońłem.

Otworzył mi lokaj w liberii, ten sam, który przyjął moje dokumenty, kiedy zacząłem się o wizę starać, zapytał – po angielsku! – czym może mi służyć, zaprosił do środka i po kwadransie siedziałem już przed konsulem. Mikra persona w ciężkich okularach, obdarzona łysiną, na której blikowało wrześnie słońce, niknęła za wielkim blatem zabytkowego biurka, oddzielona ode mnie murem z akt, teczek, papierzysk, telefonów, kałamarzy, bibuły i

pieczęci. Ukłoniłem się i przy drzwiach czekałem na standardowe: „Proszę, niech łaskawy pan siada”. Usłyszałem jednak co innego.

– Pan R.? Pan chce wizę do Zjednoczonego Królestwa? Pan jesteś oszust i malwersant, zapewne? – wypalił w moją stronę konsul.

Oniemiałem. Nie wiedziałem, czy wyjść, trzaskając drzwiami, czy żądać przeprosin, zrobiłem więc rzecz najgłupszą, zacząłem się tłumaczyć i prosić (tak, prosić!) o wyjaśnienie.

– Pan masz kredyt w banku. Jak pan chcesz dostać wizę, to pan pewnie chcesz nawiać i nie płacić rat, tak jest? – odpowiedział bezczelnie, knajackim wręcz językiem. Niewątpliwie nie był Brytyjczykiem. Nie był nawet trochę British.

– Czy pan zwariował? – krzyknąłem, konsul zaś wycelował do mnie z rewolweru. Broń wcześniej leżała na blacie, dla niepoznaki przykryta paroma dokumentami.

– No, cóżeś sobie myślał, przyjemniaczku? Znamy takich jak ty! Won mi stąd! – Rzucił we mnie paszportem i teczką z dokumentami. – Zanim nie wezwę policji, bandyto!

Przerazony, podniosłem swoje dokumenty i wycofałem się powoli, a lufa rewolweru wodziła za moją głowę, spoglądając na mnie swoim czarnym okiem. Widziałem złotawe czubki pocisków w bębnie, gotowe po pierwszym strzale wskoczyć do lufy i popędzić śladem swojego pierwszego kolegi, który w tym czasie zapewne spoczywałby już wewnątrz mojego ciała. Wycofałem się z pokoju i postanowiłem zgłosić skargę na policji. Chciałem trzasnąć drzwiami, lecz przytrzymał je stanowczo wciąż nienagannie uprzejmy lokaj, pomógł założyć płaszcz i odprowadził do wyjścia.

Ruszyłem na posterunek. Po drodze uznałem, że konsul po prostu zwariował, poczułem się w obowiązku poinformować o tym władze. Zanim zdążyłem odejść chociaż dziesięć metrów, z podwórka kamienicy, piszcząc oponami, wyskoczyło małe czerwone bmw Dixi-Ihle. Samochód przemknął obok mnie, w otwartej kabinie obok kierowcy siedział bankowiec, u którego starałem się o kredyt. Poznałem go mimo gogli i skórzanej czapki-pilotki, które nijak nie pasowały do pogniecionego urzędniczego garnituru z marnej wełny, który nosił nieodmiennie. Już wiedziałem, to nie szaleństwo konsula, to jakieś nieczyste zagranie bankowców. Tym bardziej, zdecydowanym krokiem, ruszyłem na policję.

Przed drzwiami komisariatu minąłem wyprężonego strażnika z karabinem, w za dużej czapce białej aż po brwi, ze skórzanym paskiem, zaczepionym nieomalże o dolną wargę. Zapytałem, który komisarz zajmuje się sprawami gospodarczymi. Strażnik nie odpowiedział, stał dalej nieporuszony, jak angielski gwardzista konny na warcie przed koszarami. Wszedłem więc do środka i przez kwadrans błądziłem korytarzami, przyciskając nos do wypisanych petitem tabliczek na drzwiach. W końcu, na drugim piętrze, na które skierowała mnie uprzejma sprzątaczką, znalazłem – Wydział Przystępstw w Interesach. Zapukałem i wszedłem. Krzesła przy dwóch biurkach były puste, dopiero po chwili zauważyłem człowieka w fotelu, odwróconego do mnie tyłem, znad oparcia ledwie wystawał czubek głowy. Pokryty rzadkimi, acz obficie napomadowanymi włosami czubek głowy.

– Przepraszam...?

Napomadowana fryzura podskoczyła wraz ze swoim właścicielem, który zerwał się zaraz z fotela i niezdarnie usiłował ukryć, że zatopiony był w lekturze pornograficznej powiastki, która spadła mu właśnie pod nogi. Kopnął ją w końcu pod fotel, poprawił kamizelkę (marynarka wisiała na oparciu krzesła przy biurku), chrząknął i zapytał:

– O co chodzi?

Zreferowałem sprawę i przez następny kwadrans musiałem wysłuchiwać nerwowej tyrady, poświęconej niemocy. Nie ma szans, nie ma jak, nie da się, nie wie jak, nie ma funduszy, nie ma szefa. Nie ma szans nic załatwić, bo ambasada jest eksterytorialna.

– Ale przecież mi nie chodzi o naruszenie eksterytorialności ambasady, tylko o to, żebyście sprawdzili tego faceta z banku – przerywałem potok beziły płynący z drżących warg policjanta erotomana.

Nie można, nie da się, nie wolno, nie, nie, nie. Lepiej daj sobie pan spokój. Nie te progi. Rozumiesz pan? Daj pan spokój. Już rozumiem. Jest przerażony perspektywą, że mógłbym złożyć doniesienie, a on, Bogu ducha winien, układny policjant, który przez całą służbę dba o to, aby nie narazić swojej maluczkiej osoby możliwym tego świata, będzie musiał węszyć dokoła ambasad i banków, a z tego nigdy nic dobrego nie wynika. Już rozumiem, nic tu nie wskóram.

Wróciłem do wydawnictwa. Zastanowiłem się – przecież wcale nie miałem ochoty na tę podróż. W zasadzie odpuściłem tak łatwo właśnie dlatego, że jak z nieba spadł mi pretekst, aby nie jechać. I znowu udało mi się odnaleźć pozytywny aspekt w tej przykrej sytuacji. Pozostało tylko wszystko ułożyć. Szef przyjmie moje tłumaczenie – że nie dostałem wizy – i zapomni o sprawie. Przed rozmową z moim przełożonym postanowiłem zadzwonić do Londynu, przeprosić Wily’ego i odwołać spotkanie. Z obrzydzeniem przyciągnąłem czarne, bakelitowe pudełko, zwieńczone słuchawką jak chiński mandaryn galową czapką i szczerzące do mnie tarczę z numerami. Nienawidzę telefonować. Pisząc list lub pismo, jestem bezpieczny, nic nie naruszy twierdzy mojego wewnętrznego spokoju, w jakiej się zamykam – czytając odpowiedź na mój list, zawsze mogę wrzucić ją do kosza, odłożyć lekturę na później, przekląć lub wyszydzić nadawcę. Łatwiej mi odpowiedzieć na trudne czy ciężkie pytania – zawsze mogę odwołać się do archiwum korespondencji, nakazać asystentce odszukać pisma z tego a tego dnia, znaleźć konkretny temat, mogę przemyśleć odpowiedź, dobrać ton odpowiednio kąśliwy; słowem, w korespondencji pisanej łatwiej mi obronić się przed ludźmi. Natomiast przykuty uchem do słuchawki, czuję się nagi. Każde pytanie może łatwo odsłonić moją niekompetencję; nie mając czasu na odpowiedź, mogę podjąć złą decyzję – słowem jestem bezbronny. Nienawidzę telefonów. Sięgam więc z obrzydzeniem po słuchawkę, podnoszę i drżąc nawet przed głosem telefonistki w centrali, zamawiam międzynarodową. Z Londynem. Tak, podaję numer. Oddalony pisk w słuchawce. Cicho, cicho, po czym w końcu ktoś odebrał i odezwał się po angielsku. Przedstawiłem się i – jak zawsze w takich sytuacjach

– miałem wrażenie, że moja angielszczyzna jest przez telefon zupełnie niezrozumiała, język płące mi się między zębami, ale sekretarka zrozumiała, o co mi chodzi, odpowiedziała, że łączy i znowu pisk. Zgrzyt.

– Wily, słucham.

Tłumaczę, przepraszam, nie przyjadę, panie Wily, wygłaszam parę niepochlebnych zdań na temat bezprawia w moim kraju, próbuję znowu przeproszać, przerwał mi.

– Rozumiem. Proszę się nie obawiać, wszystko załatwię.

– Nie, nie, pan mnie nie rozumie, nie otrzymałem wizy, z powodu, podobno, kredytu...

– Rozumiem. Proszę zadzwonić do mnie za kwadrans – przerwał mi ponownie.

– Ale...

– Do widzenia.

Trzask słuchawki.

Po kwadransie zadzwoniłem znowu, odebrała sekretarka. Ledwo otworzyłem usta i zacząłem się przedstawiać, przerwała mi.

– Pan Wily rozmawiał z konsulem. Jeszcze dzisiaj powinien się pan udać po wizę.

– Ale...

– Do widzenia, miłego dnia.

Trzask słuchawki.

Wziąłem dorożkę i pojechałem znowu do konsulatu. Lokaj zachowywał się po lokajsku – jakby widział mnie po raz pierwszy, a jednocześnie jakbym był co najmniej następcą tronu. Uprzejmie wskazał mi drzwi pokoju, w którym grożono mi bronią, a ja wszedłem, niepewny swego losu. Łysy pokurcz, królujący za swym intarsjowanym blatem, nie trzymał już rewolweru, nie wycelował go we mnie, spojrzał tylko spod rogowych oprawek złym wzrokiem, wyciągnął łapę i mruknął z tłumioną złością:

– Dawaj pan ten paszport.

Podąłem. Urzędnik, oblizując wargi, odcisnął w nim wielki stempel, na który następnie wpisał imię, nazwisko i inne informacje. Złożył paszport i jednym palcem przesunął go po blacie w moją stronę.

– Masz pan szczęście, że pan Wily zadzwonił do mnie przed chwilą. Masz pan szczęście. Ale będą tam pana obserwować, pamiętaj pan o tym! – wysapał.

Zabrałem paszport i bez słowa wyszedłem. Udało mi się uprzedzić lokaja i trzasnąłem drzwiami z całej siły, aż znad framugi sypnął się tynk.

Było już późno, popołudnie powoli zamieniało się w wieczór, uznałem więc, że nie muszę już wracać do pracy. Od konsulatu do naszej nowej willi nie było daleko, nie brałem więc dorożki ani taksówki i po kwadransie spaceru byłem na miejscu. Spodziewałem się zastać Lilly przy jakiejś krzątaninie, przy rozkładaniu książek na półkach lub czymś podobnym – jednak w domu panowała cisza.

– Lil! – krzyknąłem.

Nikt mi nie odpowiedział.

– Lilly, jesteś w domu? – powtórzyłem. Wzruszyłem ramionami i postanowiłem napić się koniaku i usiąść w fotelu z jakimś kryminałem, aby odpocząć. Lilly zapewne pojechała do rodziców, wypytywać swojego ojca, w jakie malarstwo najlepiej zainwestować resztę pieniędzy, jaka została nam po kupnie domu z bankowej pożyczki.

Książka leżała na jednej ze skrzyń, nie potrafiłem natomiast znaleźć butelki. Przypomniałem sobie, że ostatnio zostawiłem ją gdzieś na piętrze, wspiąłem się po schodach i wtedy usłyszałem hałas, dobiegający zza drzwi pokoju, który w przyszłości miał być moim gabinetem. A więc tu jesteś – pomyślałem i otworzyłem drzwi.

Lilly rzeczywiście była za drzwiami.

W pokoju paliły się świece, mnóstwo grubych, czerwonych świec, okno zasłonięte było kocem i pomarańczowe światło migotliwych płomyków nadawało ciału mojej żony dziwny odcień. Klęczała, naga, na rozścielonym na podłodze prześcieradle, z rozpuszczonymi włosami, przechylona do tyłu, z dłońmi wspartymi o podłogę. Nie otworzyła oczu, kiedy wszedłem do pokoju. Na prześcieradle i na parkiecie leżały rozrzucone kartki, w których zaraz poznałem maszynopis Wily'ego.

Nagle jakaś siła, jakby uderzenie czymś ciężkim i miękkim, wepchnęła mnie do środka, drzwi zatrzasnęły się same, a Lilly otwarła oczy. Nie wiem, czy mnie zauważyła, bo jej wzrok ogniskował się na czymś za mną, miałem wrażenie, jakbym był przezroczysty. Otworzyła usta i nagle świece strzeliły płomieniami, jakby ktoś chlusnął w płomień naftą, ciało Lilly uniosło się, była ciągle przechylona do tyłu, a podłogi dotykała jedynie palcami u nóg. Uśmiechnęła się i nagle mnie zauważyła.

– Patrz – wyszeptała i szept zginął w jej wargach. Nie mogłem się ruszyć, jakbym stracił władzę nad własnym ciałem, i patrzyłem. Piersi Lil zafalowały, ścisnęły się, jakby pieściły je niewidzialne dłonie, westchnęła i opuściła głowę do tyłu, długie włosy zwisały prawie do ziemi, stopy uniosły się i Lilly wisiała w powietrzu. Rozchyliła kolana, odsłaniając przede mną krocze, uniosła rozchylone nogi wysoko, jakby opierała łydki na ramionach niewidzialnego kochanka, i krzyknęła, zawyla przeciągle, jak z rozkoszy lub z bólu, znowu i znowu, jej ciało drgało miarowo w takt tej zwierzęcej, niewidzialnej kopulacji. Rytmiczne krzyki po chwili zlały się w jedno przeciągłe, bestialskie wycie, wyprężyła się, z nosa pociekła jej krew i nagle, jakby zniknęła siła, która utrzymywała ją w powietrzu, spadła na rozścielone prześcieradło, a ja odzyskałem władzę nad ciałem. Chciałem ją zabrać i uciec z tego przeklętego miejsca, pochyliłem się nad nią, aby ją podnieść, a ona otoczyła moją szyję ramionami i szarpnęła z ogromną siłą, a ja upadłem na podłogę, obok niej. Wpiła się ustami w moje usta, nie zważając na krew, która ciekła jej po twarzy, i objęła mnie udami. Prawą dłonią, sięgając za siebie, rozpiniała guziki przy moich spodniach, a lewą ścisnęła mnie za gardło. Mimo przerażenia poczułem podniecenie, jednak tylko w jego fizycznym aspekcie, nie pożądałem jej, nie chciałem jej, bałem się, więc próbowałem zepchnąć ją z siebie,

zaczęliśmy więc walczyć i zrzuciłem ją, podniosłem się, wykopałem drzwi z framugi, ześlizgnąłem po schodach, potykając się i zapinając spodnie, i uciekłem z domu.

Było ciemno, puste ulice błyszczały w świetle latarni gazowych, mokre od niedawnego deszczu. Pobiegłem w nocne miasto, zapadając się w nocne zaułki jak w schronienie.

* * *

Biegłem, a potem szedłem, gnany zwierzęcym przerażeniem, bez świadomości prawie. Ocknąłem się dopiero na Starym Mieście, na Placu Młyńskim, pod kawiarnią „Mieszczańską”, starym, bardzo artystycznym – wbrew nazwie – lokalem, do którego chadzałem w młodości. „Mieszczańską” zamykano późno, o dziesiątej, ja jednak włóczyłem się już parę godzin i knajpa była zamknięta.

Właściciel „Mieszczańskiej” nie zwracał sobie głowy chowaniem na noc stolików stojących na zewnątrz, pod płóciennymi parasolami. Był środek tygodnia, okna mieszkań, zamieszkałych przez porządnymi obywateli, były już dawno ciemne, paliły się tylko latarnie i światło odbijało się w kałużach, których ojciec deszcz przemoczył moją marynarkę i koszulę.

Przy jednym ze stolików zauważyłem zgarbioną postać i pomyślałem, że to lump, któremu lepiej nie wchodzić w drogę. Zanim zdążyłem się odwrócić, postać zwróciła się w moją stronę.

– R., psiakrew! Ale spotkanie! Wiedziałem, że coś się ciekawego, psiakrew, zdarzy! Chodź!

W piwnym ogródku „Mieszczańskiej” siedział Rolffie Galland.

Rollfie Galland, pierwszy egzemplarz mojej kolekcji. Pasja kolekcjonerstwa jest, jak mi się zdaje, atawizmem. Sublimacją roztropnego w epoce jaskiniowej instynktu gromadzenia jadła czy opału na zimę albo może dalekim echem dzierzby gąsiora, małego ptaszka, który swoje zdobycze, owady i małe płazy, nabija na ciernie. Albo innego ptaka, sroki, która zbiera do gniazda wszystko, co błyszczące.

Rollfie Galland był pierwszym egzemplarzem w mojej kolekcji, ponieważ kolekcjonowałem ludzi. Brzmi to makabrycznie, jak z taniego kryminału o mordercy maniacu, chodzi mi jednak o coś bardziej trywialnego, a jednocześnie subtelniejszego. Z racji swojej pracy, zainteresowań, wreszcie z racji trybu życia poznawałem setki ludzi. Z tej ludzkiej masy wyławiałem ciekawe egzemplarze, poznawałem, tworzyłem swoje wyimaginowane, spójne psychologiczne i intelektualne tychże egzemplarzy portrety, przyporządkowywałem do kategorii (a częściej tworzyłem dla nich nową kategorię, którą odnosiłem do ludzi spotykanych później). Moje kategorie były po lombrozjańsku albo, może szlachetniej, po arystotelesowsku, psycho-cieleśnie spójne. Nie nadawałem im nazw – wydałoby mi się to pretensjonalne, skoro moja klasyfikacja była prywatna i poufna.

Spotkałem więc na Placu Młyńskim Rolffiego Gallanda. To nieprawda, że jeśli ktoś przestał być twoim przyjacielem, to nigdy nim nie był – z Rollfiem nie doszło do jakiegoś dramatycznego rozstania, po prostu nasze drogi się rozeszły. Rollfie, pierwszy egzemplarz w kolekcji, zapoczątkował całą kategorię podobnych mu utracjuszy.

Kiedy chodziliśmy do gimnazjum, był jednym z najinteligentniejszych uczniów, wtedy się zaprzyjaźniliśmy. Pod koniec, w jedenastej albo dwunastej klasie, rozwijał się już w inny sposób. Pamiętam, że za nic nie chwycił łacińskich deklinacji, nie potrafił wymienić po kolei wszystkich naszych władców, opowiadał za to, z płonącymi oczami, o madame Blavatsky, czytał Crowleya i znał w mieście miejsce, gdzie można było posłuchać jazzu.

Gimnazjum skończył z trudem. Z matury miał poprawkę i wyjechał do Niemiec, studiować filozofię w Berlinie. Odwiedziłem go rok później – nie był już studentem, bo nie udało mu się zaliczyć ani jednego kursu, żył za to artystycznym i dekadentckim życiem stolicy, bywając na przemian w Berlinie i monachijskim Schwabing, jazz w kabaretach, szalone pościgi automobilami po polnych drogach, komuniści i socjaldemokraci, komunistki, które przez komunizm rozumiały sypianie z każdym przystojnym chłopakiem i z niektórymi pięknymi dziewczynami, autentyczni, robotniczy działacze, oszołomieni światem, którego zupełnie nie znali, i arystokraci, którzy wczoraj nie podaliby im ręki, a dzisiaj fetują robociarzy na swoich rautach. Zwykle puszczałskie, marzące, że któryś z dyszących im nad uchem amantów oświadczy się między jednym a drugim spazmem rozkoszy, zimni śmiercią weterani z kół rewolucji konserwatywnej, malarze, którzy nie malowali, poeci, którzy nie pisali, pisarze, którzy wiecznie kończyli powieść, marszandzi bez pieniędzy, trębacze bez trąbek. W tym wszystkim mój Rolffie, gdzieś na szarym końcu, jako zwykły szeregowiec cyganerii. Próbował towarzysko awansować, a że nie miał talentów artystycznych, został anarchistą. Przeczytał Kropotkina, udało mu się sprowadzić z Paryża do Monachium Nestora Machnę na seminarium, na którym niemieccy arystokraci udający robotników pytali tego dzikiego Ukraińca o różne zagadnienia z Hegla, a piękny, długowłosa Machno patrzył na twarze ukryte pod daszkami robociarskich czapek, milczał i marzył o nieodległych przecież czasach, kiedy odpowiedzią na bezczelne pytanie była kula z mauzera albo hak pod żebro. Nie dogadali się oczywiście, dla Machny anarchizm to rewolwer, szabla i szubienica, Rolffie zaś bał się panicznie broni i brzydził się przemocą. Anarchizm mu nie wyszedł, został więc pijakiem. Kiedy chłopcy w brązowych mundurach zaczęli zmieniać Niemcy i cyganeria założyła mundury albo trafiła za druty, albo wyjechała, Rolffie wrócił do kraju i został pierwszym egzemplarzem mojej kolekcji – a więc jednocześnie zapoczątkował nową kategorię, został definiensem definicji, w której definiendum byli ludzie, których umieszczałem w kategorii: „Tacy jak Rolffie”. Pętał się gdzieś tam dookoła, imał się przygodnych zajęć, nawet fizycznych – w innym świecie niż my, którzy już dawno zaczęliśmy udawać dorosłych. Spotykaliśmy go czasem, wraz z innymi kolegami z

gimnazjum, na męskich popijawach, gdzie jedynym wspólnym tematem był alkohol i wspomnienia, bo nasze teraźniejszości były już zbyt odległe od siebie, aby o nich mówić.

Nie miałem ochoty na rozmowę, bo przecież i tak nie mogłem opowiedzieć mu o tym, co stało się z moją żoną. Poczułem się jak wtedy, kiedy czekając rano na pociąg, z ciekawą książką w kieszeni, rozglądałem się nerwowo, a w końcu i tak z najmniej spodziewanej strony nadciągał jakiś daleki znajomy, kolega z równoległej klasy z podstawówki, z korporacji akademickiej albo z klubu jeździeckiego, człowiek, z którym nie łączyło mnie nic, ale on, pchany nie wiadomo skąd wziętym przekonaniem, iż z każdym, z kim się zamieniło słowo, trzeba już do końca życia przy każdej okazji gadać, podchodził i zaczynał to, co Anglosasi nazywają *small talk*. I tak znikła wizja spokojnej godziny, którą można było poświęcić lekturze, ze zmysłami ukojonymi systematyczną mantrą stukających kół pociągu, a zamiast tego skazany byłem na koszmarną quasi-rozmowę, w której należało z pełną ostrożnością omijać każdy ciekawy temat, bo to przecież nie uchodzi i trzeba się ograniczyć do tępego wygłaszania banałów.

Często zdarzało mi się ukrywać przed znajomymi, którzy mnie nie zauważyli, chowałem się za filarem lub zasłaniałem płachtą rządowego dziennika. Rolffie kiedyś należał do tej nielicznej kategorii ludzi, na których widok nie usiłowałem zniknąć – jego towarzystwo, zamiast męczyć, cieszyło, jednak od czasów gimnazjum, kiedy się przyjaźniliśmy, minęło wiele lat i Rolffie, wraz z innymi, przeszedł do armii tych, przed którymi chowałbym się, gdybym jeszcze korzystał z kolei; na szczęście automobile uwolniły mnie od przykrości znoszenia niechcianego towarzystwa. Kiedy więc R. krzyknął na mnie, zawahałem się chwilę, lecz po części z uprzejmości, której nie umiałem przemóc, po części z ciekawości i resztek sympatii, podszedłem w końcu do stolika. Rolffie siedział przy butelce taniej brandy, miał nawet dwie szklanki.

– Czekasz na kogoś? – zapytałem zamiast powitania.

– Taaaaa – powiedział przeciągle, jak miał w zwyczaju od powrotu z Berlina. – Na ciebie, R., na ciebie czekam.

Wzruszyłem ramionami, usiadłem i spojrzałem w górę.

Na tle rozświetlonego księżycowym blaskiem nieba ukazał się, powoli i majestatycznie, ciemny, wrzecionowaty kształt. Na powierzchni czarnego prawie cygara błyszczało kilka świateł, białych i czerwonych, słychać też było odległy, cichy szum. Galland zauważył moje zdziwienie, spojrzał przez ramię, wzruszył ramionami i powiedział:

– „Hindenburg”. Leci do Ameryki, po drodze zatrzymuje się u nas i w Londynie, Hitler lubi się popisywać.

Nalał mi pół szklanki brązowego płynu (nosił rękawiczki z obciętymi palcami), potem dopełnił swoją szklankę i uniósł ją w górę. Podniosłem również, dotknęliśmy się szkłem (to taki polski zwyczaj, również przywieziony przez Rolffiego z Berlina) i wypiliśmy. Sterowiec znajdował się dokładnie nad nami, na statecznikach dostrzegłem swastyki w białych kołach,

na czerwonym tle. Alkohol zapiekł w gardło i rozlał się po wnętrznościach, brandy była obrzydliwa i mocna, aż zakręciło mi się w głowie. Oparłem się o stół, ale zawroty głowy nie ustępowały.

Podniosłem wzrok na mojego kompana od butelki, a on zauważył moje spojrzenie i nieswoim głosem zapytał:

– Mało ci? Mało ci tego, co ci dał?

Chciałem odpowiedzieć albo zapytać, ale wydobyłem z siebie tylko nieartykułowany bełkot.

– Dobrze, dostaniesz więcej. Dostaniesz, czego będziesz chciał. Chcesz żyć życiem artysty? Chcesz bywać na salonach? Z Mannem? Nie? To może z Jungerem, skoro Mann ci nie odpowiada? No to może wolisz zostać u nas w kraju, u nas nikt ci nie dorówna! Albo Paryż. Tam Drieu de la Rochelle albo Cocteau? Wyobraź sobie: salon u Picassa, tam ty, piękne kobiety w sukniach bez pleców, obok ciebie...

Rolffie rozmył się, dwoił mi się w oczach. Po jednej szklance brandy! Świat ściemniał, poczułem, jak głowa powoli osuwa mi się na ułożony na stole łokieć, aż policzki dotykają blatu.

Przestronny pokój, za oknem noc. Tutaj świece na stołach, wino – mam w dłoni kieliszek ze starym burgundem, tak ciemnym, że prawie brązowym – dookoła gwar, jaki zwykle słyszy się na przyjęciach. Opieram się swobodnie o błyszczący politurą blat biurka. Smukły trzydziestolatek o ciemnych włosach i wysokim czole spogląda na mnie, wyraźnie oczekując odpowiedzi. Nosi szary garnitur ze szpiczastymi klapami, z kącika ust zwisa papieros, szpecący szlachetną twarz. Milczę.

– Czemu nie odpowiadasz? Człowiek żyje tylko wtedy, kiedy ryzykuje śmierć. Żadna idea, żaden sentyment nie jest rzeczywisty, dopóki nie jest udowodniony przez ryzyko śmierci. Nie byłeś na wojnie, prawda? – pyta.

Nie, psiakrew, nie byłem. Ilu z was jeszcze mnie o to zapyta? Chciałem być, chciałem – ale jestem astmatykiem, z alergią na kurz. Próbowałem dać lekarzowi na komisji łapówkę, żeby mnie przyjęli, a ten tylko mruczał pod nosem, że „po co ma zdolny chłopak zdychać dla Prusaków, niech se Hohenzollern swoich Szwabów śle w okopy, a od naszej młodzieży niech się cesarska moc raczy odpieprzyć”. I kto mi teraz uwierzy, że naprawdę chciałem pójść w okopy? Kręcę więc przecząco głową.

– Och, to nic. Nieważne. Twoja powieść jest arcydziełem... Twoja powieść porwie tysiące młodych i wypchnie ich na ulice, z rewolwerami w dłoniach pójdą, uderzą w starych, uderzą w komunistów, uderzą w kapitalistów, uderzą w banki i w fabryki, i spalą się pięknym ogniem, ogniem młodym i żywym – mówi Drieu i poklepuje mnie po ramieniu.

– Mój drogi, ledwie cię poznałem, a czuję, jakbyś był moim najbliższym przyjacielem. Może pojedziesz ze mną do Hiszpanii, Primo de Oliveira zrobi nas oficerami Falangi, będziemy walczyć z komunistami.

Mówi cicho, monotennie, jak chłopiec recytujący wykutą lekcję przed obliczem obojętnego belfra. W tembrze jego głosu nie ma ognia, ale wewnątrz – czuję to – płonie, nauczył się ukrywać swoją pasję do życia, więc barwa jego głosu jest zgaszona, ale pomiędzy słów strzelają płomienie, ostre i białe języki ognia, jak z lufy karabinu, jak z ofiarnego stosu. Ciągłe milczenie, oniemiały, słyszę za sobą kobiecy głos, który woła: „Pierre!”, mój rozmówca klepie mnie w ramię, uśmiecha się i odchodzi, patrzę za nim, kobieta w niebieskiej sukni całuje go w policzek, Drieu ma pod pachą książkę, na której grzbiecie figuruje moje nazwisko i tytuł: *Wyzwolenie łotra*.

Ktoś potrząsnął mnie za łokieć.

– R., psiakrew, kiedyś to ty umiałeś wypić. Obudź się, chłopie! – zawołał Rolffie.

Wstałem raptownie z krzesła, zupełnie trzeźwy, i chciałem uciec, ale Galland stał już przy mnie.

– Dam ci to, rozumiesz? – krzyczał, szarpiąc mnie za łokieć. – Dam ci to, czego sam ledwie polizałem, to, czego sam tak pragnąłem, a co nie było mi dane. Aby znaleźć się tam, gdzie chciałem, trzeba mieć albo talent, albo pieniądze, ja nie miałem żadnego. Twój talent wystarczy. Rozumiesz? Twoje słowa, które powinny układać się w kobierzec na kartach książek, gniją gdzieś w twojej głowie, kiedy ciulasz te swoje śmieszne sumki, wykonując tę idiotyczną robotę. A mógłbyś być, możesz być!, pierwszy, najlepszy! I tak niewiele musisz dać w zamian, nic prawie...

Silniki zeppelinów nad nami zaterkotały głośniejsze i sterowiec zaczął się obracać, powoli, z inercją, cały czas poruszając się jeszcze na pierwotnym kursie, jak automobil na lodzie, jadący bokiem samą siłą rozpędu.

Okno na drugim piętrze kamienicy nad nami otwarło się z hukiem i wyjrzała z niego zaspana matrona – porządna katolicka mieszcza, sól i esencja naszego dobrego ludu, filar, na którym spoczywa ciężar tego kraju, wreszcie ta, której pieniądzom swoją egzystencję zawdzięczają tacy, jak ja: oszuści sprzedający słowa i tacy, jak Rolffie, uczciwi dranie, którzy nie sprzedają nic. Surowa koszula nocna spływała z tłustego biustu, który wspierał się o parapet, nie okrywała jednak pulchnych ramion. Kobiecina potarła oczy wyrastającym z tłustego przedramienia kułakiem, zauważyła nas i ryknęła:

– Cóż to za krzyki po nocy, pijusy, lumpy jedne? Uczciwi ludzie chcą spać, bo jutro idą do roboty! Wynosić mi się stąd, a już, bo psem poszczuję i zawezwę policmajstra!

Galland puścił mnie, odwrócił się w stronę wzburzonej baby i pewnym krokiem zbliżył się do jej okna. Kobieta, zaskoczona taką bezczelnością, zapomniała języka w gębie i wydusiła jedynie wściekłość:

– No... czego ty, tutaj, tyyy... won mi stąd, wy, psiakrew...!

Mój eks-przyjaciel w odpowiedzi wyciągnął spod marynarki amerykański rewolwer z długą lufą (jakże mógł taką armatę zmieścić pod ubraniem?) i wycelował w swoją

obrazicielkę. Kobięcina zamarła z przerażenia, a Rolffie rozpoczął kolejną ze swoich przemów, tym razem wyrzeszczał ją podnieconym, kogucim głosem:

– Przebrzydła repo, pudernico stara, mógłbym ci wytłumaczyć, dlaczego minuta z naszej rozmowy jest więcej warta, niż wszystkie godziny, które w swoim żalonym życiu poświęcisz na sen, ale nie, raszplo, nie wytłumaczę, bo twoje filisterskie perspektywy, *drei K*, jak mówią Niemcy, skutecznie uniemożliwiają ci zrozumienie tego...

Wykrzykiwał coś dalej, do okna schowanego za zatrzaśniętymi z hukiem okiennicami, ale nie słyszałem już jego słów, biegłem przez uśpione ulice, przed siebie, byle dalej od tego szaleńca, który bez wątpienia zaraz zostanie aresztowany. Byłem przerażony – przeraziła mnie sytuacja, wizje, które miałem po paru łykach brandy, Rolffie – udawałem przed sobą, że jego słowa nijak nie łączą się z Wilym i maszynopisem. Ale przecież wiedziałem, biegłem więc tak, jakbym chciał uciec od własnego cienia, albo raczej cieni, które, po kilka naraz, kręciły się dookoła moich stóp w miarę, jak, dysząc coraz ciężiej, mijałem kolejne latarnie. Biegłbym pewnie tak aż do utraty przytomności, wiele by nie trzeba było, lecz z kolejnej bramy przede mną wyjrzała nagle znajoma twarz. Człowieczek, szczelnie owinięty sfatygowanym paltocikiem, wydał z siebie teatralne: „Psssst!” i skinął na mnie głową, jakby udawał spiskowca, karbonariusza z niemego filmu. Nieomalże zobaczyłem przed oczami czarną planszę z roślinnymi zdobieniami, która wypełnia kinowy ekran, w krótkim zdaniu komentując pełną ekspresji, ale milczącą scenę wcześniej: „Chodźmy, ukryję cię, będziesz bezpieczny”. Nie zastanawiałem się wiele, skręciłem w bramę i za moim wybawcą zbiegłem po kilku schodkach, wypełniających cuchnącą moczem klatkę, do wilgotnej sutereny. Suterena, którą zamieszkiwał Julius August Gäbel, właściciel twarzy, która wyjrzała na mnie z bramy.

Gäbel w mojej kolekcji opatrzony był jednym z dalszych numerów, w okolicach szóstki, był jednak egzemplarzem cennym, przez swoją indywidualność. Był jednym z tych ludzi, których się nie widuje. Nie, nie ukrywał się – codziennie rano sumiennie wstawał o godzinie czwartej czterdzieści, golił się przy drżącym płomieniu lampy naftowej (on – wielki zwolennik elektryczności, autor broszury *Człowiek – maszyna*), następnie zakładał jedną z trzech przeraźliwie niemodnych kraciastych koszul, które odziedziczył prawdopodobnie po ojcu. Nie posiadał krawata (funkcją koszuli jest zbierać pot, oddzielać odzież wierzchnią od wydzielin ciała oraz, przez utworzenie warstwy powietrza między skórą a odzieżą wierzchnią, lepiej izolować ciepłnie – a jakąż funkcję miałby pełnić krawat? Guzik doskonale trzyma kołnierz koszuli w stanie zapiętym – mawiał), na koszulę zakładał jeden ze swoich wełnianych, cuchnących pulowerów. Zimą strój uzupełniał paltem, którego nie ściągał przez cały dzień (po co mam mocniej palić w piecu? temperatura dziesięciu stopni Celsjusza jest optymalna do życia) i udawał się do piekarni po bułkę, dzień dobry pani, poproszę bułkę za dwanaście pensów, oto pieniądze, dzień dobry, panie Gäbel, oto pańska bułka. Kiedyś nie przyszedł rano do piekarni, gdyż zaciął mu się zamek w drzwiach – dwa kwadransy później

przeżona piekarsowa dobijała się do drzwi sutereny, w towarzystwie lekarza, przekonana, że Gäbel zasnął. Dzień, w którym Gäbel Nie Przyszedł po Bułkę, wspominało w piekarni przez parę miesięcy po tym głośnym wydarzeniu.

Nikt ze spieszących do fabryki robotników nigdy nie zwrócił uwagi na niskiego, szczupłego mężczyznę w nieokreślonym wieku, z wzrokiem wbitym w pawiment. Kiedy szedł, w szarym palcie, przy murze, zlewał się z nim jak kameleon. Wracał do domu, spożywał swoją bułkę razem ze stodwudziestogramowym (optymalna dawka tłuszczu, białka zwierzęcego i mikroelementów) kawałkiem taniej kiełbasy (wędlinę nabywam raz w tygodniu, gdyż nie warto zachodzić co dzień rano i do piekarza, i do rzeźnika), popijał dwiema szklankami wody i zasiadał do swoich papierów. Co pisał – o tym za chwilę. Pracował przez dwanaście godzin, co godzinę robiąc kwadransowe przerwy (na posiłek, odpoczynek, rozrywki, jak na przykład rozwiązywanie zadań szachowych lub układanie limeryków, to gwarantuje utrzymanie umysłu w stanie najwyższej sprawności), równo o szóstej trzydzieści wstawał od stołu, układał papiery w porządku wcale nie pedantycznym, ale przemyślanym (notatki na ten stosik, luźne spostrzeżenia, wymagające pogłębionej analizy, na ten stosik, pomysły chybione do kosza, gotowy artykuł do koperty), zbierał książki, które wkładał w przynależące im gniazda w wielkiej biblioteczce. Biblioteczka Gäbela była więcej niż fascynująca, nie ze względu na liczbę tomów – skromny tysiąc (posiadam jedynie potrzebne i ważne książki, inne po przeczytaniu sprzedaję pewnemu antykwariuszowi), lecz ze względu na schemat ułożenia książek – brawurową matrycę, która odwzorowywała miejsce dzieła na skomplikowanej mapie idei (nie na mapie idei, ta albowiem przynależy do świata idei, zaś książki, w swej niedoskonałości i złożoności, nigdy nie odwzorują tego w sposób doskonały – nie na mapie idei więc, lecz na matrycy, którą stworzyła mapa idei, rzucona na moje naukowe zainteresowania i moją pracę intelektualną). Clausewitz u Gäbela nie stał ani w historii wojskowości, ani koło Herodota, ani koło Tukidydesa, ani w epoce napoleońskiej, ani w literaturze niemieckiej – takie półki nie istniały. Clausewitz z jednej strony podpierала *Zoologia* Buffona, z drugiej zaś wiersze Assama Ibn Muftiego, we własnym przekładzie Gäbela. Mało tego – znaczenie miały również książki, które stały nad Clausewitzem i pod Clausewitzem. Biblioteka Gäbela była w zasadzie maszyną do pisania esejów. Wystarczyło zacząć od dowolnej książki, a następnie wyciągnąć kilka kolejnych, w dowolnym kierunku – w górę, dół, na bok – i jeżeli znalazło się treść tych dzieł, myśl przewodnia eseju była gotowa. Oczywiście trzeba było być do tego Gäbelem i rozumieć sens tej matrycy – wiedzieć, jakie znaczenie ma kierunek „w dół”, jakie „w lewo”, co oznacza dla dzieła bycie na drugiej półce od podłogi lub na najwyższej. Julius August roił sobie, jak kiedyś mi opowiedział, kiedy jeszcze uczył historii w gimnazjum, w którym ja byłem uczniem, że stworzy kiedyś matrycę uniwersalną, pokazywał nam nawet model kilku segmentów. Książkę reprezentował starannie wycięty z kartonu i sklejonny ikosaedr, dwudziestościan złożony z trójkątów równobocznych, opisany tytułem i nazwiskiem autora

na każdej ze ścian. Oprócz tytułu i nazwiska każda ściana miała właściwy sobie numer. Ze środka każdego trójkąta wychodziło kilka sznurków, prowadzących do ścian kilku innych, przykładowych ikosaedrow. Każda ściana symbolizowała inny rodzaj zależności między połączonymi książkami.

– Och, byłem młody i głupi i wydawało mi się, że dwanaście, bo najpierw łączniki miały wychodzić z wierzchołków wielościanu, będzie właściwą liczbą połączeń poszczególnych komórek ludzkiej myśli, które zamykamy na papierze i nazywamy książkami. Stworzyłem dwadzieścia kategorii i stworzyłem próbny model na kilku dziełach, tylko po to, by zdać sobie sprawę, jak ograniczony byłem, zakładając, że liczbę połączeń da się wyrazić skończoną liczbą.

Próba systematyzacji ludzkiej wiedzy była tylko przygodnym zajęciem Juliusa Augusta, traktował ją jak nieudaną próbę stworzenia doskonałego narzędzia – tak, jak astronom w XVII wieku musiał być jednocześnie szlifierzem soczewek, tak Gäbel chciał wyszlifować swoje metodologiczne narzędzie.

Głównym zajęciem Gäbela zaś było poszukiwanie suwerena.

Kiedy mały Julius poszedł do szkoły powszechnej, jego uwagę przykuła polityczna mapa świata. Wielka i różowa plama Rosji wypełniała całą prawą stronę, podparta z lewej kleksami Niemiec i Austro-Węgier, jeszcze mniejszymi plamkami Francji i Hiszpani. Lewą stronę mapy zdominowała dwukolorowa Ameryka Północna. Spore, niebieskie USA, przygniecione pomarańczowym ogromem Kanady – gigantyczny Labrador, wielka Zatoka Hudsona i z lewej ogromna Alaska, flankująca brytyjską Kanadę na lewym skrzydle. I Grenlandia wielkości Afryki. Gäbel rozumiał już znaczenie mapy, wiedział, czym są państwa, rozumiał też, co oznacza, że państwo jest potężne lub słabe. Wyobrażał więc sobie Amerykanów drżących przed potęgą ogromnej Kanady i całą swą nadzieję pokładających w oddalonej, rozległej Alasce. Dwa lata później dowiedział się o istnieniu pojęcia zwanego odwzorowaniem geograficznym i po raz pierwszy w życiu zrewidował swoje przekonanie o potędze jakiegoś państwa. Wtedy też stworzył świadomą teorię o przewadze w świecie. W miarę, jak zdobywał nową wiedzę, a zdobywał ją błyskawicznie, w wieku lat szesnastu dysponując wiedzą przeciętnego studenta czwartego roku historii, w swej teorii o potędze uwzględniał coraz to nowe czynniki. I tak od Kanady siedmioletniego uczniaka, przez szereg potęg, których wybór opierał się na przesłankach równie słabych, jak wielkość fragmentu w odwzorowaniu Mercatora, zwracał się z wasalnym hołdem do tego, którego aktualnie uznawał za najpotężniejszego.

Hołdy ludzi nędznych wypływają ze strachu. Konformizm, który jest udziałem każdego, kto żyje w społeczeństwie wraz z innymi ludźmi, u tych gorszego sortu staje się zasadą życia – uznają oni świat za miejsce tak podłe, że zmuszające do małości, z której doskonale zdają sobie sprawę; jednak uważają ją za nieuniknioną. Gäbel nie należał do nich. Czczył siłę, jednak nie dla korzyści własnych, gdyż niczego od nikogo nie pragnął i niczego nie potrzebował,

pozostając człowiekiem prawdziwie wolnym. Gäbel uważał siłę doczesną za jedyną emanację boskiego, transcendentnego porządku na ziemi. Wierzył, że boska zasada świata realizuje się w porządku, a porządek może wypływać jedynie z władzy, zaś władzę oprzeć można jedynie na sile. Lojalność wobec tej siły uznawał za obowiązek moralny i egzekwował tenże obowiązek od siebie z żelazną konsekwencją. Nie zaniechał nigdy krytycznego dystansu do każdej z rzeczonych potęg, jednak sam nakładał sobie kielzno, nie pozwalając sobie na publiczną krytykę. Czyny i decyzje Gäbela były bez wątpienia heroiczne, gdyż pozostawały zupełnie bez znaczenia. Swoje doskonałe, eleganckim, oszczędnym stylem pisane eseje publikował w piśmie o wysokiej w tzw. środowisku renomie i czterystu egzemplarzach nakładu.

Czytywali go różni ludzie – frustraci utrzymujący się z handlu używanymi książkami i burmistrzowie miast, deputowani do parlamentu i żyjący z głodowej renty emeryci, wierzący w spisek Iluminatów. Nikt jednak nie nadawał tekstom Gäbela żadnej wagi, a ten, jako człowiek inteligentny, zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Dawno temu, po majowej rewolucji, czyli obaleniu lewicowych rządów Dreschena, środowisko związane z Gäbelem miało coś do powiedzenia – jego przyjaciele i znajomi nagle, z dusznych i beznadziejnych partyjnych zebrań w suterenie przy kiepskiej herbacie i w dymie cuchnących papierosów, przenosili się na stanowiska sekretarzy stanu, w miękie plusze obić luksusowych klubów i w dym drogich cygar. Nie zapominali o swoim mentorze, przychodzili – a raczej byli przywożeni – do swojego mistrza po rady, których ten im z ochotą udzielał, i wychodzili z przeświadczeniem, że stary Gäbel dawno oderwał się od rzeczywistości, gdy wieszczy im rychły koniec, albowiem wierzyli swej kochance, władzy, gdy słodko kłamała, że jej skłonność ku nim jest wieczna. Przychodzili też z propozycjami, które Gäbel elegancko odrzucał, nie okazując moralnej wyższości, tak naturalnie, jak odmawia się trzeciego kawałka tortu na imieninach u cici. Gdy upadli i wrócili do swych zadymionych suterren, zgorzkniali i zawiedzeni, Gäbel już tam na nich czekał i nie wypominał im błędów, chętnie zaś słuchał wspomnień z tych krótkich miesięcy, w których byli wielcy. Nikogo nie obchodziły kolejne wolty ideologiczne, które tylko nieuważnemu czytelnikowi wydawały się raptowne i skrajne, a dla Gäbela były jedynie logiczną konsekwencją zwiększania zasobu wiedzy w efekcie uporczywych studiów. Ogłaszał je w swoim piśmie, wypisywał oświadczenia i tym profanom, którzy w ogóle wiedzieli o jego istnieniu, wydawał się śmieszny, gdyż powszechnie uważano, że Gäbel żyje w świecie mitów o własnej wielkości. Tymczasem zdawał on sobie doskonale sprawę ze swej kondycji i swojego znaczenia – był jednak również świadom swojej intelektualnej siły i po kantowsku rozumiał spoczywający na nim obowiązek, powołanie do ogłaszania aktualnego stanu namysłu nad rzeczywistością. Spełniał więc ten obowiązek, słusznie zakładając, że nie może odpowiadać za to, jaki użytek ktoś zrobi z jego esejów. Narażenie się na śmieszność czy brak zainteresowania na pewno nie byłyby powodem, aby zaniechać powinności, które spoczywają na jego barkach.

Rolfiemu Gallandowi, nie odbierając godności bycia archetypem swej kategorii, znajdowałem wielu godnych następców, wielu ludzi, którzy są „jak Galland”. Gäbel pozostawał unikatowy, będąc jedynym przedstawicielem swojej rodziny, rządu i królestwa, jak hatteria wśród gadów lub język japoński w lingwistyce. Poznałem go dawno temu, jako daleki szeregowy środowiska, niemy słuchacz, stojący gdzieś pod ścianą i słuchający dyskusji wielkich, czasem zaszczytany pochwałą za celną uwagę (raz do roku) czy przyjaznym klepinięciem w ramię, gdy zrobiłem kawę dla wszystkich, zakupiwszy ją uprzednio z własnych środków. Przestałem szybko spotykać się z tymi ludźmi, gdyż wtedy jeszcze zakładałem, że towarzystwo frustratów może mi tylko zaszkodzić – mnie, człowiekowi powołanemu do wielkości.

Tamtego dnia, kiedy Gäbel wciągnął mnie do swojej nory, zobaczyłem go po raz pierwszy od wielu lat. Zaprowadził mnie bez słowa do kuchennego aneksu, oddzielonego od pracowni odsuniętą teraz kotarą.

– Przed czym uciekasz, człowieku? – zapytał, siadając za pustym stołem i wskazując mi drugie krzesło.

No i co, miałem mu opowiedzieć o żonie? O tym, że poszedłem nocą w miasto, bo bałem się zostać we własnym domu? Milczałem więc.

– Widzisz, R., świat jest porządkiem – powiedział, trochę do mnie, a trochę w przestrzeń.

Kiwnąłem głową.

– Są jednak elementy, które porządek burzą, i moralnym obowiązkiem człowieka godnego jest z nimi walczyć. Eliminować je trzeba. Taki jest sens wszelkiej władzy ziemskiej: władza utrwała porządek, wstrzymuje postęp entropii i aby świat był ładem, człowiek godny z dumą służy władzy. Posłuszeństwo, lojalność... i gotowość poświęcenia dóbr osobistych dla tychże to cechy, dzięki którym boskość realizuje się w kontekście społecznym.

Boskość, dobre sobie. Gäbel rzeczownika „boskość” używał w sobie właściwy sposób, oznaczając tak ponadludzki wymiar tego, co międzyludzkie – jak brzmiała oficjalna definicja, bardzo gabelowska w swojej paradoksalności.

Ciągnął swój wywód, a ja patrzyłem na niego tępo, nie słuchając już wcale. Zaczęła ogarniać mnie senność.

– Nie słuchasz – powiedział beznamiętnie, bez urazy czy pretensji, stwierdzając po prostu fakt.

– Przepraszam, jestem zmęczony... – zacząłem się tłumaczyć.

Machnął ręką.

– Nie tłumacz się. To nieważne. Zaczekaj chwilę.

Wstał od stołu i wyszedł z kuchni, wrócił po chwili, niosąc w ręku jakiś przedmiot, owinięty w szarą, tłustą szmatę. Położył rzecz na stole i starannie rozwinął tkaninę, rozprostowując ją, jakby zaolejony gałgan był eleganckim obrusem. Na szmacie leżał pistolet.

– Austriacki, system Mannlicher, model 1901. Mieści dziesięć naboju kalibru siedem przecinek sześćdziesiąt pięć. Kaliber niewielki, ale naboje mocne. Niesie na dwieście metrów – wyjaśnił, niezbyt fachowo.

Niepotrzebnie, bo od razu rozpoznałem smukłą linię długiej lufy i rękojeści wygiętej, jak od rewolweru.

– Mogę? – zapytałem. Skinął głową, wziąłem więc broń do ręki, fachowo opierając palec wskazujący na kabłąku, skierowałem lufę w ścianę i odciągnąłem zamek, przekonując się, że w magazynku i komorze nie ma naboju. Puściłem więc suwadło i kiedy powróciło na swoje miejsce z wdzięcznym szczęknięciem, prawie erotyczny dreszcz przyjemności przebiegł mi po karku i plecach. Co tu dużo gadać, lubiłem pistolety. Lubiałem je tym bardziej, że mocą uchwalonej kilka lat temu ustawy, obywatele naszej republiki nie mogli posiadać broni krótkiej, chyba że za specjalnym pozwoleniem policji. Byłem członkiem klubu strzeleckiego, dwa, trzy razy w miesiącu zachodziłem na strzelnicę, wąsaty portier w wyprasowanym uniformie zapytywał: „Czego łaskawy pan sobie dzisiaj życzy” i wydawał mi – za pokwitowaniem – pistolet, który sobie wybrałem, wraz z odpowiednią ilością amunicji, następnie udawałem się na oś strzelecką, dziurawiłem kilka tarcz i w poczuciu bolesnego niespełnienia, pokornie oddawałem broń do magazynu. Wychodziłem ze strzelnicy z wrażeniem, jakie znałem z czasów klasycznego gimnazjum, kiedy rozpoczynałem swe przygody z kobietami i kiedy jakaś artystka lub sawantka, bo w takim środowisku się obracałem, pozwalała mi posmakować jej ust, pozwalała nawet rozpiąć bluzkę i dotykać piersi, lecz kiedy, rozpalony już i napięty, nieumiejętnie i nerwowo zadzierałem jej spódnicę i rozpinalem pasek własnych spodni, odtrącała mnie nagle, ze śmiechem, i zostawiała samego, w bolesnym upokorzeniu.

Teraz więc cieszyłem się ciężącym w dłoni pistoletem Gäbela, bo pozbawiony był tego w przykry sposób ograniczającego, oficjalnego kontekstu strzelnicy. Gäbel, jako prawdziwy polityczny radykał, bez wątpienia nie posiadał zezwolenia policji na tego mannlichera i to czyniło sytuację jeszcze pikantniejszą.

– Jest twój – powiedział Gäbel i przesunął ku mnie, po blacie stołu, skórzaną kaburę z wielką klapą – w podobnych nasze wojsko nosi swoje parabelki – i pudełko z amunicją.

– Tu masz sto naboju i trzy łódki, załaduj je sobie od razu – dodał jeszcze.

Nie trzeba mi było tego powtarzać dwa razy. Nie dociekałem na razie, dlaczego obdarował mnie bronią, otworzyłem opisane po hiszpańsku pudełko – *50 Cartuchos 7,65 mm para pistole Mannlicher* – wyłuskałem dziesięć pestek, wsunąłem je w blaszkę łódki i nie zastanawiając się wiele, odciągnąłem zamek pistoletu, unieruchomiłem łódkę w prawidło i, pokonując opór sprężyny, kciukiem zsunąłem naboje do magazynka w chwycie.

– Przytrzymaj kciukiem, żebyś puszczając zamek, nie wprowadził naboju do komory – poradził Gäbel, a ja zrobiłem, jak mówił.

– Dobrze. Załaduj sobie na nowo trzy łódki, żebyś miał dodatkowe trzydzieści kul na podorędziu, pamiętaj też, że nosić masz go z pustą komorą, żeby nie wypalił ci w kaburze. Jak przyjdzie właściwy moment, przeładowanie to jest jeden ruch – tłumaczył dalej.

Już chciałem się oburzyć, że przecież ja to wszystko wiem, ale nagle zrozumiałem – Gäbel daje mi tę broń w konkretnym celu.

– Właściwy moment? – zapytałem.

– Tak, zanim wejdiesz do domu, przeładuj pistolet i już go nie wypuszczaj z ręki. Pamiętaj, że jedna kula może na nią nie wystarczyć. Nie celuj w głowę, bo trudno trafić, tylko w pierś, strzelaj od razu dwukrotnie, wymierz ponownie i znowu dwa razy: bach, bach.

Nie rozumiałem, ale Gäbel zdawał się tego nie dostrzegać i mówił dalej:

– Kiedy padnie, wtedy strzel jej w łeb. Ale pamiętaj, nie podchodź do niej, nawet kiedy będzie już leżała bez ruchu, strzelaj z pewnej odległości. Nie daj się zwieść tym, że to tylko mała kobietka... to już nie jest mała kobietka, to już nie jest nawet twoja żona.

Kiedy usłyszałem ostatnie słowo, które wypowiedział, zrozumiałem nagle kontekst całej sytuacji i krew zamarła mi w żyłach. Wydaje mi się, że to nie metafora – naprawdę, na chwilę serce przestało mi bić. Gäbel pokiwał głową.

– To twój obowiązek. Ona zakłóca porządek rzeczy, i to ty właśnie... jako jej mąż i jako obywatel, masz obowiązek z tym skończyć. Rzymski *cives*, a przecież wszyscy jesteśmy Rzymianami, nie wahałby się ani chwili. W *ordo caritatis* obowiązek wobec suwerena stoi na pierwszym miejscu, daleko przed sublimacją instynktu rozrodczego. Idź i zabij ją. Ojczyzna jest ważniejsza niż babskie cycki i zadek.

– Nie mów tak – powiedziałem pokornie, szeptem prawie, ze wzrokiem wbitym w blat.

– Jak? – zdziwił się.

– Nie mów o piersiach mojej żony, człowieku – odparłem, już pewniej.

Gäbel patrzył na mnie zde gustowany, a ja odnalazłem w sobie nagle odwagę. Odciągnąłem suwadło pistoletu, puściłem je, nabój wskoczył do komory. Wymierzyłem w czoło mojego gospodarza.

– Nie mów o piersiach mojej żony – powtórzyłem.

Gäbel znał się na wszystkim: na mechanice, dobrze strzelał i chadzał kiedyś do szkoły boksu francuskiego. Wydawało mu się więc, że mimo swojej wątłej fizyczności poradzi sobie ze mną – inteligencikiem, otłuszczonym od dobrej kuchni i wysiadywania za biurkiem. Nagle odsunął się trochę i chciał szarpnąć do góry stół, za którym siedzieliśmy, przewracając go na mnie. Potem zapewne bez trudu by sobie ze mną poradził, ale nie zdążył – wcale nie chciałem strzelać, chciałem go tylko zaszachować bronią i wyjść, ale przestraszył mnie ten raptowny ruch, szumnięcie krzesła – sam nie wiem, czy świadomie nacisnąłem spust, czy tylko odruchowo zacisnąłem palce prawej dłoni. W każdym razie mannlicher plunął ogniem i Gäbel nagle sflaczał, obwisnął na krześle, a na jego czole pojawiła się niewielka, ciemna plamka, z której pociekła strużka krwi, koło nasady nosa, skrajem oczodołu, na policzek. Pocisk

przeszedł na wylot i krew zmieszana z mózgiem zbryzgała rozłożone na biurku papierzyska. Opuściłem rękę z bronią dopiero po chwili, a w uszach jeszcze dzwonił mi słaby pogłos ogłuszającego huku, spotęgowanego zamkniętą, ciasną przestrzenią sutereny. Zza okna usłyszałem kobiecy krzyk:

– Policja, policja! Ktoś tu strzela! Wołajcie policję!

Zerwałem się, strach dodał mi energii i wybiegłem z mieszkania, w noc, łomocząc obcasami po bruku, ze spluwą w dłoni.

Biegając, nasłuchiwałem pisku policyjnego gwizdka, wreszcie, kiedy minąłem kolejną przecnicę, uznałem, że jednak nikt mnie nie goni, zatrzymałem się więc, wetknąłem pistolet za pasek, żalując jednocześnie, że nie zabrałem więcej kul – pozostało mi dziewięć, w magazynku – doprowadziłem się do porządku, złapałem oddech i dalej poszedłem już normalnym krokiem. Dziwiłem się własnemu spokojowi – przed chwilą zabiłem człowieka, broniąc się – ale zastanawiałem się tylko, czy ktoś widział, jak wchodzę do Gäbela i czy mogą jakoś połączyć mnie z tym trupem. Uznałem łatwo, że zakwalifikują to jako mord polityczny, a z kręgami mogącymi dybać na życie mojej ofiary nie łączyło mnie nic. Pytanie, skąd Gäbel wiedział o przemianie mojej żony i dlaczego żądał ode mnie jej śmierci, pozostawało otwarte. Snując się po mokrym bruku, uznałem, że czas wrócić do domu. Moja frenetyczna przechadzka po śpiącym mieście wzięła się przeciw z tchórzostwa, zaowocowała już jedną zbrodnią, muszę zakończyć ją aktem odwagi. Muszę wrócić do domu, zmierzyć się z tym, co tam zastanę – myślałem. Po drodze zaś muszę wyrzucić mannlicera do rzeki, może z mostu księcia Reinholda III Bourbon-Habsburga. To była smutna konieczność – zawsze chciałem posiadać nielegalną broń, bo skoro nie figurowałem na policyjnej liście osób posiadających pistolety i rewolwery, nikt nie mógł mi tej broni odebrać w razie jakiegś dziejowej zawieruchy – a tak przecież stało się w roku 1921, kiedy w mieście trwała uliczna wojna domowa między komunistami i reakcją i wątpliwa władza centralna uznała, że należy rozbroić obywateli. Tak czy inaczej – przechowywanie w domu „trefnej” broni byłoby bardzo nierozsądne. Skierowałem się więc w stronę rzeki, skręcając z Alei Pokoju w ulicę Szewską, i właśnie na rogu Szewskiej ktoś złapał mnie za łokieć.

Odskoczyłem przestraszony i zacząłem nerwowo szarpać się z marynarką, aby dostać się do tkwiącego za paskiem pistoletu.

– R., co ty robisz o tej porze na mieście? – zapytał znany, basowy głos, a ja przestałem się wygłupiać z wyciąganiem broni. Za łokieć chwycił mnie Błażej von Nisevitsch, mój przyjaciel i mentor, stary kawaler i bon-vivant.

– Czyś nie powinien być raczej u boku swej szacownej połowicy, pod małżeńską pierzyną? – ciągnął, ujmując mnie pod ramię i prowadząc w sobie znanym kierunku. – Ale skoroś już tu jest, to znaczy, że w stadle nie znajdujesz czegoś, czego szukasz na ulicy, nie mam racji?

Nie trzeba było pytać, co pan Błażej porabia w nocy na ulicy. Na co dzień będąc felietonistą „Gazety Rządowej”, Nisevitsch poranki spędzał na leczeniu kaca i szukaniu inspiracji, po wczesnym obiedzie pisał swój codzienny felieton, który następnie goniec odnosił do redakcji „Rządowej”, popołudniem czytał, pracował nad swoją kolejną historyczno-literacką monografią, po czym udawał się do klubu na kolację, cygaro i koniak, i kiedy zjadł, wypił i wypalił, szedł do burdelu. Taki tryb życia miał swoje konsekwencje i felietonista do odziedziczonego po ojcu słusznego wzrostu dodał rozłożystą tuszę, którą z trudem opinał przerażająco drogimi, tweedowymi marynarkami. W kieszeniach upychał dziesiątki książek, gazet i maszynopisów, w efekcie obciążone poły żakietu rozchodziły mu się na obfitym brzuchu i miękkiej piersi. Włosy nosił długie, jak Oskar Wilde, chociaż – w przeciwieństwie do angielskiego dandysa – łysiał już mocno na ciemieniu i rudawe, rzadkie loki prześwieślała wyraźna siwizna.

Niedługo trwało, jak siedliśmy razem na pluszowej kanapie, w objęciach czwórki pięknych dziewcząt. Były prawie nagie – podbrzusza zakryły fikuśnymi fartuszkami, jakby zabrały je pokojówkom, ale ich piersi, gołe, ocierały się o szorstki materiał mojej marynarki, a pośladki burzyły krew w żyłach, kiedy dziewczyna odrywała się na chwilę od mojego boku, aby pochylić się nad stolikiem, podając usłużnie ogień Nisevitschowi. Tuląc się do nas, nie włączały się jednak wcale do rozmowy, odpalały nam tylko cygara, dolewały koniak do kieliszków, ocierały się, na pieszczotę odpowiadały mrużeniem i wyginaniem grzbietu, jak koty – chyba nie mówiły nawet w naszym języku, między sobą zamieniały czasem słowo czy dwa w jakimś języku słowiańskim, może po polsku. Błażej nie zwracał na nie wcale uwagi – owszem, klepnął czasem którąś w tyłek, kiedy akurat wstała, ale robił to od niechcenia, jakby były po prostu elementem wystroju, pięknie rzeźbioną poręczą fotela, po której odruchowo przeciąga się dłonią, chcąc poczuć szlachetną snyderkę pod palcami.

Ja raczej nie chodziłem do burdeli, co bywało czasem przedmiotem drwin moich kolegów, których małżeństwa były emocjonalnie i uczuciowo chłodniejsze od mojego, dlatego nie potrafiłem fizycznie bliskiej obecności tylu młodych, kobiecych ciał znieść z taką obojętnością, jak robił to mój towarzysz; starałem się go naśladować, cóż z tego, kiedy obie ciemnowłose Polki wyczuły szybko moje poruszenie i robiły wszystko, abym w końcu porzucił nudną konwersację ze starym dziennikarzem i zabrał obie do któregoś z pokojów, gdzie zarobiłyby w końcu uczciwą dolę w parę kwadransów, za cenę paru jęków i kilku mechanicznych ruchów, które przecież opanowały na pamięć, jak robotnik przy taśmie w fabryce Forda, nawet śpiąc, potrafi przykręcić czterema obrotami klucza swoją śrubę, bo robi to pięć tysięcy razy w ciągu dniówki.

Dlatego trudno było mi się skupić na tym, co gadał do mnie von Nisevitsch. Słyszałem słowa, nawet rozumiałem zdania, ale nie podążałem za osnową wywodu, bo wyobraźnia uciekała do obrazów pościelowej kotłowaniny, którą tak smakowicie zapowiadało przenikające przez moje ubranie ciepło dwóch młodych ciał.

– A więc zgoda? – zapytał w końcu mój towarzysz, a ja nie wiedziałem, o co mu chodzi, odpowiedziałem po prostu:

– Zgoda.

Nisevitsch rozpromieniał nagle, dziewczyny wypiękniały, dym cygar zapachniał bardziej aromatycznie.

– Mój drogi, chodźże, dajże pyska! – rozrzewnił się Błażej po słowiańsku, a ja dalej nie wiedziałem, na co się zgodziłem. Kiedy już uściskał mnie ponad stołem i umościł się ponownie na kanapie, zaczął opróżniać kieszenie marynarki, wykładając na blat wymięte gazety, książki o zniszczonych okładkach i wybrudzone maszynopisy, w ilości niewiarygodnej – miałem wrażenie, że Nisevitsch mógłby spokojnie schować w kieszeniach czternastotomową encyklopedię, gdyby tylko chciał. W końcu w stosiku papierów znalazł to, czego szukał.

– O, tutaj mam. Piękny, piękny tekst. Ale ty chyba masz swoją kopię, prawda?

Spojrzałem na tytułową stronę maszynopisu, który mi podawał. James Wily Literary Agency. The Book of... – nie czytałem dalej, zerwałem się z kanapy i chciałem wybiec, lecz ręce dziewczyn, nagle mocarne, ściągnęły mnie z powrotem na siedzenie.

Okrągłe, podparte obfitym podbródkiem rysy Błażeja stały się ostre. Polki już się nie tuliły, tylko, silne jak zapaśnicy, obezwładniły mnie nieledwie, ściskając za łokcie i przedramiona.

– Nie! – wrzasnąłem, lecz krzyk zginął w klubowym gwarze i zaraz znalazłem się w powietrzu, kobiece ręce niosły mnie, trzymając za ramiona, stopy i biodra, pofrunąłem po schodach na piętro, wszyscy klienci dyskretnie odwracali wzrok, a ja słyszałem sapanie Nisevitcha, który z wysiłkiem pokonywał schody. Dopiero na górze wyprzedził niosące mnie dziewczyny, otworzył drzwi, zza których dobiegały regularne trzaski i krzyk.

Kątem oka zobaczyłem, że w środku, w średniowiecznych dybach unieruchomiona jest naga kobieta, której tyłek biczem okładał właśnie nienagannie odziany dżentelmen, w typie bankowca, co wywnioskowałem po charakterystycznym dla tej branży garniturze, ciemnym, dwurzędowym, z szerokimi klapami. Twarz zasłonił maską z czarnego aksamitu, ale i tak cała jego sylwetka i ubranie wydały mi się w jakiś sposób znajome. Dziwki wniosły mnie do pomieszczenia, urzędnik pokręcił głową z dezaprobatą, zwolnił blokadę dybów i wyszedł, prowadząc swoją ofiarę na łańcuszku, przypiętym do okalającej jej szyję obróżki. Postawiono mnie na ziemi i kiedy tylko mogłem się znowu ruszyć, sięgnąłem po pistolet, który spodziewałem się znaleźć za paskiem spodni. Broni tam jednak nie było, bo znajdowała się w dłoni Błażeja – co zauważyłem dopiero, kiedy ten, widząc moje gwałtowne ruchy, wycelował ją w moją własną głowę.

Skinał dłońią i posłuszne mu jak automaty Polki zerwały ze mnie ubranie. Nie rozebrały mnie, lecz właśnie – zerwały, szarpiąc i ciągnąc, przewracając mnie na ziemię – a ja ciągle nie potrafiłem im się oprzeć. Kiedy postawiły mnie znowu na nogi, zażenowanego

kontekstem własnej nagości, Nisevitch odsunął swoją obfitą postać, ukazując mi zgromadzone w pokoju narzędzia do miłosnych tortur, które jednak, jak się domyślałem, mogły być użyte w celu zgoła nie erotycznym.

– Wepnijcie go w te dyby, moje panie. Pokażemy mu, co naprawdę może go zabołec, nie tylko cielesnie – powiedział, nie przestając do mnie mierzyć i wyciągając drugą ręką z kieszeni ogrodniczy sekator.

To dodało mi sił i woli. Odepchnąłem stojącą najbliżej prostytutkę, całą siłę włożyłem w skok – wbiłem się z rozpędu w okno, wrywając je z framugi, i w deszczu szklanych odłamków spadłem na bruk.

* * *

Najpierw ujrzałem buty – sznurowane, z cholewami pod kolana. Do butów wpuszczone były spodnie i kiedy zobaczyłem czarny lampas na granatowym suknie, zrozumiałem, że but należy do policjanta. Właściciel, nie zauważywszy zapewne, że już otwarłem oko (tylko jedno, drugie jakoś nie chciało się otworzyć), szturchnął mnie lekkim kopniakiem. Jęknąłem.

– Żyje. Bierzemy go?

Przypomniałem sobie wszystko. Musiałem leżeć tutaj już jakiś czas, bo niebo nad dachami miasta jaśniało.

– Bierzemy. Nie zostawimy nagusa tutaj – odpowiedział drugi głos, spoza zasięgu wzroku mojego jednego oka.

– Zboczeńcy, taka ich mać – warknął pierwszy stróż prawa.

– Zabierzcie mnie do szpitala – szepnąłem, ale nie słuchali.

Podnieśli mnie za ramiona i nogi, wzdychając z niesmakiem.

– Panowie, sam pójdę – powiedziałem już głośniejszym głosem, czując wyraźnie, że nogi, chociaż obite, mam całe.

Spojrzeni po sobie i ten, który trzymał mnie za nogi, puścił moje kostki, aż piętami stuknąłem o bruk, drugi pomógł mi stanąć.

– Dajcie jakiś płaszcz, przecież goły nie pójdę... – wymamrotałem i starszy stopniem policjant, którego buty zobaczyłem na początku, skinął na młodszego kolegę i ten niechętnie zdjął z grzbietu policyjny, ciężki trencz, którym natychmiast się owinąłem.

Musiałem leżeć na stercie śmieci – która chyba ocaliła mi życie – pod oknem burdelu dobre kilka godzin. Nogi i ręce miałem w całości, na głowie wielki guz, prawie na skroni, schodzący na oko, którego powieki napuchły tak, że wyglądałem zapewne jak bokser. Zacząłem rozważać, dlaczego – widząc przecież, że leżę nieprzytomny pod oknem – Nisevitch nie kazał mnie zabrać do środka. Nawet gdyby myślał, że nie żyję – to przecież chciałby ukryć ciało.

Nie miałem jednak czasu na rozważania, policjant szturchnął mnie w plecy i, człapiąc bosymi stopami po bruku, poszedłem w eskorcie na komisariat. Nie domagałem się szpitala, nie ma sensu kłócić się ze stójkowymi, porozmawiam z kimś na miejscu. Nie szliśmy zresztą długo. Los był dla mnie nad wyraz łaskawy, bo oszczędził mi spotkań z przechodniami, widocznie było jeszcze bardzo wcześnie – co skonstatowawszy, uświadomiłem sobie, że wylatując przez okno, miałem jeszcze zegarek na lewym przegubie, więc ktoś musiał mi go ściągnąć już na dole.

* * *

W każdym razie, niedługo potem, siedziałem już na twardym krześle, za biurkiem znudzonego inspektora dyżurnego. Kiedy przedstawiłem się imieniem, nazwiskiem i statusem społecznym, inspektor stał się uprzejmiejszy i polecił któremuś ze swoich podwładnych obdarzyć mnie zapasowymi spodniami, butami i koszulą, co też niezwłocznie uczyniono. Nawet pasowały. Siedziałem więc za biurkiem znudzonego inspektora dyżurnego, już odziany, i opowiadałem, skąd wziętem się na kupie śmieci pod oknem burdelu. Opowiedziałem o Nisevitchu i jego dziewczynach, acz oszczędziłem policjantowi historii związanych z książką. Barwnie przedstawiłem, jak mnie napadnięto i grożono okaleczeniem, przed czym uratowałem się skokiem przez okno. Inspektor nie uwierzył oczywiście w ani jedno słowo, czemu dawał wyraz, zsunawszy druciane okulary na czubek nosa, zwiijając usta w śmieszny ryjek i cmokając co chwila z wyraźną dezaprobatą, podkreśloną przez spojrzenie bladych, wąpiących oczu znad oprawek. Był małym, łysym człowieczkiem, który kogoś mi bardzo mocno przypominał. I nagle zrozumiałem, że pan inspektor policji gdyby tylko zamiast drucianych założył ciężkie, rogowe okulary, wyglądałby zupełnie jak urzędnik z brytyjskiego konsulatu. Podobni byli jak dwie krople wody. Jak bliźniacy.

Zauważył moje spojrzenie i zmieszał się wyraźnie, poprawił okulary i wyprostował się na krześle. Uznał chyba, że zdenerwowanie najlepiej będzie zamaskować agresją, więc zerwał się z biurka, walnął w blat pięścią i ryknął:

– Jesteście, R., oskarżeni o morderstwo!

Zdębiałem. Inspektor sycił się moim zdziwieniem, zadowolony, że kwestia jego tożsamości została przez tę rewelację zepchnięta na dalszy plan.

– Lepiej się przyznajcie od razu i zaczniacie współpracować, to może wywiniecie się dożywciami. W przeciwnym razie raz-dwa traficie do Westerdamme, do Czerwonego Pokoju, i tam tylko rach-ciach, ostrze spadnie i główka się do koszyczka potoczy. Żonka chyba nie będzie zadowolona, jak wrócisz do niej w dwóch kawałkach, co? – kontynuował już spokojniej, a ja próbowałem zebrać myśli, aby odeprzeć jakoś ten, powiedzmy sobie, dość poważny zarzut.

Wydusiłem z siebie tylko tyle:

– Jakie morderstwo?

Fałszywy policjant uśmiechnął się triumfalnie. Zrozumiałem, że według niego rozmowa wróciła na właściwe tory. Sięgnął do szuflady biurka, wyciągnął zeń brązową kopertę i rozłożył na blacie cztery duże fotografie. Wielkość wskazywała, że wykonano je wielkoformatowym policyjnym grafleksem, przedstawiały zaś zwłoki kobiety, leżące na boku, z rękami związanymi na plecach. Kontrast między jasną skórą a ciemnym, czarnym prawie tłem pokoju, w którym znajdowało się ciało, spotęgowany był światłem z lampy błyskowej i całość wywierała dość ponure wrażenie.

– Przed śmiercią była torturowana, na ciele są ślady, zginęła jednak od strzału w czoło. – To mówiąc, przysunął mi pod nos piątą fotografię, zbliżenie na twarz dziewczyny. Na czole widniał otwór po kuli, jednak nie to mnie zafrapowało, nagle zrozumiałem, że tę twarz też już skądś znam. Ciało na fotografiach należało do dziewczyny, którą widziałem w burdelu, kiedy Polki Nisevitcha wniosły mnie na piętro... do tej, którą torturował domniemany bankowiec w ciemnym garniturze.

– Została zastrzelona z pistoletu systemu Mannlicher, kaliber 7,65 milimetra. Dokładnie, co potwierdza analiza balistyczna, z tego pistoletu – cedził słowa powoli, wyciągając jednocześnie z szuflady pistolet Gäbela. Trzymał go dwoma palcami, przez chusteczkę, a ja poczułem, jak wnętrzności skręcają mi się ze strachu, jakby ktoś kręcił korbał garoty, zaciskającej się powoli na szyi skazańca.

– Czy to wasza broń? – zapytał inspektor.

Nie odpowiedziałem.

– Dobrze, pomogę wam. Znajdują się na niej wasze odciski palców. Słyszeliście o tym? Odciski? Na pewno tak, jeśli czytujecie kryminały. No to jak, znacie ten pistolet?

– W istocie, miałem go ze sobą, kiedy spotkałem Nisevitscha, ale ten odebrał mi go...

– A więc to wasz pistolet?

– No, w zasadzie... – zająknąłem się, ale policjant przerwał mi zaraz:

– Nie sądzę, abyście mieli nań pozwolenie, mam rację? No więc mamy jeszcze nielegalne posiadanie broni, ale biorąc pod uwagę, że jesteście oskarżeni o morderstwo, to zaiste niewiele zmienia. Mamy więc pistolet, na którym są wasze odciski palców, i zabiła dziewczynę, z kulą z tego pistoletu w głowie. Cóż więcej trzeba, aby sąd wysłał was prosto do Westerdamme? To jak, opowiecie mi, dlaczego zastrzeliliście tę dziewczynę?

Nagle coś zrozumiałem i postanowiłem to wykorzystać.

– Kiedy została zastrzelona? – zapytałem, jak gdyby nigdy nic.

– Dzisiaj nad ranem – odpowiedział machinalnie mój prześladowca.

Postanowiłem przejść do ofensywy.

– Czyli góra parę godzin temu. I od rana mieliście czas zrobić sekcję, wykonać analizę balistyczną i sprawdzić odciski palców na pistolecie? Przecież to bzdura, ktoś mnie tutaj wrabia, jeszcze nie rozumiem, dlaczego, ale zrozumieć! Skąd w ogóle wiecie, że to moje

odciski palców, skoro nigdy ich ode mnie nie pobierano? Czy ja w ogóle na pewno jestem na posterunku, czy między bandytami? – wyrzeszczałem, wstając z krzesła.

Fałszywy policjant uniósł się również zza biurka, chciał odpowiedzieć, ale nie znalazł właściwych słów, więc stał tylko przez chwilę, z ustami otwartymi jak do krzyku. Z niezręcznej sytuacji wybawił go stójkowy, który wpadł do pomieszczenia z pałką w ręce, słysząc widocznie krzyki.

– Rzucił się na mnie! – powiedział fałszywy inspektor, z ulgą znajdując wreszcie odpowiedź na moje zarzuty. Zaraz pałka wylądowała na moim brzuchu i grzbiecie i po dwudziestu sekundach siedziałem z powrotem na krześle, usiłując złapać oddech po ciosie w splot słoneczny i z rękami skutymi na plecach.

Policjant odzyskał rezon.

– No więc jak, wypieracie się, że odciski na pistolecie są wasze? – powiedział, unosząc mi głowę za włosy. – To jest wasze alibi?

W pierwszym odruchu chciałem mu wytłumaczyć, że słowo „alibi” oznacza jednak coś innego, ale ciągle nie mogłem złapać tchu, być może na własne szczęście.

Policjant wyprostował się i suchym głosem wydał rozkaz:

– Odprowadzić podejrzanego do celi. Akt oskarżenia będzie gotowy dziś wieczorem – rzucił za mną jeszcze, kiedy stójkowy, brutalnie wykręcając mi ramiona, zabierał mnie do celi.

Krata zasunęła się ze zgrzytem, stójkowy trzasnął ryglami zasuw i odszedł, zostawiając mnie samego. Siedziałem w pustej celi, samotnie, przez dobrych parę godzin, z pustą głową, w apatii, opierając się o ścianę, obudził mnie dopiero dźwięk jej kroków – rozpoznałem go od razu. Wstałem z pryczy i w głupim odruchu wygładziłem policyjną koszulę, upychając ją dokładnie w spodniach, przesunąłem nawet dłonią po włosach. Jej obcasiki, stukające po kamiennej posadzce, wyrwały mnie ze stuporu, w który wprowadziłem się siłą woli, bo uznałem, że najlepiej będzie, jeśli po prostu poleżę i odpocznę; rozmyślenia nad położeniem człowieka wrabianego w coś, czego nawet nie rozumie, nie mają sensu.

Korytarz był długi, stałem więc przez kilka sekund przy kracie, słuchając, jak idzie. Zza krótkich uderzeń jej pantofelków usłyszałem także skrzypnięcia męskich podeszew i pobrzękiwanie kluczy – a więc szedł z nią strażnik.

Stała przed kratą, elegancka jak zwykle, niebieski płaszczyk ze srebrną etolą z lisa, niebieski kapelusik, jasne, utrefione loczki. Przez ramię przewiesiła mój ulubiony, jasny płaszcz.

– Lilly... – powiedziałem, wyciągając rękę przez kraty.

Milczała. Dojrzałem teraz w jej niebieskich oczach to, czego bałem się od samego początku. Odczytałem to spojrzenie: „burdel – martwa dziewczyna – on – zdrada – zbrodnia – skandal – wstyd – nienawidzę go – brzydzę się nim”. Tak, jakby nie pamiętała wieczoru przy świecach, nie pamiętała, dlaczego uciekłem z domu. Cofnąłem dłoń.

– Po co więc przyszedłeś? – zapytałem.

Nie odpowiadała, odsunęła się tylko, kiedy doczłapał cerber w granatowym mundurze i bez słowa otworzył moją celę.

Odsunąłem się od kraty. Wcale nie byłem pewien, czy chcę wychodzić.

– Co się dzieje? – zapytałem głośno.

Policjant wzruszył tylko ramionami i wskazał mi drogę. Nie poruszyłem się.

– Wpłaciłam kaucję – powiedziała Lilly, nie patrząc na mnie.

– Jaką kaucję?

– Dwieście tysięcy guldenów – odparła cicho.

Zabrakło mi słów. Wzięłem trzy głębokie oddechy i słowa wróciły.

– Co ty bredzisz, kobieto?! – ryknąłem. – Jaką kaucję? Kaucję, psiakrew, wyznacza w tym kraju sąd, nie było żadnego sądu, nic nie było, to jest jakaś granda, hucpa, jesteś z nimi w zмовie!

Patrzyła na mnie z odrazą. Myślała o mnie zapewne w kategoriach zbrojonego mordercy z wyższej klasy średniej, maskującego swój upadek szaleństwem. Widziałem w jej oczach, że pokazali jej zdjęcia, widziała to nagie, blade ciało ze skutymi rękami, tę skatowaną dziewczynę i zapewne – oczami wyobraźni – widziała mnie, nad nią, z pistoletem albo wcześniej z różgą czy czymś takim w ręce. To nie miało sensu, nie przekonam jej teraz, nie tutaj, nie w policyjnych łachach, zza otwartej kraty. Już chciałem wychodzić, zrobiłem nawet krok, ale nagle zatrzymało mnie pytanie, które przyszło do mnie jak olśnienie:

– Skąd miałaś tyle pieniędzy?

– Wily mi dał – odpowiedziała, tym razem hardo patrząc mi oczy.

Musiałem wyjść na powietrze. Musiałem zaczerpnąć oddechu, ruszyłem więc zdecydowanie, wyszarpnąłem żonie płaszcz z ręki, minąłem strażnika, przeszedłem przez pomieszczenia komisariatu, przez drzwi wejściowe, zamknęły się za mną z trzaskiem. Padał deszcz, a ja stałem na schodkach przed komisariatem i szukałem w myślach czegoś, co pamiętałbym z mojego starego życia, czegoś, czego mógłbym się chwycić, co utrzymałoby mnie na powierzchni.

Lilly wyszła za mną, a ja, nie znajdując niczego, żadnej pomocy, wahałem się między apatią a paniką.

– Jedźmy – powiedziała.

Dopiero teraz dojrzałem taksówkę. Co miałem robić? Wsiadłem i pojechaliśmy do domu. Lilly całą drogę milczała, więc ja również nic nie mówiłem, bo co miałbym powiedzieć? Taksówkarz zatrzymał chevroleta przed naszą willą, Lilly zapłaciła i, ciągle w milczeniu, poszliśmy przez ogród do domu. Ściągając kapelusik i poprawiając fryzurę przed lustrem, rzuciła przez ramię od niechcenia:

– Dzwonili z wydawnictwa. Lepiej się pospiesz, jesteś potężnie spóźniony.

Stałem w korytarzu. Nie miałem siły protestować. Co mogłem zrobić? Uciekać, wybiec z domu – i dalej co? Nie miałem nawet tajnej garsoniery – chociaż większość moich kolegów z pracy utrzymywała takie maleńkie mieszkanie, kupione lub wynajęte w odległych dzielnicach, do spotkań z kochankami, z prostytutkami lub – po prostu – aby mieć gdzie odpocząć od żony, domu, dzieci. A ja nie miałem garsoniery, bo nigdy nawet nie próbowałem zdradzić Lilly, nigdy nawet nie wziąłem sobie prostytutki. Tak, miałem trzydzieści jeden lat i nigdy nie byłem z żadną kurwą, a teraz jakiś hucpiarski sąd z grandziarską policją oskarża mnie o morderstwo jakiejś dziwki. Oczywiście czułem w tym rękę Wily'ego, czułem, jak oplata mnie coraz ciaśniej, coraz dokładniej, ale co mogłem zrobić? Uciec na prowincję, albo za granicę? Za co? Nie miałem nawet osobnego, tajnego konta, jakie pozakładali sobie moi koledzy, jako fundusz na wydatki, z których nie chcieli się przed swoją panią rozliczać i – czasem – jako zabezpieczenie finansowej przyszłości na wypadek rozwodu. Nie miałem takiego konta, bo widziałem, jak ci, starsi ode mnie o dziesięć czy piętnaście lat, nagle z kretesem tracili głowę dla jakiejś dwudziestoletniej Polki albo osiemnastoletniej Francuski czy Hiszpanki, masy takich przyjeżdżały do naszego bogatego, mieszczańskiego państewka na łów – i panowie tracili dla nich głowę, czuli się nagle znowu młodzi, smak nastoletniego ciała zdawał się odbierać im kilkanaście własnych lat – i ufali tym kurwizzonkom, dawali im dostęp do kont, a one opróżniały je do cna i potem fundowały swoim kochankom złamane serce, po nagłym zniknięciu, albo, co gorsza, rozwalaly im życie, przychodząc z brzuchem na niedzielny obiad, żony wychodziły, zabierając dzieci, i tak dalej. Nie miałem na to wszystko ochoty, ufałem Lilly, ona ufała mi, więc – nie miałem ani garsoniery, ani tajnego konta. Nie miałem nawet przyjaciół, do których mógłbym się zwrócić, wszystkich spotkałem już zeszłej nocy. Co mogłem zrobić, uciec na wschód, do Niemiec, do Polski, żreć brukiew z pól i mieszkać w lesie? Nie miałem nawet pistoletu, żeby obrabować jakiś bank – bo to też przyszło mi do głowy, jeśli odejść, to z hukiem, napaść na bank, zabrać kilkaset tysięcy, przekraść się przez granicę i pojechać do Berlina, do Warszawy, Pragi, Budapesztu, Wiednia, żyć w kabaretach, hotelach i klubach, szastać pieniędzmi, swoimi uczynkami dogonić reputację, której dorobiłem się niezаслужenie – i kiedy się skończą, palnąć sobie w łeb albo rzucić się pod pociąg. Miałem w domu, co prawda, starą dubeltówkę dwunastkę i gdzieś nawet leżało pudełko z nabojami, ale napadanie na bank z dubeltówką wydało mi się jakoś niestosowne.

Cóż więc miałem robić? Poszedłem do łazienki, wziąłem szybką kąpiel, ogoliłem się, skropiłem wodą kolońską, wybrałem koszulę, krawat i brązowe ubranie i poszedłem do pracy, jak gdyby nigdy nic.

Wszedłem do siedziby wydawnictwa zwykłą drogą, przez główne wejście. Sekretarka na mój widok wybiegła zza biurka, chwyciła mnie za rękaw i nie pozwoliła mi nawet pójść do gabinetu zostawić teczkę i płaszcz.

– Szef chce pana widzieć, panie R. – powiedziała konfidencjonalnym szeptem.

Miałem dwa wyjścia, odwrócić się na pięcie i uciec albo pozwolić się zaprowadzić do gabinetu Mohra. Wybrałem drugie, po drodze ściągnąłem palto i razem z kapeluszem i teczką zostawiłem sekretarce. Wzięłem głęboki oddech, zapukałem kurtuazyjnie, nacisnąłem klamkę i wszedłem.

Szef siedział za biurkiem, na którego blacie, jak zwykle, leżał rozłożony starannie wielkoformatowy raport z długimi kolumnami liczb, wypisanych kolorowym atramentem. Jednak szefowska ręka z linijką i ołówkiem nie przesuwała się powoli po rubrykach, nie mełł bezgłośnie wartości i działań pod nosem, niby rabin nad Torą, tylko siedział po prostu i czekał na mnie, bardzo intensywnie.

No cóż, przestraszyłem się. Wiem, że to absurdalne, bać się bury od szefa w momencie, kiedy wrabiają człowieka w morderstwo i kiedy rzeczywiście ma się na sumieniu trupa, chociaż w samoobronie – i innego, niż twierdzą oskarżający. Jednak, to ściskające wnętrze uczucie, ta nieumiejętność dystansu, powiedzenia sobie: „Co on mi może zrobić” – to fizjologiczny odruch ciała. Tak jak kwestią fizjologii jest ta nieznośna atmosfera unizoności, która zawsze pojawia się w zakładach pracy.

– Nie będę pytał, co się dzieje – zagał, a ja nie odpowiadałem.

– Wily telefonował. Był oburzony twoim zachowaniem. Powiedziałem mu, oczywiście, że wydamy tę książkę, ale to go nie uspokoiło. Skarżył się na ciebie...

– Nie widziałem się z nim od naszej ostatniej rozmowy – przerwałem.

Szef popatrzył na mnie przez chwilę, wstał, podszedł do drzwi i domknął je starannie.

– Słuchaj, R. Ta sprawa zamknie naszą współpracę. Zwalniam cię. Ponieważ umowa nasza opiewa do końca roku, będziesz miał mnóstwo czasu na szukanie nowej pracy... ja będę ci wypłacał należne pobory aż do dnia 31 grudnia 1938 roku, zgodnie z umową.

Nie czułem niczego złego, i to mnie przeraziło. Przeraziło mnie, że poczułem się wolny, że ucieszyłem się, że nie będę musiał więcej nosić fałszywej, profesjonalnej maski na wszystkich firmowych bankietach i wyjazdach, że będę mógł pisać. Przeraziło mnie to, bo wcale się nie bałem grubego pliku blankietów spłat pożyczki hipotecznej na nasz dom. Kiedy pomyślałem o domu, przypomniałem sobie, że między mną a Lilly wyrósł nagle mur, i to zmaćło tę absurdalną radość z wyzwolenia. To, że straciłem pracę, nie pomoże mi w odbudowaniu naszego małżeństwa – przez te wszystkie lata byłem przykładnym mężem i nie wypracowaliśmy sobie form, dzięki którym moglibyśmy radzić sobie z problemami wagi większej, niż czytanie gazety przy śniadaniu albo zapominanie o rocznicy ślubu.

– Do jasnej cholery, R., czy ty mnie w ogóle słuchasz?

A, tak. Procedura wylewania mnie z pracy.

– Przepraszam. Muszę jakoś oswoić się z sytuacją – powiedziałem.

– Nie ma się z czym oswajać! Rzecz jest prosta. Załatwiasz z Wilym do końca sprawę Manna i tej drugiej książki, co jest warunkiem rozstania przez nieprzedłużenie umowy, a co za tym idzie, wypłacania poborów do końca roku, dobrych referencji i tak dalej. Jeśli nie

dopniesz tego tak, jak należy, to zwolnię cię w trybie dyscyplinarnym, a to znaczy, że nie dostaniesz ani pieniędzy, ani referencji i w branży, mój drogi, pracy już sobie nie znajdziesz. Jasne?

Książka. W zasadzie cóż takiego by się stało, gdybym ją wydał? Ludzie odnaleźliby samych siebie, poznaliby, kim naprawdę są. Trochę jak seans u doktora Freuda, tylko taniej – bo za dziesięć guldenów, nie za pięćset, łatwo dostępny w księgarni.

A jednak nie mogę tego zrobić. Jakiś cień przyzwoitości, który zachowałem na dnie duszy, schowany głęboko – a jednak wyraźny, nie pozwalał mi na to. Nie mogę. A skoro i tak wylatuję z pracy, to jest mi wszystko jedno. Cóż powinienem odpowiedzieć? Zdecydowanie zaprzeczyć, odmówić, wygarnąć, nie ma zgody, wykluczone, nie zgadzam się. Coś w tym stylu.

– Oczywiście, jasne, proszę pana – powiedziałem i natychmiast poczułem ten palący niesmak w ustach, jak zawsze przy tchórzostwie.

– Tutaj masz bilet na przelot sterowcem do Londynu – powiedział, wręczając mi elegancką kopertę. – Pospiesz się, zeppelin odchodzi za cztery godziny. Kosztował nas prawie osiem tysięcy guldenów, więc lepiej się nie spóźnij.

– Nie mogłem polecieć samolotem? Kosztowałyby o połowę mniej i trwało krócej. – Przyczepiłem się nieistotnego szczegółu, jak zawsze, żeby coś powiedzieć, żeby zamaskować niechęć do poruszenia kwestii naprawdę ważnej.

Szef nie opowiedział, zamiast tego zupełnie nieuprzejmie wskazał mi drzwi. Chciałem ryknąć, trzasnąć czymś o stół, ale zamiast tego po prostu wziąłem kopertę, przeklinając się w duchu za brak odwagi, i poszedłem do domu. Drogi nie pamiętam, szedłem pogrążony w czarnych myślach, nogi same mnie niosły. Ocknąłem się dopiero przy naszej furtce. Na ławce w moim ogrodzie, przed wejściem do domu, siedział urzędnik angielskiego banku, który udzielił mi kredytu – a którego widziałem potem przed ambasadą w czerwonym bmw. Mało tego, przysiągłbym, że nosił taki sam dwurzędowy, ciemny garnitur jak człowiek, który w burdelu chłostał prostytutkę. Nie widział mnie, bo zajęty był lekturą gazety, podniósł głowę dopiero, kiedy trzasnąłem furtką, zamykając ją za sobą.

– O, pan R., jak miło, że pan wpadł! Czekałem tutaj na pana! – ucieszył się jowialnie, składając niedbale gazetę. Wstał, podszedł do mnie i uściśnął mi serdecznie dłoń, którą mu odruchowo podałem, znowu tchórząc – bo przecież nie zasługiwał na uścisk mojej prawicy.

– Mam dla pana wiadomość, postanowiłem przekazać ją panu osobiście. Otóż poinformowano nas, że został pan zwolniony z HMSF. To, jak pan zapewne pamięta z umowy, którą pan podpisał, zmienia zasadniczo pańską wiarygodność kredytową, a zatem jestem zobowiązany poinformować pana, że Credit Bank of London, w związku z zaistniałą sytuacją, żąda spłaty całej sumy kredytu w ciągu siedmiu dni. Proszę się nie martwić, kwota jest powiększona jedynie o odsetki za okres, w którym posiadał pan kredyt, oraz o opłatę manipulacyjną za wcześniejszą spłatę, co oznacza, że tylko nieznacznie przekracza kwotę,

jaką panu pożyczaliśmy, niech pan pozwoli, że zerknę, o, tutaj – wyciągnął z kieszeni niezaklejoną kopertę z tarczą herbową CBL, wyjął z niej urzędowe pismo i wskazał na wypisaną czerwonym tuszem liczbę. – Dokładnie, będzie to dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy guldenów. Prosimy o spłatę w terminie siedmiu dni. Bardzo proszę, aby się pan nie spóźnił, bo po upływie tego czasu, rozpoczniemy niewstrzymywalną procedurę wyegzekwowania zastawu hipotecznego, jakim jest ta piękna i droga nieruchomość. – Mówiąc to, zatoczył dłonią krąg, wskazując na willę i ogród, które jeszcze przed chwilą były moim domem.

Słuchając krótkiej mówki bankowca, uruchomiłem całą silną wolę, jaką miałem do dyspozycji. Powtarzałem sobie w myślach: R., nie spieprz tego tym razem, nie płaszcz się przed nim, powiedz coś, czego – chociaż raz – nie będziesz się potem wstydził. Chwyciłem się więc czegoś, czego byłem pewien – na pewno nie było takiej klauzuli w umowie, którą podpisałem i już chciałem wrzasnąć na urzędasę, zaczynając właśnie od tego, kiedy ten nagle podał wysokość żądanej kwoty i zburzył mój cały misterny plan.

– Jakie dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy? Za te kilka dni osiemdziesiąt siedem tysięcy? – krzyknąłem, z rozpaczą zauważając, że zamiast zaprotestować przeciwko tej oczywistej hucpie w całości, ja kłócę się o najmniej istotny szczegół.

– Ano tak. Tak się składa, tak wynika z umowy, którą pan podpisał, odsetki, prowizja i opłata manipulacyjna za wcześniejszą spłatę.

– Ale ja wcale nie chcę spłacać wcześniej! – odparłem, broniąc się przed tymi osiemdziesięcioma siedmioma tysiącami tak, jakby stanowiły różnicę – a przecież, o, rozpaczy! – nie mogłem spłacić dwustu osiemdziesięciu siedmiu tysięcy dokładnie tak samo, jak nie mogłem spłacić dwustu, stu i nawet pięćdziesięciu tysięcy.

– Pańska wola nie ma tutaj znaczenia, istotny jest fakt wcześniejszej spłaty całej kwoty.

Odzyskałem rezon.

– Zaraz, zaraz. Po pierwsze, i od tego zaczynijmy, w umowie, którą w pańskiej obecności podpisywałem, nie było ani słowa o możliwości odstąpienia przez bank od przyjętego planu spłaty kredytu w wypadku utraty przeze mnie pracy – wzbiłem się tym zdaniem, jak mi się wydawało, na wyżyny bankowego dialektu.

– Myli się pan, panie R. – odpowiedział bankowiec, wyciągając z kieszeni drugą kopertę.

– Proszę, niech pan zerknie, tutaj jest umowa, którą pan podpisał. Paragraf czternasty, punkt trzeci be.

Przebiegłem pismo wzrokiem, odnalazłem ustęp, do którego się odwołał i jego treść, rzeczywiście, nie pozostawiała wątpliwości. Skonfundowany, odnalazłem mój podpis – rzeczywiście, widniał pod treścią umowy, jednak przyjrzałem się i stwierdziłem zaraz, że został nieudolnie podrobiony.

– Pan też jest w spisku, tak? – zapytałem. – No jasne, że pan jest, głupie pytanie, widziałem pana pod ambasadą i potem, w burdelu. Pan pewnie sam zabił tę dziewczynę, prawda?

Mówiłem spokojnie, nie krzychałem, a bankowiec patrzył na mnie zatroskanym wzrokiem.

– Rozumiem, że zaistniała sytuacja musiała mocno nadwyrężyć pańskie nerwy – powiedział z sympatią.

Zacząłem drzeć umowę, na krzyż, a potem na coraz drobniejsze kawałki.

– Niech pan się tak nie szarpie z tym papierem, on nie ma znaczenia – uśmiechnął się – a ja tymczasem odchodzę, obowiązki wzywają.

Ruszył ku furtce. Stałem, nie wiedząc, co zrobić, chciałem coś powiedzieć, rzucić obelgę, trzasnąć go w twarz, zatrzymać, zrobić cokolwiek – a ponieważ jak zwykle nie umiałem się zdecydować, to nie zrobiłem niczego. Kiedy mnie mijał, nachylił się i szepnął mi konfidencyjnie do ucha:

– Rozumie pan, co do tego papieru, to niech pan się nie martwi, że go pan podarł. Zrobimy sobie nowy. Do widzenia! – powiedział już głośno. Stałem z pochyloną głową. Na jego jasnych pantoflach było kilka ciemnordzawych plam, jakby z zaschniętej krwi. Odszedł, pogwizdując wesoło, a ja z ciężkim sercem wszedłem do domu. Lilly nie było, ściany, jeszcze parę dni temu dające wyczuwalne wrażenie szczęścia, były surowe i obce. To już nie był mój dom, nie było już mojego małżeństwa, nie było Lilly, nie było całego mojego życia. Zrozumiałem to właśnie w tym momencie, stając w salonie na parterze, przed wejściem do przeszklonej oranżerii, pomiędzy meblami i bibelotami, stanowiącymi razem zbiór pamiątek z naszego życia, które definitywnie się skończyło i nic nie nastąpiło w zamian. Wypuściłem z ręki teczkę, upadła głucho na podłogę, a ja stałem, nie zdejmując płaszcza, sparalizowany tym odkryciem – wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy, wszystkie moje tarapaty jawiły mi się jako kłopoty, problemy, poważne, nawarstwione, ale tylko kłopoty, a teraz zrozumiałem, że to był gruchot upadającej budowli, którą był mój świat. Nie ma nic. Jak to możliwe?

Zacząłem odtwarzać w myślach przebieg ostatnich dni i nagle doszedłem do miejsca, w którym wszystko się zaczęło. Wily. Wily, do którego mam lecieć, do Londynu, nie wiem po co, ale polecę, bo co mam robić innego, polecę, bo mi kazano. Wily. Nie ma już mojego życia.

Już wiem.

Zrzucając w biegu płaszcz i kapelusz, pobiegłem do piwnicy. Gdzieś tam musi leżeć wielki i brzydki nesoser, który kiedyś dostałem od ciotki, jako prezent urodzinowy. Nigdy go nie używałem, rzecz była zupełnie niepraktyczna, zbyt duża do roli podręcznego pojemnika na najpotrzebniejsze rzeczy i zbyt mała, aby pomieścić cały bagaż, jaki zwykle podróżował w kufrach i walizach. Ale dzisiaj powinien sprawdzić się doskonale. Odnalazłem go bez trudu, skóra w kolorze burgunda wybijała się wśród sterty toreb, waliz i kuferków. Niosąc go ze

sobą, przesadzając po trzy stopnie, pobiegłem na piętro, do mojego gabinetu. Pośród nierozpakowanych jeszcze paczek z książkami i różnymi drobiazgami odnalazłem to, co zamierzałem ukryć w miękkiej walizeczce – owiniętą w szary papier dubeltówkę Holland & Holland. Odziedziczyłem ją po ojcu. Do tego, do czego zamierzałem jej użyć, lepiej by się nadał pistolet lub rewolwer, ale nie mogłem wybrzydzać – odwinąłem szary papier, złamałem strzelbę jak do ładowania, ustąpiła z trudem, po czym rozłożyłem ją na dwie części, lufy z czółenką i kolbę z baskilą, i przymierzyłem do neseseru – zmieściła się! Świetnie. Teraz amunicja, gdzieś miałem pudełko loftek, czyli grubego śrutu, w kalibrze dwanaście. Gorączkowo przerzucałem paczki z różnymi szpargałami i gratami, aż w końcu z którejś wypadło szare pudełeczko – otworzyłem, w środku tkwiło dwanaście nabożów śrutowych, śmiały się do mnie mosiężne denka i czerwone kartonowe łuski. Wsypałem amunicję do kufereka, na wierzch rzuciłem kilka ubrań, dla niepoznaki, na parterze chwyciłem jeszcze płaszcz i kapelusz. Wybiegłem z domu, nie zamykając nawet drzwi, i ruszyłem na postój taksówek. Wziąłem pierwszą z kolejki, dałem szoferowi banknot dwudziestoguldenowy i rzuciłem:

– Na lotnisko, najszybciej, jak się da.

Pomknęliśmy przez przedmieścia, potem przez okalające miasto pola, poprzecinane kanałami, podskakując na drewnianych mostkach, i po trzech kwadransach byliśmy na miejscu. Dodge zahamował przed bramą, rzuciłem kierowcy jeszcze pięć guldenów i wysiadłem, ściskając w dłoniach mój kuferek.

Wielki, podłużny kształt szarego zeppelinu rzucał cień na trawiastą płytę lotniska. Brzuchem dotykał ziemi, przycumowany do masztu z kratownic, ale i tak dwukrotnie górował wysokością nad zabudowaniami, chociaż wieża kontrolna wznosiła się przecież na poziom pięciu pięter. Znając długość pasa startowego lotniska, stwierdziłem, że sterowiec ma co najmniej ćwierć kilometra długości, stojące na murawie aeroplany pasażerskie fokker trimotor wydawały się przy tym wielkoludzie maleńkimi, dziecięcymi zabawkami. Strażnikowi przy bramie machnąłem przed nosem biletem, skinął dłonią, ruszyłem szybkim krokiem w stronę ogromnego cygara. Dopiero kiedy się zbliżyłem i u brzucha zeppelinu zobaczyłem maleńkie figurki ludzi, zdałem sobie sprawę z jego gigantycznej skali. Każda z gotyckich liter napisu: „Hindenburg” na burcie była wysokości domu, jeszcze większe były swastyki na białoczerwonych, niemieckich flagach, dumnie wypełniających powierzchnie stateczników. „Hindenburg” miał nowoczesną linię, z kabinami pasażerskimi wewnątrz kadłuba, nie w zewnętrznej gondoli, jak w starszych zeppelinach.

U brzucha sterowca tłoczyli się okrętujący się pasażerowie i zwykli gapie, chcący popatrzeć z bliska na największy statek powietrzny świata; kiedy byłem już blisko, po prostu wmieszałem się w tłum, odnalazłem oficera sprawdzającego bilety, uchyliłem uprzejmie kapelusza i wręczyłem mu moją kopertę. Niemiec wyjął z niej mój bilet, przebiegł go

pobieżnie wzrokiem, w przegródce rozstawionego na trawie pulpitu wyszukał odpowiedni klucz, wręczył mi go razem z biletem i rzekł:

– Witamy na pokładzie, panie R. Pańska kabina nosi numer 6, lecz jest ciasna, jak wszystkie... zapraszam raczej do westybulu, gdzie podajemy właśnie wino i przekąski. Odlatujemy za dwa kwadranse.

Zasalutował i nie zajął do mojej torby. Ściskając z całych sił uchwyt neseseru, odnalazłem drzwi z odpowiednim numerem, wszedłem i natychmiast zamknąłem je za sobą starannie, kuferek, nie otwierając go nawet, schowałem do szafy, która – dzięki Bogu! – również posiadała wąty zamek w drzwiczkach. Kluczyk schowałem do kieszeni i dopiero teraz rozejrzałem się po kabinie. Rzeczywiście, ciasno, brak okien, surowe, modernistyczne meble, łóżko, szafa, biurczko, mała umywalnia. Zdjąłem kapelusz i płaszcz, spojrzałem na siebie w lustrze i zamarłem na ułamek sekundy. Ktoś stał za mną, niewyraźna postać, jak ludzka, lecz z nieludzką, wielką i zwierzęco uszatą głową. Odwróciłem się, jak rażony elektrycznością, lecz za mną nie było już nikogo.

Splukałem twarz zimną wodą, kiedy podnosiłem głowę nad umywalki i odruchowo zaczępiłem wzrokiem o lustro, nie zobaczyłem już niczego, oprócz ponurej tapety na ścianie. Sprawdziłem więc jeszcze raz zamknięcie szafy i wyszedłem z kabiny, przekręcając klucz w zamku. Odetchnąłem głęboko, wygładziłem marynarkę, przeczesałem włosy i pewnym krokiem ruszyłem do westybulu, droga nie była długa. Otwarłem szerokie drzwi i wkroczyłem do środka, spojrzenia pasażerów zgromadzonych przy nawisowych oknach odkleiły się nagle od tego, co na zewnątrz, i skierowały na mnie. Podłoga się zatrzęsła, sterowiec zadygotał mocno, a ja straciłem równowagę i byłbym upadł, gdyby nie czyjeś ręce, które podtrzymały mnie za łokieć. Oficer, ten sam, który sprawdzał mój bilet, uklonił się uprzejmie.

– Z awiacją nie ma żartów, łaskawy panie – powiedział i wszyscy się roześmiali.

Wymruczałem pod nosem: „Dziękuję” i mocno zapragnąłem stać się niewidzialny. Zgarbiłem się, wcisnąłem głowę między ramiona i stanąłem w kącie, mały, mikroskopijny, przykleiłem się do szyby i patrzyłem, jak ziemia powoli zamienia się w mapę, w rysunek pól, dróg i domów pode mną. Warknęły odpalane diesle i sterowiec zaczął przesuwać się nad tą mapą, ciągle wznosząc się do góry. Kiedy las zamienił się w kłębki mchu, domy w pudełeczka zapalek, a asfaltowe drogi w nitki, silniki ryknęły, „Hindenburg” przestał się wznosić i ruszył powoli przed siebie. Po kwadransie długi cień zeppelinu przesunął się po białej plaży i wlecieliśmy nad morze.

Uznałem, że przebywające w westybulu towarzystwo zapomniało już o moim blamażu, więc odsunąłem się od okna i rozejrzałem się za jakimś stolikiem, przy którym mógłbym spocząć.

– No cóż, wszystko zajęte, ale może przysiadzie się pan do mnie, panie R.? – usłyszałem zza pleców znajomy głos i aż podskoczyłem, przestraszony. Odwróciłem się zaraz – i nie

myliłem się, za mną stał James Wily we własnej osobie. Gapiłem się nań z otwartymi ustami i nie byłem w stanie znaleźć słów adekwatnych do sytuacji.

Wily uśmiechnął się życzliwie.

– Niech pan siada, proszę – powiedział i wskazał mi dłonią krzesło.

Usiadłem, a agent zaklaskał w dłonie i wszyscy pasażerowie sterowca, jak na komendę, wstali od stolików, pozostawiając niedopite kieliszki z winem, i bez słowa, natychmiast wyszli z westybulu. Zostaliśmy sami i nie uczyniło mnie to rozmowniejszym.

– Uparł się pan, panie R., żeby uczynić to tak trudnym, jak to możliwe, prawda? – ciągnął Wily, a ja myślałem tylko o dubeltówce, schowanej w szafce, w kajucie.

– Dajże spokój, chłopcze. Nie jestem gęsią ani głuszcem, żeby do mnie palić z dwururki – zaśmiał się. Ja dalej milczałem.

Ponownie klasnął w dłonie. Drzwi do westybulu otworzyły się i weszli, jeden po drugim – bankowiec z Credit Bank of London, dziś odziany w ten sam garnitur, który nosił wtedy, w burdelu, katując prostytutkę, teraz byłem już pewien, że to on. Za nim, urzędnik z konsulatu – ten sam, którego spotkałem potem, na posterunku policji, przebranego za policjanta, dalej zataczał się lekko Rolffie Galland, we fraku, operetkowej pelerynie i z cylindrem w ręku. Za Gallandem szedł Gäbel, z dziurą po kuli w czole i śladem zaschniętej krwi na twarzy. W ręku trzymał moją dubeltówkę, za lufy, i macał nią przed sobą, jak ślepiec laską. Zdziwiłem się własnej obojętności – czyżby widok żywego trupa, którego na dodatek zastrzeliłem osobiście, nie poruszał mnie już wcale?

Za martwym Gäbelem do pomieszczenia weszła martwa prostytutka ze zdjęć, zupełnie naga, felietonista Nisevitsch z szerokim uśmiechem i dymiącym papierosem w porcelanowej cygarniczce – mnie zaś zainteresował tylko ten papieros, czyżby Nisevitch nie wiedział, że na „Hindenburgu” panuje absolutny zakaz palenia poza pomieszczeniem wyłożonej azbestem palarni? Na ramieniu Nisevitcha wspierał się – któżby inny! – pan prezes HMSP, mój szef, z grubym tomem zestawienia wydatków pod pachą.

Szli wszyscy, stolik, przy którym siedziałem z Wilym, otoczyli kołem, gapili się na mnie – i śmiali się, każdy z nich się śmiał, bezgłośnie, rozchylając jedynie wargi w wykrzywionym grymasie.

– No, to już prawie wszyscy są na miejscu – powiedział Wily i klasnął ponownie, tym razem trzy razy, z długimi pauzami między każdym uderzeniem dłoni o dłoń.

W otwartych drzwiach pojawiła się kobieta, odziana tylko w złotą biżuterię na szyi, nadgarstkach i kostkach – złoty łańcuszek okalał jej szczupły brzuch. Nie od razu ją poznałem, zmieniła kolor włosów, na krwawo rudy, zamiast krótko ściętej fryzury na chłopczycę miała długie loki, spływające na ramiona, ale – tak, to ona, Lilly. Jej ciało było innego odcienia niż zwykle; Lilly miała smagłą skórę, lecz teraz była blada, tak blada, że prawie biała, jedynie sutki uszmiłkowała na ciemną czerwień, zmienił się nawet kolor włosów na wzgórku łonowym, z płowego blond na rude.

Szła jak pijana albo jak lunaticzka, z niewidzącymi oczami, wspierając się na ramionach czterech Murzynek. Czarne jak smoła Etiopki niosły ją prawie, ledwie muskała stopami podłogę i złożyły ją na kolanach Wily'ego. Murzynki miały twarze Polek z burdelu – chociaż czarne jak heban, to rysy te same. Lilly otoczyła szyję agenta ramionami i poczuwszy jego zapach, wymruczała sennym głosem:

– Mój panie...

Wily objął moją żonę w nagiej talii, kładąc swoje wypielęgnowane palce na jej biodrze.

– Czas wyznać ci prawdę, R. – powiedział, zanurzając twarz w rudych lokach.

– Praaaaawdę... – wymruczała Lilly, odurzona i wtulona w ramię agenta.

Strzelba w dłoniach Gäbela. Może jest naładowana, to moja jedyna nadzieja, zerwać się, dobiec doń, wyrwać mu broń, dopaść Wily'ego i palnąć mu łeb, z obu luf. Spiąłem się i spróbowałem.

Żelazne dłonie Nisevitscha usadziły mnie z powrotem na krześle.

– I to jest w tobie interesujące, R. Nie poddajesz się, wbrew rozsądkowi, wbrew wszystkiemu. Podobasz mi się... zawsze mi się podobałeś, ale czas stawić czoło rzeczywistości. Rzeczywistość, drogi R., jest następująca. Nie mogę zmusić cię do wydania tej książki, niestety. To twoja decyzja, zupełnie suwerenna. Ale byłoby nam wszystkim tutaj miło, gdybyś się zgodził... Prawda, moi drodzy? – Wily zwrócił się do otaczających stolik gości.

Przytaknęli ochoczo, wszyscy. Milczałem.

– Byłoby nam bardzo miło mieć cię z nami na stałe. Cóż, jeśli wybierzesz inaczej, to nic złego ci się nie przydarzy. Pokrążymy trochę nad morzem, a ty zostaniesz bez domu, bez pracy i z policją na karku... ale przecież to jeszcze nie są jakieś straszne opresje, prawda? A u nas bywa tak wesoło...

Lilly na kolanach Wily'ego wyprężyła się i przeciągnęła, powoli i sennie. Galland nałożył cylinder i zaczął stepować, żonglując laską, dookoła von Nisevitcha – grubas szybko podchwycił radosny nastrój, bo złapał jedną z Murzynek od tyłu za biodra i przesadnymi ruchami jął symulować kopulację, śmiejąc się głośno. Gäbel, jak rażony prądem, ruszył nagle do przodu, macając przed sobą strzelbę, doszedł do okna i zatrzymał się, skonfundowany, zostawiając krwawy ślad na szybie.

– No, idź już do niego – powiedział Wily do mojej żony, a ta wstała mu z kolan, zaraz wsparły ją silne dłonie Murzynek – i chwiejąc się, podeszła do mnie, zwała mi się na kolana, obejmując mnie tak samo, jak wcześniej mojego dręczyciela.

– Tylko po to za ciebie wychodziłam, abyś się zgodził, ja się tylko po to narodziłam, żebyś się zgodził, mój miły – wyszeptała mi do ucha.

Odwrociłem głowę, żeby zobaczyć jej twarz, jej oczy – lecz kiedy napotkała moje spojrzenie, otworzyła usta i zamiast białych zębów Lilly ujrzałem rząd kłów, jak u rekina, poźółkłych i ostrych. Szarpnąłem się z przerażenia tak mocno, że wywróciłem się razem z

krzesłem i Lilly znalazła się na mnie, śmiała się frenetycznie, zęby w jej ustach były zwykłe, ludzkie, ale ja czułem, że po szyi cieknie mi krew. Zaczęła mnie rozbierać – nie zdierała ze mnie ubrania, tylko starannie rozwiązywała krawat, rozpiniała koszulę, zdejmowała marynarkę. Kątem oka zauważyłem, że Nisevitch dał sobie spokój z symulowaniem kopulacji, rozpiął spodnie i zabierał się do jednej z Murzynek już na serio, bankowiec z urzędnikiem z konsulatu chwycili się za ręce i tańczyli, zaś Galland z dwiema Murzynkami opadli na kolana i na czworakach podeszli do mnie. Dziewczyny zdejmowały mi buty, Galland rozpinął pasek; kiedy próbowałem się bronić, obezwładnili mnie szybko, razem z Lilly siedli mi na rękach i nogach i po chwili już leżałem nagi, Galland też pozbywał się ubrania.

– Myślisz, że to ze mną będziesz się parzył? – zapytała Lilly. – Jeśli tak, to muszę cię zmartwić, niestety to Rollfie będzie się parzył z tobą. Ale nie martw się, Rollfie jest całkiem niezły, wiem coś o tym – mówiła.

I po raz pierwszy pojawiła się myśl: ale dlaczego nie? Dlaczego? Co mnie powstrzymuje? Przyzwoitość? Prawo moralne, niebo gwieździste i cały ten kantowski szajs? Ale dlaczego? Bo tata by się pogniewał? Nie, nie po raz pierwszy. Ta myśl stale była przy mnie, ze mną, w tyle mojej głowy, przecież nigdy nie miałem odwagi, sił ani woli, aby Wily’ego odepchnąć, odrzucić, odpychałem go tylko nieśmiało. I teraz, teraz nagle miałbym znaleźć w sobie tę siłę?

Galland przesunął językiem po mojej szyi od ramienia aż do ucha i szepnął:

– Połóż się na brzuszku, kochany...

Szarpnąłem się, jak mogłem najsilniej, odnalazłem wzrokiem Wily’ego i ryknąłem:

– Zgadzam się!

Odstąpili ode mnie zaraz, Murzynki pomogły mi się podnieść i stanąłem pomiędzy tymi, którzy nie są moim braćmi, ale są tacy jak ja, teraz to rozumiałem. Gäbel, drżącymi dłońmi, podniósł mojego hollanda, wycelował, nie podnosząc nawet głowy, i ściągnął oba spusty, strzelając w sufit. Kiedy tylko zwielokrotniony przez ściany huk wystrzału wybrzmiał, rozległ się powolnie narastający syk. Von Nisevitch oderwał się od swojej Murzynki, spojrzął z uśmiechem na dziury w sklepieniu sali i zaciągnął się głęboko papierosem.

Wszystko zniknęło, ogarnięte przez bezbarwny, rozedrgany płomień.

* * *

Czego pragnąłem? Innego życia, przez cały czas – i dostałem je. Wszystko zostało z tyłu, cały świat. Z tyłu została Lilly, praca, miasto, życie towarzyskie, zawodowe i małżeńskie, z tyłu został dom, kredyt, banki, wydawnictwa i agencje.

Wydawałem się sobie miękki, cywilny, burżuazyjny do obrzydzenia – to również już przeszłość. Nie ma we mnie więcej miękkości.

Kłopoty mam dalej, ale przyjemne w swej prostocie – gdzie znaleźć benzynę do transporterów, jak rozstawić warty, jak dopilnować koniecznych napraw. Prawie nie śpimy i nie jemy, razem ze starym życiem z tyłu zostały też ludzkie potrzeby. Nie załapałem się na okopy pod Verdun i dobrze, bo dostałem za to ciekawszą wojnę, gdzie nie ma frontu, nie ma nawet głównodowodzących; a w zasadzie jest ich tylu, ilu zbrojnych watażków, bo każdy sam sobie wydaje rozkazy. Zanim dojdzie do boju spotkaniowego, przy natknięciu się na jakiś zbrojny oddział, wysyła się emisariuszy, którzy drogą negocjacji żmudnie uzgadniają wzajemne stosunki polityczne, od których zależy dalszy rozwój sytuacji – czy tylko miniemy się w chłodnym milczeniu, patrząc na siebie zza szczerbinek kaemów, czy urządzimy wspólny biwak i pohandlujemy benzyną i amunicją, czy raczej, kiedy tylko emisariusze wrócą do swoich szeregów, nasze kolumny rozwiną się w szyk bojowy, moździerze i działka samochodów pancernych pluną ogniem i spieszona piechota ruszy w bój.

Co nie zdarza się zbyt często. Nasza polityczna orientacja nie jest określona – stoimy poza szerokim spektrum całej drugiej rosyjskiej wojny domowej, nie mieścimy w świecie, zawierającym się między trockistami, bolszewikami i białymi, którzy powracali z Jugosławii i Francji i porekrutowali sobie sotnie wśród tych resztek kozactwa, których nie wykończył Stalin. Chociaż mamy niemiecki sprzęt i broń, to nie zaliczamy się też do alianckich wojsk interwencyjnych ani do sprzymierzonych taktycznie z komunistami interwentów amerykańskich, którzy wylądowali niedawno w Murmańsku i biją się z aliantami i z białymi. Gdybym szukał analogii z pierwszą wojną domową, to najbliżej by nam było do Rewolucyjno-Powstańczej Armii Ukrainy Nestora Machny, z tą różnicą jednak, że tamtych były tysiące i rekrutowali się spośród Ukraińców, a nas jest ledwie kompania i nasi żołnierze pochodzą z różnych krajów, z mojej ojczyzny, ale i z Francji, Niemiec, Polski, jest paru Finów, Włoch, kilku Czechów. Z połowy Europy, wszyscy zjednoczeni, wszyscy tacy sami w czarnych mundurach, z bezkrwistymi twarzami, bez uśmiechów, bez żołnierskich piosenek i żartów, martwa powaga.

W zasadzie unikamy więc walki, a nasze pomalowane na czarno transportery i samochody pancerne wzbudzają respekt, więc rzadko musimy naciskać na spust. Korzystamy z pięknych czasów wojny domowej, wjeżdżamy do chwilowo opuszczonych miast i wsi, szukamy bibliotek, zapędzamy cywilów do roboty, wynosimy wszystkie tomy na zewnątrz i palimy je ogniem z miotaczy płomieni, po czym opustoszałe półki zapełniamy towarem – tomami Księgi, wydanie kieszonkowe, klejone, w miękkich, papierowych okładkach – to mój pomysł na obniżenie kosztów, podpatrzony w Londynie, w Penguin Books – na których widnieją czerwone litery, cyrylica i łacińskie, w siedmiu językach głoszące: „Ewangelia Nowego Człowieka”. Do każdej biblioteki wkładamy pięćset tomów i jedziemy dalej. Nakład Księgi wozimy ze sobą, na trzytonowym oplu – kiedy paka jest pusta, zgłaszamy wyczerpanie nakładu przez radio, razem z naszą pozycją, i dzień lub dwa później wielkie drewniane skrzynie spływają do nas, powoli kołyszac się na spadochronach.

W miastach rekwirujemy również wszystkie maszyny do pisania, rzucamy na bruk i rozjeżdżamy gąsienicami naszych transporterów. Drukarnie, jeśli jakąś znajdziemy, wysadzamy w powietrze, palimy albo – jeśli nie da się inaczej – niszczymy ogniem artyleryjskim z moździerzy. I tyle. Nie śpiam, nie jem, siedzę we włązie na wieżyczce mojej czarnej pumy i patrzę przed siebie, na drogę, znikającą pod ośmioma kołami, wsłuchuję się w ryk dwustukonnego diesla i poklepuję pieszczotliwie pancierz, jakby był skórą stalowego zwierzęcia.

A, jeszcze zapomniałbym dodać – tych, których złapiemy z maszyną do pisania, uznajemy za pisarzy i traktujemy tak samo, jak pracowników drukarni i wydawnictw, bez zbytecznego okrucieństwa – po prostu, kula w łeb i po krzyku.

Życie ma smak.

Pilchowice–Londyn–Pilchowice, kwiecień 2005–maj 2007

**RONDO NA MASZYNE
DO PISANIA, PAPIER
I OŁÓWEK**

Affettuoso con fuoco

Żadnej, żadnej książki. Wszystkie moje śliczne, piękne, wypieszczone, z pietyzmem odkurzane, odkopane w antykwariatach, kupione na wyprzedazach, ukradzione w bibliotekach, wywalczone na aukcjach, zdobyte na wojnie, wszystkie moje książki – zostały za drzwiami, które zamknąłem na klucz, w mieszkaniu, którego progów już nigdy nie przestąpię. W prawą dłoń ująłem zawsze zaskakująco ciężki kuferek z moją maszyną marki Wanderer-Continental, po czym zwróciłem się w kierunku schodów, spojrzałem ostatni raz na brzydki olejny kicz, wiszący od zawsze na naszej klatce schodowej – i zszedłem na dół. W bramie stał stróż, stary chyba jak ta kamienica, zrośnięty z nią jak mech z kamieniem. Podałem mu klucz i uściśnąłem prawicę. Pokiwał głową, robiąc smutną minę.

– Żegnaj, chłopcze – powiedział i poprawił się zaraz. – Znaczy się, do widzenia panu, panie R.

– Do widzenia, panie dozorczo – odparłem.

Staliśmy przez chwilę, zakłopotani, bezsensownie potrząsając dłońmi. Wreszcie dozorca wymamrotał pod nosem coś o zamiataniu i odwrócił się, zmieszany, prawie wyszarpując swoją dłoń z mojej. Wyszedłem na deszczową, szarą ulicę.

Samochód już czekał. Ciotka Weronika była tak uprzejma i użyczyła mi na ten jeden raz swojego adlera z szoferem, który teraz wyrwał mi bagaże z rąk i umieścił je w kufrze, po czym usłużnie otworzył mi drzwiczki, kłaniając się, jakbym był co najmniej następcą tronu. Rozsiadłem się wygodnie na kanapie, wyjąłem papierośnicę, kierowca podał mi ogień – zaciągnąłem się tytoniowym dymem i ruszyliśmy.

Zza pokrytej kroplami deszczu szyby przypatrywałem się mojemu miastu. Mijaliśmy secesyjne kamienice, przyzwoicie i mieszczańsko składające się na miejską tkankę. Spośród nich w niebo dumnie celowały wieże kościołów – strzelista neogotyckiej świątyni pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła, tępo ścięta, basztę przypominająca wieża prawdziwie gotyckiego kościoła Wszystkich Świętych, jedyne w obrębie dawnych murów miasta. Potem dwie wieże ewangelickiego zboru, dalej barokowy klasztor. A potem resztki murów, zamek, znowu ulice. Samochód podskakiwał na brukowanych kocimi łbami ulicach. Minęliśmy pusty tramwaj. Ludzi nie widziałem zbyt wielu, listopadowy, zimny i mokry wieczór nie zachęcał do spacerów. W mdłym świetle gazowych latarni przemykali się przechodnie, przykurczeni i schowani pod parasolami. Tylko wyjeżdżając z miasta minęliśmy

dziarsko maszerujący, niewielki oddział skautów. Odziani w brązowe mundurki chłopcy zdawali się nie przejmować deszczem i chłodem. Odwróciłem się na siedzeniu i patrzyłem przez tylną szybę – prowadził ich niski, korpulentny instruktor, którego podkreśnione wąsiki i skautowski kapelusz przywiodły mi na myśl komiczne figury Meksykanów z obejrzanego niedawno westernu. Peleryna zabawnie układała mu się na pękatym brzuchu, a spod jej skraju błyskały nagie łydki.

Z deszczem zmieszały się pojedyncze płatki śniegu. Zapytałem kierowcę o godzinę.

– Jest dwudziesta czterdzieści sześć, proszę łaskawego pana – odpowiedział, sprawdzwszy uprzednio na kieszonkowym zegarku.

A więc mamy jeszcze sporo czasu – pomyślałem. Na szczęście szofer nie był gadułą lub był na tyle spostrzegawczy i widział, że wolę milczeć. Jechaliśmy w ciszy, prostą, dobrą, asfaltową drogą, jak strzała przecinającą czarne, ponure pola, podzielone tylko rzadkimi wstęgami miedz i kępami krzaków. Na drutach telegraficznych stada przemoczonych gawronów i kawek stroszyły pióra, beznamiętnie przyglądając się smutnemu światu.

Po trzech godzinach podróży, w ciągu której nie wymieniliśmy już ani słowa, przekroczyliśmy roгатki portowego miasta, które było pierwszym moim przystankiem w drodze do Nowego Świata.

Wielu takich jak ja od wieków mijalo mury tego hanzeatyckiego portu, niegdyś tak potężnego, którego handlowe kogi i nefy zawijały do wszystkich portów ówczesnego świata, od Konstantynopola po Hamburg; karawele i karaki wypływały daleko poza zwrotnik Raka, galeony i fregaty dzielnie stawiały czoło zapuszczającym się na nasze morze Anglikom, a śmigłe kutry i kecze zręcznie umykały francuskim korwetom, raz za razem łamiąc ogłoszoną przez Napoleona blokadę kontynentalną. Na każdym rogu widać tutaj ślady dawnej świetności, na pysznie zdobionych fasadach niderlandzkich kamienic, w wyniosłych wieżach ratusza, na ciężkich murach kupieckich składów. Jednak w chwili, gdy i mi przyszło żegnać tam Europę, miasto było już tylko cieniem dawnej świetności, pełniąc głównie rolę portu wojennego. Minęliśmy stojące przy nabrzeżu potężne okręty: flagową jednostkę naszej floty, pancernik „Weygand”, za nim dwa mniejsze niszczyciele, oznaczone tylko numerami.

Gdy minęliśmy ostatnią budkę strażniczą, pilnowaną przez uzbrojonego w staroświecki karabin marynarza w granatowym płaszczu, przed nami pozostał tylko fragment pustego nabrzeża – i zaraz przekroczyliśmy bramę portu pasażerskiego. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjąłem mój bilet. Ileż razy oglądałem skrupulatnie z każdej strony ten ręcznie wypisany i opieczętowany setką pieczętek skrawek papieru – ale ponownie, tym razem już ostatni raz, chciałem sprawdzić, gdzie cumuje mój statek. Mój bilet był moim magicznym artefaktem, moim odpustem zupełnym – przepustką do raju. Statek, który miał mnie do tego raju zanieść widziałem już od bramy, bo nabrzeże było rześcicie oświetlone. – granatowe burty, cztery smukłe i pochyle kominy, złoty napis: „Cesarzowa Zofia”. Podjechaliśmy bardzo blisko. Na statek prowadziły dwa trapy. Przy jednym kłębił się spory

tłum ludzi, krzyczących, pchających się i złorzeczących sobie nawzajem. Przy drugim trapie stało niewielkie biurko, za którym człowiek w oficerskiej czapce pieczołowicie wypełniał rubryki grubej książki, osłaniany przez młodego marynarza z parasolem. Angielski napis głosił: „First and second class passengers are welcome here”. Nie wysiadając z samochodu, wskazałem kierowcy palcem drugi trap. Podjechaliśmy powoli, samochód stanął, szofer wyskoczył, otworzył mi drzwi i wyjął mój niewielki bagaż. Podeszedłem do stolika i okazałem mój bilet razem z paszportem. Oficer rzucił nań okiem, zaglądnął szybko do paszportu, spojrzał na mnie zaskoczony i rzekł:

– Jesteśmy zaszczyceni, panie R.

– Dziękuję – odpowiedziałem zmieszany.

Oficer zaś wstał pospiesznie i krzyknął w stronę statku, wzywając stewarda. Kilka sekund później wspinałem się po trapie, odprowadzany nienawistymi spojrzeniami tych, którzy ciągle tłoczyli się przy wejściu dla pasażerów trzeciej klasy, zmuszani do otwierania i wybebeszania walizek, obmacywani, wypytywani.

Steward zaprowadził mnie do kabiny, w której spędzić miałem najbliższe tygodnie. Miałem do dyspozycji wygodną kajutę z dużym łóżkiem (czy raczej: koją), szafą o lustrzanych drzwiach, stolikiem nocnym i tym podobnymi utensyliami. Sypialnia łączyła się z niewielkim gabinetem – kilka dni wcześniej, gdy kupowałem bilet, zażyczyłem sobie kabiny z miejscem do pracy – w gabinecie miałem biurko i wygodny fotel oraz nieduże, okrągłe okno – czyli bulaj. Drugie drzwi prowadziły do łazienki. Wszystko urządzone ze smakiem, bez przepychu, ale z akcentami podkreślającymi luksusowy charakter tego miejsca – meble były najlepszego gatunku, w stylu art deco – geometryczne w formie i pozbawione zdobień, pościel uszyto z prawdziwego jedwabiu, w łazience armatura była połączana, zaś na ścianie wisiało kilka gustownych grafik, kobiecych aktów w akwaforcie.

Rozejrzawszy się, zdjąłem płaszcz i kapelusz. Otwarłem walizkę i przełożyłem zawartość do szafy, starannie rozkładając ubrania na półkach, wieszając marynarki i koszule. Maszynę do pisania ustawiłem na biurku w gabinecie, obok położyłem papier. Spojrzałem na zegarek – statek odpływa za dziesięć minut. Narzuciłem na ramiona płaszcz i wyszedłem na pokład. Chciałem patrzeć na niknące w mroku i mgłę nabrzeże, chciałem mieć wyraźny i czysty, utrwalony w umyśle ostatni widok Starego Świata. Właśnie takiego, ciemnego i za mgłą. Stałem, opierając dłonie na zimnym metalu nadburcia, patrzyłem na światła miasta.

– Czy byłby pan tak uprzejmy i użyzył mi na moment swojego płaszcza? Zostawiłam etolę w kabinie, a tutaj jest przenikliwie zimno.

Miękki, kobiecy głos, z delikatnym, zagranicznym akcentem. Odwróciłem się pospiesznie – stała, niby drżąc z zimna, w zielonym kostiumiku, taksowała mnie jednocześnie wprawnym okiem. Była piękna, kobieca i wyzywająca, miała jasne, pozornie niedbale ułożone włosy, mocną, szkarłatną szminkę i wyzywający makijaż, który w słabym świetle żarówek nadawał

jej rysom wyrazistość. Pomyślałem o mojej żonie i natychmiast zdjąłem z ramion palto, podając je damie.

– R. – przedstawiłem się.

– Natalia – odparła, stając obok mnie, twarzą w kierunku lądu.

– Żegna pan Europę? – zapytała po chwili.

– Europy już nie ma, droga pani. Nie żegnaj się. Patrzę na nią jeszcze raz, aby dobrze ją zapamiętać i przypomnieć sobie ten wstrętny widok zawsze wtedy, kiedy najdzie mnie głupia nostalgia lub chęć powrotu – powiedziałem po chwili milczenia, cicho.

Zaśmiała się życzliwie.

– Mówi pan to tak, jakby stał pan w sypialni i patrzył na falujące pośladki gacha, który pieprzy pańską żonę. Żeby ją sobie obrzydzić! – śmiała się dalej.

Zamurowało mnie. Znałem wiele wulgarnych kobiet, ale żadna nie była przy tym inteligentna.

– Czy Europa pana zdradziła? – pytała dalej.

– Chodźmy na drinka – odpowiedziałem.

– Pod warunkiem, że nie skończymy na jednym, człowieku, któremu kontynent przyprawił rogi.

Gdy siedzieliśmy już przy stoliku, dyskretnie oświetlonym światłem lampki w zielonym kloszu i popijaliśmy koniak, zapomnieliśmy prawie, że jesteśmy na statku. Nie słychać było wycia wiatru, lecz ciche zawodzenie czarnoskórej piękności, niedbale opartej o fortepian, na którym grał jazzman z papierosem w ustach – jeszcze nie odcumowaliśmy, a tutaj jest już jak w Ameryce! Nie słychać było też chlupotu fal, tylko brzękanie szklanek, przesuwanych za kontuarem przez uprzejmego barmana; zamiast krzyków mew w klubie rozlegał się cichy gwar, charakterystyczny dla wszystkich knajp, złane w jedno dźwięki wielu rozmów, odgłosy sztuców uderzających o porcelanę, stuknięcia odstawianych na blat szklanek czy niesłyszalny, bezgłośny szelest spadającego z papierosa popiołu. Nie czułem zapachu ryb, lecz palący smak starego alkoholu i woń dobrego tytoniu. I jej perfumy, ciężkie, mocne, ale nie pachnące ciągle, lecz tylko uderzające co jakiś czas przy każdym gwałtownym ruchu, jakby gdzieś pomiędzy pysznymi zaokrągleniami jej ciała krył się ich zapas, wyzwalany nagłymi poruszeniami rąk czy skrętami szyi. Oddając mi płaszcz, zdjęła również żakiecik, pozostając w wydekoltowanej, acz nie wyzywającej bluzce. Siedziała naprzeciwko mnie, założyła nogę na nogę (śliskie, cieliste, błyszczące, nylonowe rajstopy, moja żona marzyła kiedyś o takich), oparła łokcie na stole, a brodę na dłoniach i z zainteresowaniem mieszającym się z kpiną słuchała mojej rozwlekłej autoprezentacji.

Zacząłem od tego, że jestem pisarzem – jak zauważyłem, po takim przedstawieniu ludzie są skłonni znieść daleko więcej, niż przy zwykłym śmiertelniku, jakby fakt parania się piórem dawał większe prawa do towarzyskiej autoanalizy, roztrząsania przed innymi własnego ja. Padło oczywiste pytanie.

– Co piszesz? – W drodze z pokładu do klubu przeszliśmy na ty, co mnie ucieszyło, bo lubię zwracać się do kobiet po imieniu. Mój ojczulek twierdził, że między mówieniem kobiecie po imieniu a spaniem z nią jest mniejszy dystans niż między zwracaniem się per „pani” a tykaniem właśnie. Oczywiście to były inne czasy, a tata własnego rodziciela tytułował do końca życia „panem ojcem”, ale lubiłem sobie przypominać tę anegdotkę i nigdy nie przechodziłem na „ty” z kobietą, która nie pociągałaby mnie seksualnie. Sióstr, na szczęście, nie miałem.

– Co piszesz? – zapytała więc.

– Ach, kończę powieść – machnąłem lekceważąco ręką, spodziewając się chwili niemego zachwytu, a potem już tylko serii niewerbalnych znaków, dających mi do zrozumienia, że jestem mile widziany, jeszcze zanim uświadomi to sobie moja interlokutorka. Zamiast tego usłyszałem:

– Jak każdy. Każdy kończy powieść. Nawet ten, co jej jeszcze nie zaczął, a pewnie żaden z was jej nigdy nie skończy. Kelner! Cygaro! – zawołała.

Była wcieleniem stylu – takie jak ona nie muszą uważać na to, co robią, aby zawsze wyglądać jak damy. Te zastrachane, przejęte własną czią damulki bez przerwy zastanawiają się, czy to, co robią, jest aby stosowne. A takie jak ona mogły robić to, co im się podoba. W ich wykonaniu nawet picie wódki albo tańczenie na stole z podkasaną spódnicą było eleganckie, dekadentkie i stylowe, czyli takie, jakie powinno być.

Zanim zebrałem się w sobie i otworzyłem usta, by opowiedzieć o mojej, wielkiej przecież powieści, nadszedł kelner z cygarem, zwracając się do mnie. Wzrokiem wskazałem mu Natalię. Nie dał nic po sobie poznać, obciął końcówkę cygara, położył na tacy i podał ogień. Damulka przy stoliku obok odwróciła się zgorzozona, zaś Natalia puściła oko do jej męża, który wyglądał na emerytowanego donzuana i przyglądał siwego wąsa z szelmowskim uśmiechem.

– A zatem o czym jest ta twoja powieść, mój drogi R.? – zapytała, przypalając sobie cygaro i puszczając wielkie kłęby dymu.

Patrzyłem na nią przez chwilę, udając, że muszę uporządkować sobie wszystko w głowie, ułożyć w jakąś całość, aby sensownie to przedstawić. W rzeczywistości odpowiedź na to pytanie miałem wytrenowaną do mistrzostwa, a wtedy tylko pozwoliłem sobie na kilka chwil cieszyć się jej widokiem. Trzymała cygaro w dwóch palcach; aby się zaciągnąć, obejmowała je wargami powoli, wręcz lubieżnie, dymu nie wydmuchiwała, pozwalając mu wypływać z rozwartych ust.

– Moja powieść zakończy jednoznacznie historię literatury. Jest metapowieścią, w której główny bohater jest jednocześnie swoim własnym autorem, powieść moja pisze się na swoich własnych kartach, jest związana w sobie, skręcona w sposób logicznie niemożliwy, a jednocześnie zmysłowo poznawalny – wyrzuciłem z siebie nagle i chciałem kontynuować wywód. Zdążyłem się już nawet podniecić brzmieniem własnego głosu i jasnością moich

logicznych konstrukcji – to znaczy, wprowadziłem się w stan podatności na intelektualne autopieszczoty, które są tym miłsze, im ładniejsze jest audytorium. Jednak na mojej rozmówczyni nie zrobiłem wrażenia.

– Mam szczęście w życiu, każdy literat, którego spotykam, okazuje się tym największym – zakpiła.

– Kpij sobie, moja droga, kpij. Ja jednak wiem swoje. Po to tylko chcę pisać, nic innego mnie nie interesuje. Chcę w dziwacznej formie zakląć rzecz jeszcze dziwaczniejszą: tajemnicę naszego istnienia, ból wewnętrznego skręcenia, który odczuwa każdy, kogo horyzonty sięgają chociaż trochę dalej, niż uzbrojone w sztucce ramiona. Dziwacznie jest być, tak jak jesteśmy, dziwnie jest umierać, cierpienie jest tajemnicą, niczego nie da się poznać. To właśnie chcę napisać. Nie po to, aby coś zrozumieć, bo już nie wierzę, że rozumiemy cokolwiek. Po to tylko, by pokazać im wszystkim, jak bardzo niezrozumiałe jest to, z czego składa się nasze życie – deklamowałem.

Tym razem już się nie śmiała. Złagodniała jakby, wsparła się na poręczy krzesła, podniosła kieliszek z koniakiem i upiła trochę, patrząc w jakiś punkt za moimi plecami, przez chwilę zamyślona.

– Dobrze, nie mówmy już o tym. Dasz mi fragment swojego tekstu do przeczytania?

– Dam, czemu nie. Tylko ostrzegam, fragment nie da obrazu całości za grosz, tak jak nie dostrzeżesz piękna i harmonii w katedrze, oglądając fragment stłuczonego witraża. Zważywszy, że w mojej metapowieści, w mojej powieści absolutnej znajdują się wszystkie style, wszystkie konwencje, wszystko to, co nienapisane, gdy przeczytasz część, która jest akurat historycznym romansem, za nic nie przyjdzie ci do głowy, że dalej będzie strumień świadomości. – Zrobiłem pauzę, aby podkreślić suspens. – A tak naprawdę, moja droga, wszystko to jest o mnie. Niczego w końcu na świecie nie poznam oprócz samego siebie, dlaczego więc coś innego miałoby mnie interesować? A ty i tak nigdy nie będziesz wiedzieć, w którym miejscu znajduję się ja, a w którym mój bohater.

Pokiwała głową.

– Tym niemniej chcę taki fragment zobaczyć. Wybierz najlepszy. A teraz zmienmy temat. – Dotknęła mojej prawej dłoni. – Widzę tutaj ślad po obrączce. Jesteś żonaty?

Podłoga drgnęła, świeca na stoliku zachwiała się, koniak w kieliszkach zafalował. Nasz rejs się rozpoczął.

* * *

Dzień dobry, nazywam się R. i jestem bohaterem tego tekstu. Mawiają, że pierwsze zdanie jest najważniejsze, więc ja postanowiłem być po prostu uprzejmy. Takie rozpoczęcie wydać się może niestosowne, zapewne. A ja, nie istniejąc, obdarzony jestem jednak wolą i znużyła mnie udawana dekoracja literatury. Nie zmierzili was jeszcze ci wszyscy składający

się tylko z liter bohaterowie, którzy przechadzają się na kartkach książek z błogą nieświadomością marności swojej egzystencji, udając żywych, prawdziwych ludzi? I ci nieuczciwi autorzy, którzy zgrywają się, udając, że ich nie ma lub są kimś innym? Ach, jakże to miło, pisarzyno, siedząc sobie na kanapie w opinającym wielkie brzuszysko brudnym podkoszulku, dokonywać czynów wielkich i wiekopomnych w pierwszosobowej narracji! Albo tobie, naiwniaku i frajerze, który w akcji twórczym (bo przecież nie wtedy, kiedy kto inny czyta twoją książkę) poczuć się możesz wtajemniczonym w sekrety tego świata. Ty, na którego nawet nie spojrziała z pożądaniem żadna kobieta, łamiesz serca jak zapalki, ty, którego pobiły gnojki z gimnazjum, z wprawą wywijasz szablą, a z pistoletu trafiasz muchę w oko. Możesz być mędrce, jakich mało – bo przecież tak niewielu ludzi wie, jak łatwo udawać erudycję, prawda?

Mój Autor jest przynajmniej na tyle w porządku, że nie ukrywa swojego istnienia. Ba, przyznaje się do niego otwarcie – siedzi teraz w kabinie liniowca „Cesarzowa Zofia” i płynie z Europy do Nowego Świata. Zbieżność inicjału mojego imienia z imieniem autora (sprawdźcie sobie na okładce) jest zapewne nieprzypadkowa, chociaż ja imienia nie posiadam, autorowi się nie chciało i wymyślił mi tylko to eleganckie, nieco dekadentkie „R” z kropką. Jeżeli inicjał się nie zgadza, to znaczy, że dalej będzie na tyle mocna literatura, że autor musi występować pod pseudonimem.

Zatem ja, jako alter ego autora, postaram się nie udawać. Oczywiście historia, którą wam opowiem, będzie zmyślona. Bo prawda jest taka, moi drodzy: nie jest tak na świecie, że pisarze wypełniają potrzeby czytelników, czytelnicy zaś stanowią o sensie bycia pisarzem. Nie ma grup bardziej z natury skonfliktowanych niż literaci i ich czytelnicy. Czytelnik chce na kartach książki doświadczyć czegoś – poznać jakąś historię, która interesuje go tak, jak kraksa samochodowa z trupami interesuje gapia na ulicy. Albo chce zrozumieć fragment rzeczywistości, ukraść autorowi małą część boskiego natchnienia, platońskiego *noezis*, którego pisarz rzekomo miałby doświadczyć. To oczekiwania czytelnika – tymczasem pisarz chce opowiadać tylko o sobie, swoim wnętrzu, chce, aby jak najwięcej ludzi zajrzało mu do środka. Pisarz jest ekshibicjonistką na fotelu ginekologicznym, który prosi przechodniów, by do niego/niej zaglądali. Pisarz i czytelnik są więc z samej istoty swoich ról pogrążeni w głębokim konflikcie, w wielkiej wojnie, jak bandyta i policjant. Bez siebie nie mogą istnieć – bez policjantów nie ma bandytów, bo nie ma prawa, które można przekraczać, bez bandytów nie ma policjantów, bo i po co by komu byli? Wojna między pisarzami i czytelnikami ma swoich bohaterów – samotnych grafomanów, tworzących z zaciętymi minami w swoich zatęchłych norach, i składających ofiary na ołtarzach osobistego radykalizmu i ortodoksji. Grafomani są integralni, nie idą na kompromisy, spotyka ich też los, jaki dotyka każdego samotnego bohatera – zapomnienie, nędza i poniżenie. Jak na każdej wojnie są i zdrajcy, czyli ci, którzy poddają się bez walki. Pisarze, schlebający gustom, piszący ciekawe historie. Czytelnicy, udający, że interesuje ich literatura i czytający Joyce’a – co przecież się nie

zdarza, bo literatura jest równie interesująca, jak, na przykład, księgowość. Interesujące są historie opowiedziane w książkach albo pieniądze, o których pisze się w księgach rachunkowych. A jednak niektórzy udają i czytają książki o wnętrzu pisarza. Niektórzy zdrajcy zachowali resztki przyzwoitości i oficjalnie przyznając się do wyrafinowanego gustu, w cichości swojego zacisza czytują książki pisarzy zdrajców. A cała koegzstencja opiera się na za każdym razem wątpliwych kompromisach, z obu stron.

A zatem, czyniąc zadość wyłożonym w poprzednim akapicie zasadom, zaczynam w tym miejscu historię.

Wszystko miało swój początek jeszcze zanim moja żona mnie opuściła. Mieszkaliśmy wtedy w ślicznym, przytulnym mieszkanku. Niewielkim, na drugim piętrze starej kamienicy. Znajdowało się całkiem niedaleko restauracji, w której zwykliśmy urządzać tańce. Muzykę puszczaliśmy z płyt gramofonowych lub przygrywało nam kilku zaprzyjaźnionych muzyków – a oprócz tego alkohol, tytoń i ludzie, w których towarzystwie czuliśmy się w cudowny sposób swobodni. Razem się upijaliśmy, w stanie cudnej symbiozy – bez kłótni, bez sporów, bez scysji i spięć nawet. Aż któregoś razu, gdy świętowaliśmy powrót któregoś z naszych przyjaciół z długiej podróży, Monika zatańczyła ze mną. Nie była jedną z tych kobiet, które zawsze pojawiały się na naszych zabawach, przyprowadził ją któregoś razu jakiś znajomy i zaczęła czasem wpadać, chociaż nie należała do ścisłego grona naszych przyjaciół.

Czułem, jak w moich żyłach płynie alkohol, ale nie byłem otepiały, to był ten rodzaj upojenia, który wyostrza i wzmacnia percepcję, nie otepiając zmysłów, nie owija głowy w miękką, obojętną watę, lecz podkreśla wszystkie kształty i dźwięki. Było ciemno i głośno. Orkiestra dawno poszła już spać i ktoś puścił długogrającą płytę z zestawem tang. Prawie wszyscy już poszli, tylko Antoni siedział gdzieś przy stoliku i flirtował z kelnerką, której po pracy nie chciało się iść do domu. Godzinę temu odprowadziłem do domu żonę, spała już w sypialni, spokojnie, otulona kołdrą – wiem, sam przykryłem jej nagie ramiona i wróciłem.

Było jeszcze kilku przyjaciół czy znajomych, tańczyły trzy albo cztery pary, zmienialiśmy się parach co dwa tańce, śmiali się i bawili. W ustach trzymałem różę, którą podawaliśmy sobie w tangu. Potem zostaliśmy sami. Tańczyliśmy długo, gdy kończyła się płyta, ja zastygłem, a ona podnosiła igłę i puszczala to samo powolne tango raz jeszcze.

I tańczyliśmy. Coraz wolniej i coraz bliżej. Nasze policzki były blisko, czułem jej oddech. I czułem jej biodra, opierałem na nich dłonie. Już nie słyszałem muzyki, słyszałem tylko, jak oddycha, coraz szybciej i głośniejsze. Była coraz bliżej, widziałem jej podniecenie, rozszerzone oczy, rozwarte usta. Otoczyłem ją ramionami, a ona przywarła do mnie całym ciałem. W którymś momencie przekroczyłem tę nieostrą granicę między tańcem, nawet pełnym ujętej w pewne umowne ramy, dopuszczalnej erotyki, a pożądaniem, czystym, zwykłym pożądaniem.

Nic nie było ważne. Kochałem przecież moją żonę, ale nie myślałem o tym. Zapomniałem. Nic dookoła nie istniało, muzyka już nie grała, gramofon tylko miarowo szeleścił, bo ciągle obracała się milcząca płyta. Już nie tańczyliśmy, staliśmy tylko, sklejeni

ze sobą, dysząc, pochłaniając się dłońmi, spijając swoje oddechy. Nasze wargi się nie spotykały, ale ja nie myślałem wcale o pocałunkach, dotykałem tylko jej piersi i pragnąłem. Antoni patrzył na nas zza stolika, pijanym, niewidzącym niczego wzrokiem.

Ale coś nas wtedy powstrzymało. Ja szepnąłem: „Koniec, koniec”, a Monika odpowiedziała miękko i z trudem: „Wracaj do żony”. Nagle spadła zasłona i już pamiętałem. Cofnąłem dłonie. Ona oparła ręce na mojej piersi, jakby chciała mnie odepchnąć. Ale dalej staliśmy, tak samo blisko siebie, jakby stopy wrosły nam w ziemię. Chciałem już iść, odwrócić się, uciec, ale nie mogłem się ruszyć. Sądziłem, że gdy odejdę, coś upadnie, strzaska się, ten hipnotyczny rytm, w którym ją znalazłem, zniknie, a ja chcę, żeby trwał. Staliśmy, nic już nie mówiąc, słuchałem jej oddechu. Coś tak mocno nas przyciągało, łączywało, jakby ktoś oplatał nas niewidzialną pajęczyną. Wreszcie odwróciłem się powoli i odszedłem, uśmiechając się, a przecież czułem, jakbym rozdzierał własną skórę.

Później, gdy leżałem już w łóżku obok mojej Anny, próbowałem sam siebie przekonać – przecież do niczego nie doszło, nic się nie stało, tańczyliśmy, trochę się przytulaliśmy, nic więcej. W pewnym sensie to prawda – nawet jej nie pocałowałem. Ale wiedziałem, że kłamię.

Nie umiałem o tym zapomnieć, bo moje dłonie pamiętały. Nie umiałem tego znieść, wstałem więc z łóżka, ubrałem się pospiesznie, zabrałem papierosy i wyszedłem, chciałem pochodzić po ulicach, palić papierosy i cieszyć się gorącą, letnią nocą, cieszyć się ciepłem, które oddaje nocy rozgrzany za dnia bruk, cegły i beton, cała tkanka, materia, z której składa się miasto.

Wyszedłem więc, a Monika siedziała na klatce i czekała na mnie. Co jej powiedziało, że wyjdę? Skąd wiedziała? Tego było już nadto. Chciałem ją tylko odprowadzić, ale gdy podałem jej dłoń, by podniosła się ze schodów, i zetknęły się nasze palce, przebiegł mnie dreszcz. A ona wstała i wpiła się w moje usta. Oparłem ją więc o ścianę, ona otoczyła moją szyję ramionami, chwyciłem ją za uda, podsadziłem, opasała mnie nogami w pasie. Bielizny nie miała.

Zatraciłem się zupełnie w pożądaniu. Nie obchodziło mnie, co pomyślą sąsiedzi, nie zastanawiałem się, czy ich nie obudzę. Nie usłyszałem też szmeru podnoszonego judasza ani gwałtownych kroków i hałasu w moim mieszkaniu. Dopiero gdy drzwi z numerem „7” otwały się powoli, skrzypiąc, odwróciłem się raptownie, zaskoczony i wysunąłem się z Moniki. W korytarzu mojego mieszkania stała moja żona. Była w eleganckiej nocnej koszuli i jedwabnej podomce, spokojna, a oczy miała zimne jak lód, szare i zdecydowane. Żadne tłumaczenia nie mogły pomóc, nie wiedziałem więc, co powiedzieć. W dłoni trzymała mały rewolwer, który dałem jej na dwudzieste szóste urodziny. Bez słowa i powoli chwyciła broń oburącz, wycelowała i nacisnęła spust. Huk wystrzału, zwielokrotniony przez lite ściany, ogłuszył mnie, lecz nie zostałem postrzelony. Celowała we mnie, widziałem to w jej oczach, lecz pierwsza kula nie trafiła, wybijając dziurę w tynku po mojej lewej stronie. Anna skorygowała więc w prawo i strzeliła zaraz ponownie, dwukrotnie – znowu mnie chybiając.

Tym razem kule ominęły mnie z prawej strony i trafiły panicznie usiłującą się ubrać Monikę w odsłoniętą, nagą pierś. Dziewczyna z jękiem osunęła się po ścianie, zostawiając na niej krwawy ślad.

St...

* * *

To był miły wieczór. Rozstaliśmy się, rozbawieni, przeszliśmy do mojej kajuty, gdzie wręczyłem Natalii kilka kartek z maszynopisu. Następnie odprowadziłem ją do kabiny i wyszedłem na pokład, odetchnąć mroźnym, morskim powietrzem. Pełniący wachtę oficer poinformował mnie, że właśnie mijamy Skagerrak. Wzruszyłem ramionami i zszedłem do siebie. Wyciągnąłem butelkę z burbonem, nalałem sobie pół szklanki, postawiłem na biurku maszynę do pisania, zapaliłem papierosa, odłożyłem do popielniczki – zawsze pozwalam, by pierwszy papieros przy pisaniu spłonął bez mojego udziału, lubię zapach nieprzepuszczonego przez płuca tytoniowego dymu. Spojrzałem na mojego kontinentalę z miłością. Jakże kocham te okrągłe klawisze, ten miły, krótki i stłumiony klang przy pisaniu, świadczący o wysokiej klasie mechanizmu, lubię sprawdzać, jak przy powolnym naciśnięciu klawisza powoli podnoszą się ramiona z czcionkami. Poglądziłem czarny, lakierowany metal, wkręciłem w maszynę kartki przedzielone kalką, spojrzałem w sufit, wsłuchałem się przez chwilę w stłumiony szum parowych turbin, które napędzały statek i jak wirtuoz przed koncertem zawiesiłem palce nad okrągłymi klawiszami.

* * *

...ałem ja...

* * *

Serdeczny palec lewej dłoni, serdeczny prawej, środkowy lewej, wskazujący prawej, kciukiem trzasnąć spację, wskazujący, serdeczny, bach, bach, bachbach, bach, bach-bach, napisałem sześć liter plus spacja, gdy ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Nienawidzę ludzi.

– Proszę – warknąłem, odwracając się w fotelu.

Drzwi otwarły się i do kajuty zajrzała pokojówka. Gdy tylko zauważyłem czarną, skromną sukienkę z białym fartuszkim, odwróciłem się i chciałem wrócić do pisania. Dziewczyna odezwała się cicho:

– Czy szanowny pan życzy sobie coś do jedzenia lub może kawę?

Zirytowany odwróciłem się gwałtownie, żeby zrugać służącą, ale zanim krzyknąłem, zauważyłem, że dziewczątka jest całkiem wdzięcznej urody. Nie miała więcej niż

dwadzieścia lat, czarne jak smoła włosy związała ciasno na karku. Nawet zgrzebny uniform pokojówki nie zamaskował smukłej, dziewczęcej figury. Odruchowo wyobraziłem sobie, że ma niewielkie, sterczące piersi piętnastolatki, po czym powiedziałem miękko:

– Dziękuję, niczego nie potrzeba. Proszę tylko zabrać stąd te śmieci – wskazałem na stertę papierów, które ułożyłem na łóżku podczas rozpakowywania bagaży. Owinąłem w nie różne drobiazgi, wkładając je do walizki. Dziewczyna skinęła tylko głową, weszła do kabiny i zabrała papierzyska, zamykając za sobą drzwi, starannie, by nawet nie klapnęły. Odwróciłem się do maszyny, pociągnąłem solidny łyk alkoholu i zacząłem pisać. Ach, uwielbiałem patrzeć, jak moje palce uderzają w klawisze maszyny z wprawą i wirtuozerią. Czasem, gdy piszę, miewam wrażenie, że to moje dłonie piszą, nie ja – patrzę sobie, podziwiam, jak zręcznie stukam w przyciski, zaś moje ręce tworzą tekst, a ja czytam go na bieżąco, jak pojawiającą się litera po literze depeszę z dalekopisu. I wtedy również słowa płynęły spod moich palców, jakby umysł nie miał w tym żadnego udziału i zajmował się wyłącznie obserwacją. Bach, bach, bach-bach-bach, bach, pisałem, z każdym siarczystym zamachem ramienia z czcionką na papierze pojawia się litera, mocno i równo odcisnięta. Och, nie każdy wie, że na maszynie można pisać *allegro*, nawet *eon fuoco*, można *andante*, przeciągając słowa i frazy w łagodnym *legato* aż do *largo*. Litery mogą brzmieć gdzieś pomiędzy przeciętnym *mezzo piano* a *mezzo forte*, ale mogą przecież wspinać się na ostre kontury najbardziej zdecydowanego *fortissimo* lub znikać w melancholijnym *calando*, od *piano*, przez *pianissimo* do bieli. Znajomy redaktor z pewnego wydawnictwa z całą powagą twierdził, że w muzyce maszyny do pisania potrafi wychwycić rytm, charakteryzujący dobrą literaturę. Dlatego tyle przesiadywał w literackich kawiarniach, słuchając starych, przenośnych maszyn Remingtona, które za grosze kupowali w lombardach początkujący literaci. Mój continental wygrywał swoją ekstrawagancką, rytmiczną melodię takt za takt.

* * *

...k wmurowany. Ani zostały jeszcze w rewolwerze trzy kule, ciągle trzymała broń wysoko, mierząc w moją stronę. Z lufy unosiła się strużka niebieskawego dymu. Nie ruszałem się. Moja żona powoli przesunęła rewolwer w lewo, przymknęła lewe oko i wymierzyła starannie. Teraz nie chybi, wiedziałem to na pewno. Zamknąłem oczy i z drzeniem czekałem na strzał. Zamiast tego usłyszałem obok siebie cichy jęk – Monika jeszcze żyła. Otworzyłem oczy. Anna już nie celowała do mnie, opuściła broń, rozwarła palce, rewolwer sam wysunął jej się z dłoni i upadł na podłogę. Patrzyła na raną, obnażoną dziewczynę i widziałem, jak powoli zdaje sobie sprawę z tego, co zrobiła. Nagle runęła w jej stronę. Z przerażeniem w oczach ułożyła Monikę płasko na podłodze, i zaczęła drzeć swój szlafrok, jedwabnymi szmatkami starając się zatamować obficie płynącą krew. Oszolomiony, nie wiedziałem, co zrobić, stałem więc tam dalej, z otwartymi ustami – musiałem wyjątkowo

żałośnie wyglądać, z rozdziawioną gębą, rozpiętymi spodniami i rozchełstaną koszulą. Anna podniosła głowę i wrzasnęła:

– Sprowadź lekarza, idioto!

Zapinając spodnie, zbiegłem po schodach. W drzwiach stali sąsiedzi, których obudziły strzały, ja jednak nie zwracałem na nich uwagi, pędziłem ku drzwiom M., dowódcy straży pożarnej, który mieszkał na parterze i z racji wykonywanego zawodu posiadał telefon. Jego również obudził huk; gdy nacisnąłem przycisk dzwonka elektrycznego, on otwierał już drzwi, zaspany. Zanim zdążył zapytać: „Co się stało?”, krzyknąłem, odpychając go i biegnąc do telefonu:

– Wypadek, trzeba sprowadzić lęka...

* * *

Rozwinąłem temat i udało mi się już wprowadzić w ten cudowny stan, w którym cała świadomość skupia się w tym niewielkim okienku, w które z zamachem uderzają wajchy z literami, zaraz po tym, gdy raptownie wyskoczą ze swojego półkolistego amfiteatru, w którym leżą uporządkowane, czekając na swoją kolej. Znika wtedy wszystko dookoła, zostają tylko palce, uderzające w klawisze, i oczy, skupione na pojawiających się pojedynczo literach. Cały zanurzam się w słowach, żyję w zdaniach, oddycham powietrzem, którym oddychają moi bohaterowie, a oni klepią mnie konfidencjonalnie po plecach.

I wtedy zawsze dzieje się coś, co wytrąci mnie z tego twórczego uniesienia czy raczej zatopienia.

– R., otwieraj, idziemy tańczyć! Otwieraj, artysto! – krzyknęła zza drzwi Natalia, śmiejąc się głośno. Zapukała dwa razy, a następnie przekreśliła klamkę, wchodząc bezceremonialnie. Mruknąłem coś pod nosem, wściekły, i odwróciłem się z powrotem do maszyny. Liczyłem, że to zniechęci moją nowo poznaną towarzyszkę podróży i zmusi ją do odejścia. Oczywiście nie miałem zamiaru nigdzie wychodzić, siadłem do pisania i nie zamierzałem się od niego odrywać. Tymczasem Natalia, niezrażona, podeszła i przysiadła na skraju biurka, opierając obutą w pantofelek na wysokim obcasie stopę na poręczy mojego krzesła. Leżąca się suknia z niebieskiej satyny ześlizgnęła się z uda, odsłaniając przytrzymywane koronkowymi podwiązkami pończochy. Tego było już za wiele. Delikatnie ściągnąłem nogę Natalii (prześliczne ma uda, cudnie sklepione łydki) z krzesła i zdecydowanie odsunąłem ją od siebie.

– Moja droga, jestem zajęty, proszę, nie utrudniaj mi pracy. Jeżeli nie będzie ci przeszkadzać brak konwersacji z mojej strony, proszę, siądź sobie na kanapie, możesz patrzeć, jak tworzę. Ale, błagam, nie rozpraszaaj mnie rozmową – powiedziałem suchym, zimnym głosem.

Oczywiście, nie chciałem stracić zainteresowania kobiety tak atrakcyjnej, jak ona. Wiedziałem po prostu, że kobiety zdecydowane i pewne siebie nudzą się mężczyznami

wpatrzonymi w nie jak w malowane wrota, gotowymi na każdą ich zachciankę. Mężczyzna pozornie obojętny na ich wdzięki, czasem nawet opryskliwy, jest dla nich wyzwaniem, stanowi test dla ich kobiecości, seksapilu i urody, test, którego nie można ominąć. Postanowiłem właśnie to wykorzystać. Poza tym, naprawdę chciałem pisać.

– R., nie graj niedostępnego i zimnego, z łaski swojej. Wstawaj, zrzucaj tę okropną bonzurkę, wkładaj wieczorowy strój, przetrzyj policzki wodą kolońską, bo podobał mi się ten zapach i chodź ze mną. Gentleman nie odmawia damie.

– A kto powiedział, że ja jestem gentlemanem? – droczyłem się z nią, a ona już wiedziała, że nie odmówię.

– A kto powiedział, że ja jestem damą? – odparła przekornie, przesuwając dłonią po biodrze.

– Temu, kto spróbowałby powiedzieć coś innego, wysłałbym sekundantów.

– Pojedykowałbyś się o mnie? – zapytała, nagle poważniejąc

– Wybacz, Natalio, ale pojedykowałbym się o honor każdej z dam, którą ktoś odważyłby się przy mnie obrazić.

– Jaaaasne – przeciągnęła. – Biłeś się chociaż kiedyś z kimś lub strzelałeś? – zapytała.

Jakoś nie było okazji, chociaż zawsze głośno oznajmiałem swoją gotowość do pojedynku. Nigdy nikt mnie nie wyzwał, a ja nigdy nie zostałem obrażony tak, by wymagało to pojedynkowania się. No, raz może, ale przez człowieka, który bez wątpienia zdolności honorowej nie posiadał.

– O tym się nie rozmawia z kobietami, wybacz – wybrnąłem dyplomatycznie.

– Oczywiście – uśmiechnęła się ironicznie. – A teraz bądź łaskaw się odziać, wychodzimy.

Próbowałem jeszcze protestować, ale zrozumiałem, że nie pozbędę się jej tak łatwo. Schowałem więc maszynę do kuferka i podszedłem do szafy.

– Garnitur wizytowy się nada?

– Nie masz smokingu? – zdziwiła się Natalia.

No tak, nie miałem smokingu. W domu kupiliśmy jeden, na spółkę z przyjacielem, który był podobnej budowy. Założyłem go może ze trzy razy, a w podróży nie zamierzałem prowadzić życia towarzyskiego, tylko w spokoju skończyć moją wielką powieść. Jak widać, moje postanowienie upadło już pierwszego dnia i na dodatek znalazłem się w głupiej sytuacji – nie pójde przeciw w garniturze na bankiet, na którym wszyscy noszą smokingi.

– Daj jakiś długi krawat – powiedziała moja nowa znajoma.

Zdziwiłem się, ale nie protestowałem, podałem jej mój ulubiony krawat, wiśniowy, z włoskiego jedwabiu, który chowałem na specjalne okazje. Dziewczyna bezceremonialnie podeszła do mnie, podniosła mi ramiona i objęła mnie krawatem pod pachami, następnie w pasie. Zaraz potem przyklękła, z twarzą bezpośrednio przy moim kroczu i zmierzyła mi długość nogawki. Byłem trochę skrępowany, co ją wyraźnie bawiło. Kiedy zauważyłem, że

zaznacza sobie długości paznokciem wyciągając nitki z pięknego jedwabiu mojego krawata, chciałem zaprotestować, lecz gdy tylko otworzyłem usta, popatrzyła na mnie kpiąco i dałem sobie spokój.

– Coś ci dopasuję, zaczekaj kwadrans.

Wróciła za pół godziny, ze smokiem w ręku. Rzuciła ubranie na łóżko, siadła w fotelu i powiedziała:

– Ubieraj się.

– Mogłabyś wyjść, Natalio, skoro mam się przebrać – zauważyłem nieśmiało.

Spojrzała na mnie z politowaniem, ale przeszła do pokoju obok. Rozebrałem się, przemyłem nad umywalką twarz, ręce i pierś. Uznałem, że trzeba się ogolić, więc wyciągnąłem brzytwę, przejechałem kilka razy po pasku i namydliwszy brodę i policzki pędzlem, jąłem skrobać zarost brzytwą. Wytarłem twarz z mydła, wklepałem w policzki sporo wody kolońskiej, spryskałem też nią chusteczkę oraz natarłem ciało. Jak nauczył mnie mój nieoceniony wujo – natarłem również plecy, mając dzięki temu pewność, że gdy, nie daj Bóg, spocę się w tańcu, będę ciągle świeży, a ciepłota ciała cały czas uwalniać będzie zapach perfum.

Nie zważając na to, że czeka na mnie kobieta – w końcu to ona zakłóciła dziś mój spokój – przyglądałem się sobie w lustrze. Obejrzałem profil, zeszkrobałem jakąś krostkę, która pojawiła mi się na czole, przeczesałem fryzurę i przyglądałem ją brylantyną. Uwielbiam swój widok w lustrze, mam świetnie zarysowaną szczękę, nie da się ukryć. Gdyby nie ten zadarty nos... Wyszczrzyłem zęby do lustra, obejrzałem je dokładnie, po czym wyszorowałem i obejrzałem raz jeszcze.

Byłem w samej bieliźnie, ale w lustrze nad umywalką nie byłem w stanie ocenić swojej figury, otworzyłem więc szafę, aby przejrzeć się w dużym, zawieszonym na drzwiach zwierciadle. Krytycznie spojrzałem na wystający brzuch, cóż – lata spędzone na krześle, przy maszynie do pisania, robią swoje, nic się na to nie poradzi. Tam, w okopach, na naszych głodowych, oficerskich racjach – miałem ciało jak Apollo Belwederski. W moim pięknym, wyjściowym mundurze przyjeżdżałem konno do francuskich wsi za linią frontu, a francuskie brunetki – Michelle, Anette, Marianna, Eva – topniały na sam widok przystojnego podporucznika. Ech, wspomnienia... Teraz też nie jest źle, w końcu to u kobiety ważny jest biust, talia, biodra i twarz, a u mężczyzny ważny jest mózg, i to właśnie w czasce znajduje się ośrodek mojego niewątpliwego, męskiego, dandysowskiego seksapilu, i tego nie zburzy nawet wystający brzuch. Wciągnąłem skarpetki, bo nie znoszę wkładać skarpetek, gdy mam już na sobie spodnie – chociaż używałem już takich nowoczesnych skarpet, ze ściągaczem, nie trzeba mi było podwiązek. W końcu włożyłem koszulę i spodnie, zapiąłem atłasowy hiszpański pas, zawiązałem jedwabną muszkę i założyłem marynarkę od smokingu. Miała tradycyjne szalowe klapy – świetnej jakości. Obejrzałem się w lustrze.

Wyglądałem doskonale. Smoking z pasem tuszował niedoskonałości figury, a przynajmniej nie wyglądałem już jak strach na wróble w kapocie. Wsunąłem więc wyjściowe, lakierowane trzewiki – i byłem gotów.

Wyszedłem do Natalii. Otaksowała mnie wzrokiem, od stóp po fryzurę. Przez chwilę jakby ważyła swoją ocenę, po czym powiedziała:

– *Excellent*. Podasz mi ramię?

Wystawiłem łokieć, ona z gracją ułożyła swoją dłoń na moim przedramieniu i opuściliśmy kajutę. Wychodząc, wpadliśmy prawie na pokojówkę – tę, która wcześniej zakłóciła mój spokój. Na mój widok dziewczyna pospiesznie spuściła wzrok, co mnie zaskoczyło. Natalia uśmiechnęła się złośliwie i dała mi kuksańca w bok, jakbyśmy byli przyjaciółmi od lat, a ona znała moją skłonność do romansów.

Sala balowa mieściła się gdzieś na górnym pokładzie, szliśmy przez chwilę ciemnymi korytarzami. Przystanęliśmy przed jednymi z identycznych, niewielkich drzwi, pchnąłem je – i z ogarniających nas ciemności wstąpiliśmy w jasność. Sala bankietowa była wielka, otwierała się przed nami jak przestworza, po klaustrofobicznych przestrzeniach kabin i korytarzy tutaj sufit nagle ulatywał daleko w górę, srebrząc się lustrzanymi dekoracjami kasetonów. Ciężkie żyrandole pałały kryształowym blaskiem, odbijając się po tysiącokroć w zawieszonych na ścianach lustrach, w srebrnej zastawie i noszonych przez damy diamentowych koliach. Wszyscy goście stali nieruchomo, jakby padł na nich jakiś czar – i nagle pianista wzniosł i opuścił dłonie, i po pierwszym takcie melodii wypełniający parkiet tancerze zafalowali, po czym rozpierzchli się w quickstepie, porwani zawodzeniami puzonu i saksofonów, dyktowanym przez kontrabas rytmem i eleganckim szumem pieszczących perkusję miotełek. Muzycy siedzieli ze swymi instrumentami na podium, wszyscy odziani w czarne smokingi. Tylko jeden z nich, młody Murzyn, nosił smoking w kolorze złamanej, kościanej bieli. Stał teraz tyłem do publiczności, bezgłośnie wystukując rytm na lewym udzie. Trzema palcami prawej dłoni trzymał trąbkę. Po kilkudziesięciu taktach czuł już muzykę, kiwał się delikatnie do rytmu, jego palce delikatnie pieściły (wentyle, przyciski, zawory) niemej jeszcze trąbki – nagle podniósł ją do ust i odezwał się, burząc rytmiczny nastrój frenetycznym skowytym, który zaraz w szalonym *glissando* ześlizgnął się do falującego trełu. Trębacz przechylił się do tyłu, celując trąbką w sufit, po czym odwrócił się na pięcie, zwracając się do sali. Grał z zamkniętymi oczami, policzki wydymały się jak kowalskie miechy i tłoczyły w mosiężne rurki powietrze, które uciekało rozedrgane w tercjach, harmoniach i kontrapunktach. Ci, którzy nie tańczyli, nagrodzili to brawurowe wejście rzęsistymi oklaskami, po chwili Murzyn grał już spokojniej, delikatnie, na pół długości wysuwając się przed resztę orkiestry, subtelnie przewodząc i prowadząc improwizację jakby mimochodem, lecz zdecydowanie. Tancerze krążyli po parkiecie w szybkim rytmie quickstepa, urozmaiconym przeróżnymi, na bieżąco chyba opracowywanymi figurami.

Pełne cekinów suknie, czarne męskie ubrania ze śnieżnobiałymi gorsami koszul, błyszcząca biżuteria z brylantów i zaczesane na brylantynie włosy, gładką linią opisujące czaszki mężczyzn, stukot wysokich obcasów i elegancko skrzypiące skórzane podeszwy lakierok, kryształowy brzęk kieliszków, perliste śmiechy i basy, bawiące towarzystwo anegdotami. Wszystko to wypełniało bankietową salę i mieszało się w powietrzu kolorowymi smugami luksusu, szampana, szyku i stylu.

Chwilę staliśmy przy ścianie, zamknąwszy za sobą drzwi. Gdy podwójna stal odcięła nas od ciemnej ciszy korytarza, pochłonął nas żywioł balu. Nie znałem tam nikogo, musiałem zdać się na Natalię w kwestiach towarzyskich, musiałem pozwalać na to, by mnie przedstawiała i prezentowała tym, których uzna za wartych zapoznania ze mną, lub tych, których warty jestem ja. Nie chcąc występować w roli jej pupila, przejąłem inicjatywę na innej płaszczyźnie. Z tacy przechodzącego kelnera porwałem dwa kieliszki z szampanem, podałem jeden mojej towarzyszcze.

– Za zapomnienie – powiedziałem, spoglądając jej w oczy.

Zaśmiała się perliście.

– Cudownie, za zapomnienie!

Unieśliśmy smukłe kieliszki i wypiliśmy nasz toast. Natalia wzrokiem przywołała innego kelnera, odstawiła na jego tacę puste szkło, biorąc jednocześnie drugiego szampana, ja zrobiłem to samo.

– Niech żyje zmiana, precz z trwałością – powiedziała.

Wypiliśmy. Podałem jej dłoń i poszliśmy na parkiet. Przetańczyliśmy zaledwie kilka taktów, gdy orkiestra zakończyła utwór – tylko trębacz cicho ciągnął swoją melodię, zanurzony w muzyce. Tancerze przestali tańczyć, nie było już rytmu, tylko wibrująca pomiędzy kryształami i srebrem fraza, kilka rozszlochanych nut. My również stanęliśmy, a ja zaczęłem myśleć o uciekającej melodii trąbki, coraz cichszą, łkającą, gdy muzyk raz za razem poruszał tłumikiem. I stałbym tak dalej, bo widziałem, że melodia już nie należy do trębacza, lecz trębacz do melodii, wiedziałem, że teraz to muzyka dyktuje warunki i nawet gdybyśmy wpaść mieli na lodową górę i tonąć, to on będzie grał. A ja chciałem słuchać, tak jak on musiał grać. Muzyka ma w sobie coś kobiecego, dlatego uwodzi raczej mężczyzn, kobiecie może się podobać melodia, ale nigdy nie ulegnie tej rozlewającej się namiętności, jakiej tak łatwo poddają się wrażliwi na dźwięki mężczyźni. Dlatego moja towarzyszka nie czuła chyba tego, co ja – stała tam, bo wszyscy stali, więc uznała, że tak wypada. W końcu jednak inni muzycy, kiwając ze zrezygnowaniem głowami, zostawili swojego kolegę pochłoniętego melodią, cichutko teraz wyśpiewywaną przez mosiężny instrument, tak samo słuchacze – gdy uznali, że już dość zachwycania się muzyką, zaczęli się powoli rozchodzić, wracając do swoich stolików.

Po co chodzi się na bale? Łatwo dać zwieść się pozorom – jest alkohol, jest muzyka, jest taniec, chociażby frenetyczny walc wiedeński, niekończącą serią obrotów wprawiający w

trans. Czyżby bal był dalekim echem dionizjów? Czy te zmysłowe, ale zakute w jedwab i batyst wieczorowych sukien damy, czy ci silni, związani fularami, muszkami i krawatami mężczyźni, poprawiający poły fraka, nim usiądą na krześle, czy przypominają w czymś tych, co nosili wieniec z winnej latorośli na bachanaliach? Czy lśniące od brylantów kobiety mogłyby rozedrzeć koźlę, by pić jego krew, a potem kopulować z kobietami i mężczyznami, podróżować za Dionizosem z Lidii do Grecji, czcząc tego boga uniesień, syna rażonej boskim gromem Semele? Czy wystarczyłoby wymienić klarnety i oboje na aulosy, by nagle elektryczne, błyszczące żyrandole zapłonęły dymiącym światłem pochodni, by zamiast brylantów z wyperfumowanych szyj ciężko zwisły uplecione z winnych liści łańcuchy, by dystyngowany uchwyt w walcu zamienił się w wyuzdany uścisk?

Ale nie – oto kolejne *pas* w walcu stawia para, w której mężczyzna brzydzi się swojej partnerki, pozostając jej zupełnie obojętnym. Oto młodzieniec, piękny i smukły, przyciska do swojego torsu zwiotczale, pomarszczone ciało staruszki, która w swych pudrach, szminkach i diamentach przypomina aztecką mumię. Wiedźma cieszy się, odsłaniając sztuczne zęby, a chłopiec uśmiecha nad jej ramieniem do dziewcząt, które wiedzą, że czekać muszą na swą kolej. A dalej, przy stole, dwaj wrogowie, fabrykanci, obaj produkujący aluminiowe łyżki dla wojska... Jeden z nich wygrał konkurs na wielkie armijne zamówienie i teraz w przetargu dla marynarki wojennej planuje zaoferować cenę tak niską, że sporo na tym straci. Ale on może sobie na to pozwolić a jego wróg już nie. A jak pan znajduje tego czarnego trębacza, który grał tutaj przed chwilą? I jego fabryka upadnie, a on sam będzie musiał przyjąć upokarzające stanowisko dyrektora czyjogoś zakładu. Oliwek szanownemu koledze? Może nawet przyjdzie do niego? A może łososia? Proszę bardzo. Nie wie, że drugi fabrykant jest spokojny, bo zaplanował już cios. Świetny ten łosoś. Świeżo złowiony. Trzech wynajętych detektywów śledziło zwycięzcę przetargu na sztuce dla wojska przez kilka miesięcy. Bez trudu odkryli dziwaczne preferencje obleśnego starucha, którym folgował w specjalnie ku temu wynajmowanych garsonierach. No więc nieźle grał ten Murzyn, nieźle. Przekupili kilku dozorców, kilka prostytutek i specjalnym, kupionym w Anglii szpiegowskim aparatem zrobili zdjęcia. Nie wiedział, głupiec, że przetargu nie może wygrać, gdyż szef komisji, admirał V. z obrzydzeniem obejrzał kilka fotografii. Nie wiedział, głupiec, że lotniczą pocztą podróżują już uprzejme r.s.v.p.: „Z żalem zawiadamiam, że pan... nie przybędzie na bankiet z powodu ważnego spotkania służbowego”. Od wszystkich trzydziestu zaproszonych gości. Nie wiedział, głupiec, że jego piękna i młoda żona siedzi właśnie w pociągu do Wiednia, z twarzą ukrytą w dłoniach. Wszystko to szeptała mi do ucha Natalia, która jak cicerone prowadziła mnie po zaułkach i uliczkach skomplikowanej matrycy towarzyskich zależności. Znała wszystkich, wszyscy znali ją, uśmiechy, ukłony, układ. Zrozumiałem, czym jest bal. Regularną ewaluacją elity, odnowieniem matrycy, aktualizacją zależności. Kongresem, na którym zawiera się koalicje i zrywa sojusze. Polem bitwy, na którym uderza się i okopuje na pozycjach obronnych. Sekwencja naszego krążenia po parkiecie tylko pozornie była

chaotyczna i przypadkowa. Kolejność podchodzenia do różnych grup i poszczególnych osób była, jak objaśniła mi Natalia, krytycznie istotna. Sekwencja powitań i uśmiechów bezwzględnie określa miejsce, w którym się znajdujemy na tej wielowymiarowej osi współrzędnych, jaką jest sieć towarzyska.

I pniemy się przez tę matrycę z Natalią. To, co z zewnątrz wygląda jak bezładne błądzenie po sali, w rzeczywistości ma określony wektor i kierunek; pokonujemy kolejne stopnie drabiny, aby w końcu znaleźć się w najwyższym kręgu. Pan B., któremu Natalia wspomina o znajomości z wielo znaczącym panem K, uznaje, że nie ryzykując swojej towarzyskiej pozycji, może nas przedstawić panu W. Co też czyni, a z kolei pan W., ujęty ciekawą konwersacją i rekomendacją pana B., przedstawia nas panu Z. Aż w końcu dochodzimy na sam szczyt, ten prawdziwy, bo inni goście na balu jeszcze nie wiedzą, że tych czterech rozbawionych mężczyzn, przy których stoimy z kieliszkami w dłoniach, to ci, w których dłoniach zbiegają się sznurki, przyczepione do marionetek. A marionetki stoją nieopodal, w glorii chwały, są gośćmi honorowymi, na kontynencie zaś zasiadają w gabinetach pierwszych ministrów, prezydentów i kanclerzy. Ciągnę więc zwykłą bankietową konwersację, która jest sztuką i jako taka musi być praktykowana od niechcenia.

Ślizgaliśmy się po tematach, delikatnie wyszukując różnice zdań, aby je z wdziękiem wypunktować, podkreślić, po czym zgasić, zlekceważyć, co dodaje rozmowie wdzięku i szlachetności. Kiedy, z uśmiechem puentując któryś z kolei temat, odwróciłem się, aby sięgnąć po kolejny kieliszek szampana, ze zdziwieniem stwierdziłem, że kelnerką jest pokojówka, która weszła ostatnio do mojej kabiny. Odstawiłem puste szkło na tacę – musnęła przelotnie i matowo moją dłoń. Wróciłem do rozmowy, którą ciągnęliśmy, aż panowie zaprosili mnie i, wyjątkowo, Natalię do klubu-palarni, na spotkanie przy cygarach i whisky.

Wyszliśmy po kwadransie i udaliśmy się do tam, gdzie nas zaproszono. Moja towarzyszka nachyliła się do mojego ucha i wyszeptała:

– Widzisz, mój drogi, rzecz w tym, aby znaleźć się po dobrej stronie Europy. Popeliłeś jakąś zbrodnię, więc uciekasz, tymczasem oni mają na sumieniu po tysiakkroć więcej i nie uciekają. Wszystko jest kwestią nastroju – zaśmiała się, a ja zamarłem.

Skąd mogła wiedzieć? Ja sam już prawie o tym zapomniałem – było to zapominanie aktywne i świadome, mimo to – skuteczne. Gdy stałem jak wryty, pociągnęła mnie za rękę.

– Chodźże, głupcze, nie odkryłam żadnych twoich sekretów, każdy ma na sumieniu jakąś zbrodnię – śmiała się dalej.

Poszedłem więc. Siedzieliśmy potem w głębokich fotelach, delektując się cygarami i sącząc koniak. Zrozumiałem, że Natalia robi mi prezent. Muzyka, bal z wytwornym alkoholem, piękna kobieta, wreszcie poczucie uczestnictwa, chociaż absurdalnego, to rzeczywistego, we władzy, tej prawdziwej, jakiej pragnie każdy mężczyzna. Władzy bez przepychu, władzy istotnej, tajemnej, zakulisowej. Byłem nikim, tymczasem siedziałem w fotelu obok wielkich tego świata, wysłuchując rozmowy, z której każda wypowiedziana

kwestia, przez sam fakt, że jej wysłuchałem, czyniła mnie potężnym. Ot, mówi jeden z czterech panów: stary Kniebolo zamierza uderzyć na Belgię. Belgię zdobędzie oczywiście prawie bez oporu i zamknie granicę, co sprawi, że Belgowie nie będą kupować wełny z Australii, która bezpośrednio zacznie trafiać na nasz rynek. Z tego powodu największy krajowy producent wełny, Heiss, zbankrutuje w przyszłym miesiącu. Już się z tym pogodził, bo rząd zaproponował mu wykupienie akcji, które polecą na łeb na szyję, za połowę ceny emisyjnej. Dlatego teraz Heiss czeka, aż w świat pójdzie wiadomość o bankructwie i akcje potanieją o kilkadziesiąt procent – wykupi je za bezcen i zarobi na własnym bankructwie. Taka informacja, właściwie zrozumiana, mogła uczynić mnie bogatym, mogła dać mi władzę. Władza jest wiedzą, chociaż sama wiedza nie jest władzą, bo trzeba jeszcze woli.

Siedząc na fotelu w palarni, byłem potężny, mogłem doprowadzić do upadku niejeden europejski rząd, wywołać wielki skandal w każdym prawie kraju, żyć dostatnio do końca życia, zarobiwszy fortunę na jedynym interesie. Ale żadna z perspektyw realizacji możliwości nie była nawet w połowie tak atrakcyjna, jak samo trwanie w możliwości. Jak świadomość posiadania. Boskość władcy w pełni objawia się, zanim ten wyda rozkaz; władza ukazuje swój majestat najbardziej, gdy może władać. Samo władanie jest czymś tak przyziemnym, że powinno nazywać się raczej realizowaniem prerogatyw albo inaczej, równie okropnie.

W końcu, upojony koniakiem, cygarami i wiedzą, poszedłem do pokoju. Nie zadawałem sobie pytania: „Dlaczego?”. „Dlaczego” jest wyrazem dekadencji i nihilizmu, a mnie wtedy wypełniała czysta wola mocy. Kobieta, która jeszcze godzinę wcześniej jednoznacznie nade mną górowała, była moim ironicznym cicerone, moją szyderczą przewodniczką, teraz szła przy moim boku, wpatrzona we mnie, chłonęła mnie, całą moją obecność. Upajało mnie to coraz bardziej, nie szedłem, lecz stąpałem. Nawet w korytarzu ktoś ułożył czerwony dywan.

Gdy wszedłem do pokoju, wydał mi się elegancko skromny. W kajucie sypialnej nalałem sobie jeszcze jeden kieliszek koniaku, a wtedy ona wyszła z łazienki. Naga, miała na sobie jedynie pończochy i szpilki.

Widoku takiej kobiety, jak Natalia, która pełnym seksu krokiem zbliża się do łóżka, nie zniesie obojętnie żaden mężczyzna.

A ja kazałem jej się ubrać i pójść do siebie. Z tego samego powodu, dla którego władza najśłodziej smakuje przed wydaniem rozkazu, kobieta, która pragnie mężczyzny tak, jak pragnęła tamtej nocy Natalia, jest zdobyta i pokonana, nawet jeżeli nie trzymało się jej jeszcze w ramionach. A ja, uskrzydłony siłą, nie chciałem kobiety zdobytej. Byłoby to niskie, jak stukrotne rozpamiętywanie dawnego triumfu, przystoi to tylko tym, którzy na wojnie stracili nogę lub rękę. Zdecydowałem, że poczekam na moją pokojówkę, która na pewno przyjdzie, aby dopełnić tamtego dnia. I Natalia się wyniosła, a ja nie musiałem długo czekać.

Dziewczyna była idealna. Niedoświadczona, a więc świeża, lecz już umiejętna, czerpiąca wiedzę nie z doświadczenia, lecz z pożądania. I oddała się właśnie tak, jak powinna, na skraju

sprzeciwu i zgody, przeplatając słabe: „Nie” gorącymi westchnieniami. Zdobyłem ją, smakowała słodko.

* * *

Co jest kłamstwem? Bilet zakupiony w kasie Firmy Pośredniczej w Podróżach „Merkury”? Wyniosły rzędem czterech kominów liniowiec „Cesarzowa Zofia”? Natalia? Czy tylko tamten dzień, dzień, w którym w skondensowanej formie otrzymałem wszystko, co można dostać na tym świecie? W którym byłem wywyższony, pieszczony i doceniony, dzień i noc, w których byłem panem tego świata?

Poranek bliższy był już prawdzie. Gdy wstałem, nie było jej już przy mnie w łóżku. Poszedłem więc do łazienki i zastałem ją, gdy podmywała się nad wanną, niezgrabnie wygięta. Gdy mnie zauważyła, zasunęła zasłonę prysznicę, z tym wstydem niskiego rodzaju, który wynika nie ze skromności, lecz ze złej opinii na temat własnego ciała. Nie protestowałem. Miała małe, lecz już obwisłe piersi, kościste biodra i brzuch z blizną po cesarskim cięciu.

Wyszedłem z łazienki, zamknąłem się w gabinecie i poczekałem, aż wyjdzie, bez słowa. I wtedy wszystko zaczęło zmierzać do punktu, w jakim znajduję się, pisząc te słowa. Albo pisząc te następne, tego nigdy nie jestem pewien. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Pierwszego dnia nie zepsuło się wiele. Ot, kawa była cienka na śniadanie, chleb czerstwy, nie miałem nawet głowy do takich szczegółów. Nie posprzątało też w mojej kajucie, co zauważyłem dopiero wieczorem, gdy nie pokojówka nie przyszła. Zająłem się więc pisaniem. Aby z lekkością powrócić do przerwanej pracy literackiej, na wkręconej w maszynę stronie maszynopisu pozostawiam ostatnie słowo niedokończone.

* * *

...rza! – krzyknąłem.

Dopałem do telefonu, podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer znajomego doktora. Nie tłumacząc całego zajścia, powiedziałem tylko, że mamy ranę postrzałową i że sprawa jest krytyczna. Zaraz będzie. Odwróciłem się i chciałem pobiec na górę. Jednak strażak zapytał:

– Cóż to się stało? Słyszałem strzał...

Cóż to się stało? No właśnie, co się stało? Nie miałem wątpliwości, oto chwila, która zaważy na moim życiu. To moment, który będę pamiętał na zawsze. A dzisiaj, kiedy piszę te słowa? Mam w głowie utrwaloną kliszę z tamtej chwili. Ja, w ledwo dopiętych spodniach, strażak ze skofundowaną miną, otwarte drzwi na klatkę, w nozdrzach zapach perfum, seksu i prochu. Ale czy tak właśnie było? Teraz wspominam tylko, siedząc przy maszynie do pisania, i popijając burbona, a wtedy szarpał mną strach, namiętność, wściekłość. Jednak zawsze musi

kiedyś nadejść ten moment, w którym utrwalony w głowie obraz pierwszej rozebranej dziewczyny przestaje być podniecającą wizją, a staje się pamiątką z przeszłości, którą oprawiamy w intelektualne ramki i stawiamy na półce ze starociami. Staje się pamiątką dziwną i śmieszną, jak pornografia sprzed kilkudziesięciu lat, dziwne kobiety, dziwnie upozowane na zdjęciach w kolorze sepii, tak odległe i anachroniczne, że aż pozbawione seksualności, tak jak pozbawiony jest jej zimny marmur Wenus z Milo. Więcej erotyki jest na obrazie Cranacha, na którym z rozebranych kobiet Parys w groteskowej zbroi wybiera najpiękniejszą.

I tak chwila, w której oszałamiający rytm pulsował w skroniach, ciało poruszały pragnienia wcześniej nieznane, przerażające i pociągające w swojej potędze, chwila, w której świat nagle zapadał się, bo ona zsuwała bluzkę, a serce chciało wyskoczyć z wrażenia z piersi, staje się śmieszną pamiątką, tak odległą...

A przecież był to jeden z tych momentów, których dzieło się samo zawiera oczywistość trwania. Czy wiele jest takich chwil, w których mamy pewność, że na zawsze pozostaną z nami? A ile z tych, w których pewność mieliśmy, naprawdę z nami pozostało? Patrzymy wtedy na siebie samych z pewną treścią, bo nasze działania zapisują się nieusuwalnie – pierwszy raz dotykając nagich pleców młodej kobiety, mamy świadomość, że zapamiętamy dotyk jej matowej skóry.

Cóż za odpowiedzialność – lecz, cóż za kłamstwo! Owszem, tego się nie zapomina – ale jak bardzo czas zmienia naszą pamięć. Życie, płynąc, ubiera nasze wspomnienia w formy adekwatne do teraźniejszości. Porządkuje je, hierarchizuje, nadaje znaczenia, lub odbiera wartość.

Nasza pamięć ma tak niewiele wspólnego z prawdziwą naszą przeszłością, jest tylko bladym odbiciem tego, co naprawdę było. Z każdą chwilą umiera, bezpowrotnie ginie jakaś część nas z przeszłości, kawałek tego JA sprzed kilku lat, który właśnie przepuszczamy przez filtr nowej, aktualnej interpretacji. Sami wybieramy raczej platońskie cienie naszych wspomnień.

Czymże jest więc ciągłość naszego ja, naszej duszy, naszej świadomości? Jedyne, co łączy nas z nami z przeszłości, to łańcuch niekończącej się zmiany.

Pamięć jest jak zabawa w głuchy telefon.

Nie będę więc udawał, że piszę o tym, co było. Piszę o tym, co zostało w mojej głowie, a więc o tym, co jest teraz. Wspomnienia trwają, ich związek z przeszłością nie jest jednoznaczny.

Pamiętam – biegnąc po schodach, przeskakiwałem po trzy stopnie naraz, pędząc z całych sił, strasznie tupiałem. Pamiętam – twarze mieszkańców, obudzonych hukiem wystrzału, pamiętam panią G., sąsiadkę z dołu, która patrzyła na mnie z naganą, jakby wszystko rozumiała. Pamiętam – póki nie wbiegłem na nasze piętro, ja również sądziłem, że rozumiem. Stała się tragedia, okropna, straszna tragedia, moje życie legło w gruzach, wszystko zdawało

mi się jasne. Jednak, gdy w końcu stanąłem przed drzwiami mieszkania, zobaczyłem, jak moja żona, szlochając, gładzi moją zakrwawioną kochankę po głowie.

– Co ja zrobiłam, co ja zrobiłam, zabiłam cię... – powtarzała ciągle.

I wtedy Monika podniosła drżącą rękę i powiedziała:

– Przepraszam.

– Lekarz już jedzie – wykrzyknąłem.

Nie spojrzały nawet w moją stronę.

– Jak mogłaś mnie zdradzić, Boże, a ja strzeliłam... – bełkotała dalej Anna.

Dziś jestem pewien – nie słyszałem: „Mogłaś”, usłyszałem: „Mogłeś”. Co wtedy słyszałem? Dość, że zacząłem:

– Wybacz mi. Nie mam usprawiedli... – urwałem, gdy Anna podniosła głowę i spojrzała na mnie. Obojętnie. Bez nienawiści. Ze zdziwieniem.

– Zostaw nas.

Nagle ze złogów pamięci wyrwały się tysiące drobin. Wzleciały nad moją głowę, zawirowały szaleńczo i jak opiłki żelaza, porwane magnesem, szarpnęły się ku sobie. Pasowały idealnie, miałem przed oczami pełen obraz, który nosiłem wcześniej pokawałkowany w głowie, wystarczył ten jeden kluczowy element, obojętne spojrzenie mojej żony zadziało jak katalizator, wyzwalał reakcję. Pamięć porządkujemy, przyznając wspomnieniom stopnie ważności; to, co ma znaczenie, pamiętamy najmocniej, szczegóły bez znaczenia – jakie tydzień temu nosiłeś skarpetki? co jadłeś na obiad w swoje dwudzieste siódme urodziny? w którą stronę otwierały się drzwi do sypialni w pierwszym mieszkaniu twoich przyjaciół? – pozostawiamy samym sobie, by opadły jak osad na samo dno zapomnienia. Nasza klasyfikacja jest jednak zawodna. Lub wygodna. Teraz widziałem.

Mój trzymany jeszcze wtedy na wodzach flirt z Moniką trwał już od pewnego czasu. Jasne, ciągnęło nas do siebie, ale oboje chyba zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jak płytka i przelotna to fascynacja. Ograniczała się więc do gestów zupełnie niewinnych. Gdy zapalałem jej papierosa, zawsze delikatnie dotykała moich dłoni. Tak, kiedy zapalasz papierosa kobiecie, prawie zawsze dotyka twojej dłoni – ale to był nieco inny dotyk: matowy przeciągły, powolny. Ręce, sięgające w tańcu nieco dalej, niż zazwyczaj. Pożegnalne uściski nieco serdeczniejsze niż zwyczajnie. Tylko tyle. Oboje bawiliśmy się sytuacją, nie przywiązując do niej wagi, nie chcieliśmy też robić z tego niczego poważniejszego. Ot, małe, zabawne urozmaicenie małżeńskiego szczęścia, nie naruszające w zasadzie granic zaufania. Aż nagle coś zaczęło się zmieniać.

Siedzieliśmy w naszym klubie, na wygodnych kanapach otaczających okrągły stolik, Anna, Monika, dwóch nawiedzonych poetów i jeden dziennikarz, gadatliwy Żydek. Je---

* * *

Nie napisałem wiele tego dnia, może cztery strony maszynopisu, które pieczołowicie odłożyłem na stosik zapisanych kartek. Resztę dnia poświęciłem na lekturę przyniesionych z ubogo raczej zaopatrzonej biblioteki książek marynistycznych. Wieczorem, zmęczony sztucznym światłem, wyszedłem na pokład, zaczerpnąć świeżego powietrza. Zimny wiatr i deszcz szybko przegoniły mnie z powrotem do kajuty. Gdy schodziłem, potrącił mnie opryskliwy marynarz, usłyszałem jeszcze za sobą opryskliwe: „Gdzie leziesz, kurwa?”. Położyłem się spać, nie czekając na kolację, której w końcu nie przyniesiono.

Rano nie było też śniadania. Próbowałem coś napisać...

* * *

---den z poetów był nacjonalistą i ostatnio porzucił poezję, by, jak mówił, zająć się poezją historii, drugi zaś, postępowy lewak i libertyn, zajmował się głównie ironizowaniem na temat ideologicznych zwrotów swojego kolegi. Kló---

* * *

...ale nie da się, psiakrew, pisać na głodnego, poszedłem więc poszukać posiłku. Dobry kwadrans błądziłem po okrętowych korytarzach, wydawały mi się o wiele trudniejsze w przestrzennym wyobrażeniu, niż ostatnio. W końcu w nozdrza uderzył mnie nieprzyjemny zapach jadłodajni. Pewnie trafiłem na jadalnię załogi lub pasażerów trzeciej bądź czwartej klasy – pomyślałem. Zajrzałem do pomieszczenia. Do okna, przy którym gruba kucharka w czepku chochłą nalewała do podstawionych przez klientów misek gęstą, szarą ciecz, ustawiła się dosyć długa kolejka. Jedzenie nie pachniało dobrze, kojarzyło się z zapachem miejsca, w którym w moim mieście franciszkanie gotowali obiady dla biednych. Już chciałem się odwrócić na pięcie i wyjść, gdy usłyszałem głos Natalii.

– Obywatel weźmie kupon, bez kuponu śniadanie nie zostanie wydane.

Siedziała przy niewielkim stoliku, na którym stała brudna szklanka z herbatą, sterta papierów i pudełko z kuponami. Nie rozumiejąc niczego, podszedłem do jej stanowiska. Beznamiętnie podała mi kupon, założyła na nos okulary w grubej oprawie, na długiej liście odnalazła moje nazwisko i nakazała podpisać, wskazując miejsce palcem. Obcięła paznokcie krótko, jak mężczyzna. Chciałem o coś zapytać, ale nie zwracając na mnie uwagi, ryknęła na wchodzącego marynarza, że okryć wierzchnich nie dopuszcza się do noszenia na sali jadalnej. Gdy zauważyłem, że w kolejce stoją ludzie, których widziałem na balu – to znaczy pasażerowie pierwszej klasy, jak ja – stanąłem na samym końcu ogonka. Oczekałem swój kwadrans i otrzymałem śniadanie. Grubą kromkę czerstwego chleba i pełną miskę szarej brei, określonej jako grysik. Nie tknąłem świństwa, co spotkało się z wieloma pełnymi dezaprobaty spojrzzeniami, zjadłem tylko chleb, popijając lurowatą herbatą. Dzień spędziłem beczynninie.

Następnego ranka wkroczył bezceremonialnie do mojego pokoju rosły marynarz i oznajmił mi, że w ciągu kwadransa mam się spakować i opuścić kajutę, z zamiarem przeniesienia się do wspólnej sali. Gdy zacząłem protestować, spojrział tylko na mnie i bez słowa wyszedł. A ja się spakowałem, bo coś mi mówiło, że powinienem.

Zakwaterowano mnie na łóżku 12B na pokładzie 3 w sali 309. Nie czułem się uprawniony do protestów, zwłaszcza że marynarze zaczęli nosić przy pasach krótkie pałki. Wsunąłem więc bagaże pod pryczę, położyłem się na twardym posłaniu i tak spędziłem cały dzień, z przerwą na obiad.

Następnego dnia do naszej sali wszedł marynarz i ogłosił regulamin, który określał godziny, w jakich można opuszczać salę sypialną, godziny wydawania posiłków i zakaz wychodzenia na pokład. Wszyscy przyjęli to ze stoickim spokojem. Za marynarzem stała Natalia, nosiła skromny uniform z furażerką i oznakami stopnia. Nie odezwała się ani słowem, tylko stała za czytającym regulamin strażnikiem. Wieczorem, po kolacji, odebrano nam bagaże, pozostawiając każdemu tylko przybory toaletowe i jedną zmianę ubrania. Oddałem moją maszynę, dziwnie pogodzony ze wszystkim, chciałem też oddać maszynopis, jednak przeszukująca moje posłanie Natalia udawała, że nie widzi grubego pliku kartek, i dyskretnie wsunęła go pod poduszkę. Odebrano mi pióra, ale gdy rewidowano moje ubranie, Natalia wsunęła mi do kieszeni marynarki ołówki. Poinformowano nas również, że rano pójdziemy do pracy, i odczytano podział na dwie dwunastogodzinne zmiany.

Rano otrzymaliśmy robocze ubrania i poszliśmy na śniadanie. W kolejce po zupełny jeden z więźniów zaczął krzyczeć, że tutaj dodają do jedzenia narkotyku, żebyśmy byli bierni i spolegliwi, wrzeszczał i próbował przekonać nas, że przecież strażników jest tak niewiele. Marynarze wyrwali go zaraz z kolejki, pchnęli na podłogę i zaczęli metodycznie okładać pałkami. Po chwili stracił przytomność, jednak strażnicy tłukli dalej. Gdy przestali, chwycili go za nogi i wyciągnęli z jadalni. Ciągnął się za nim gęsty, krwawy ślad. Zjedliśmy śniadanie i poszliśmy do pracy. W przetwórni ryb.

Moim zadaniem było ciągnięcie wielkiego wózka pełnego ryb od końca zsypu, którym spływają z ładowni, do początku naszej linii produkcyjnej. Wózek ważył około dwustu kilogramów, miałem do przejścia jakieś trzydzieści metrów, ale musiałem się spieszyć, aby linia nie pozostała bez materiału do obróbki. Pierwsza przerwa następowała po sześciu godzinach i trwała kwadrans. Między nami przechadzali się strażnicy – mężczyźni i kobiety. Po dwunastu godzinach pracy udaliśmy się do łaźni, tam strażnicy nakazali się wszystkim rozebrać do naga, ostrzygli nas do gołej skóry i myli lodowatą morską wodą ze szlauchów. Szczególnie strażniczki sprawiały wrażenie bardzo rozbawionych, gdy któryś z rozebranych więźniów upadał pod ciśnieniem strumienia wody. Potem ustawiono nas w kolejce do komisji, zakładającej każdemu więźniowi kartotekę. Po dwóch godzinach stania na baczność (obok kolejki przechadzali się marynarze z pałkami) przyszła moja kolej. Zapytany, podałem nazwisko, wtedy strażnik uderzył mnie w twarz i ryknął, że mam nie patrzeć na komisję,

spuścić wzrok i nie odpowiadać tym tonem. Staralem się odpowiadać najpokorniej, jak potrafię. Data, miejsce urodzenia, zawód rodziców, ukończone szkoły, służba wojskowa...

No i skłamałem.

Kiedy miałem dziewiętnaście lat, przyszła do mnie karta mobilizacyjna, nie chciałem być gorszy od rówieśników i stawilem się na czas. Przez szkolenie jakoś przetrwałem, chociaż wojskowa dyscyplina i ćwiczenia wydawały mi się gwałtem na moim człowieczeństwie. W drodze na front czułem się prawdziwym żołnierzem, skoro dałem radę w koszarach to już nic nie jest mi straszne. Wysiedliśmy z wagonów pod Bazancourt i po otrzymaniu przydziałów do odpowiednich kompanii, z miejsca rzucono nas na pierwszą linię okopów. Czułem się wspaniale. Dopóki nasi wrogowie nie zaczęli strzelać. W nawale żelaza wytrzymałem kwadrans. Reszty nie pamiętam dokładnie, wiem, że biegłem, płacząc i wrzeszcząc ze strachu. Jasne, nie biegłem sam, razem ze mną uciekało jeszcze kilku rekrutów. Stare wojsko nawet się z nas nie śmiało, kiwali tylko głowami i klepali nas po plecach, gdy zatrzymaliśmy się na tyłach. Nawet nasz sierżant nie powiedział złego słowa, chociaż, gdyby chciał, mógłby oddać nas pod sąd wojenny. Nic wielkiego więc się nie stało. Koledzy, którzy razem ze mną poddali się panice, wrócili do szeregów. Lecz ja wiedziałem, czułem, że nie mogę znaleźć się znowu w okopach. Odmówiłem więc powrotu. Po kilku kwadransach perswazji sierżant wyciągnął pistolet i oznajmił, że jeżeli nie wrócę do okopu, to sam mnie własnoręcznie zastrzeli. Powiedziałem mu, że ma strzelać, bo wiedziałem, że to dobry człowiek. Gdy nie naciskał spustu, uderzyłem go w twarz – wiedziałem, że za to wsadzą mnie do aresztu i spróbują postawić przed sądem wojennym, a wtedy interweniuje mój ojciec. Ojciec przybył do aresztu następnego dnia, był starym oficerem, więc wystarczyło, że spojrzał i już wiedział, że jego syn jest tchórzem. Załatwił mi komisję lekarską, na której przyjaciel ojca, doktor K., stwierdził, że mam początki gruźlicy i muszę trafić na miesięczny urlop. W domu zdałem małą maturę, po czym już jako jednoroczny ochotnik poszedłem na kurs dla oficerów. Na front wróciłem jako podporucznik i ojciec załatwił mi przydział do służby tyłowej. Całą wojnę przesiedziałem w magazynie, nie musiałem ani razu wyciągnąć pistoletu z kabury. Jednak gdy wróciłem po wojnie do domu, cóż miałem mówić? Że byłem urzędasem i martwiło mnie jedynie to, by stan faktyczny ilości masek przeciwgazowych w magazynie zgadzał się z inwentarzem? Że blizna na skroni powstała, gdy pijany gonilem po ulicach belgijską kurwę, potknąłem się i uderzyłem łbem o latarnię? Stworzyłem więc sobie legendę. Najłatwiej kłamać się, gdy samemu wierzy się w kłamstwo. Przez te wszystkie lata tyle razy powtarzałem swoje łgarstwa o bitwach, w których brałem udział, że sam dawno wierzyłem w każde słowo – figurowałem nawet w szczegółowych opracowaniach dotyczących bitew i operacji, gdyż nieraz piłem z ich autorami.

Dlatego wtedy, przed komisją na statku więzieniu, również skłamałem. Strażnik kopnął mnie pod kolano, a gdy upadłem, zaczęli mnie tłuc pałkami. Przeszali nagle, jak na komendę – to Natalia podniosła dłoń, dając im znak.

– Tutaj stajesz w prawdzie o sobie, bo to już koniec drogi. Tutaj nie możesz łąć.

Dała znak strażnikom i ci wymierzili mi jeszcze kilka mocnych ciosów w plecy, po czym brutalnie postawili mnie znowu na nogi. Gdy ponownie zadano mi pytanie, powiedziałem prawdę. Podczas gdy strażnicy śmiali się do rozpuku z moich w istocie raczej żalonych wojennych przeżyć, ja odpowiadałem na następne pytania. Otrzymałem numer B-8903.

Ustalona rutyna obowiązywała niezmiennie. Racje były głodowe, w połączeniu z ciężką fizyczną pracą, nie było tego więcej, niż absolutne minimum, konieczne, by przeżyć. Było nas tutaj około dwustu, w ciągu pierwszego miesiąca umarło trzydziestu, sześciu zatłukli strażnicy – najokrutniejsze były kobiety. Jednak każdy, kto zginął, chociaż wyniesiono jego trupa, wracał po jakimś czasie, żywy. Dziwiliśmy się trochę, ale ci, którzy wrócili, nie odpowiadali na żadne pytania. Tylko ich oczy były jakby zapadnięte, jakby zagłębione w czaszce, wypełnione przerażeniem i rozpaczą. Za wszelką niesubordynację, lenistwo w pracy i chociażby złe spojrzenie na strażnika obowiązywały kary: karcer, stójka, praca przez dwie albo nawet trzy zmiany bez przerwy, bicie, zakaz posiłków. Wypełniałem więc swoje obowiązki sumiennie, każdą wolną chwilę poświęcając na spanie. Nie myślałem o innym życiu, w zasadzie sądziłem, że przeszłość jest tylko snem, a życie niekończącą się podróżą przez ocean na tym statku przetwórni. Nawet dobiegające czasem z góry odgłosy bankietów, tłumione przez kilka warstw stali strzały korków od szampana, muzyka, śmiech – nie przekonywały mnie, że było kiedyś coś innego.

I któregoś dnia, może miesiąc, a może dziesięć lat od początku mojego pobytu tutaj, w środku dniówki strażnik skinął na mnie dłonią. Podeszedłem natychmiast, a ten kazał mi iść za sobą. W korytarzu czekało już trzech innych, z pałkami w dłoniach. Wiedziałem, co mnie czeka, po pierwszym ciosie upadłem na podłogę i osłoniłem głowę dłońmi. Bili bardzo mocno, ale krótko. Gdy przestali, rozstąpili się. Gdy powoli odkryłem twarz, zobaczyłem, że przede mną stoi Natalia. Przykucnęła przy mnie, nachyliła się i wyszeptała do ucha:

– Znam cię, R., nawet tutaj potrafiłeś wprawić się w stan obojętnej, zadowolonej egzystencji. I nic, nawet bicie nie może cię z tego wytrącić, bo po prostu zapomniałeś o przeszłości. Ale ja mam na ciebie sposób, R. Pamiętasz początek naszej podróży? Czy myślisz, że na darmo na samym wstępie zaznałeś wszystkich rozkoszy, jakich zaznać może mężczyzna? Przystaniemy podawać ci narkotyk, będziesz żył ze stałą świadomością nieodwracalnej straty. A żeby powiększyć twoją rozpacz, R., będziesz pisał. Spełnisz ten rozkaz, bo tutaj moje słowo ma moc sprawczą. Będziesz się ukrywał, marnował cenne godziny snu i będziesz pisał. Bo masz pamiętać, R. Również o tym, że stąd nie ma wyzwolenia.

Przerwała, wyprostowała się i ryknęła:

– Bacność! Do pracy, gnido!

Podniosłem czym prędzej obolałe członki i wróciłem do mojego wózka z rybami. A wieczorem po kolacji i łaźni, korzystając z odrobiny księżycowego światła, krótkim

ołówkiem zacząłem dalej pisać mój tekst, zaczynając dokładnie w tym miejscu, gdzie skończył się maszynopis.

* * *

---cili się teraz zażarcie, starozakonny dziennikarz i libertyn z jednej, poeta narodowiec z drugiej strony. Uczestniczyłem w dyskusji, ośmieszając argumenty obu stron. W końcu zrozumieli, że drwię z nich, gdyż gardzę przedmiotem dyskusji i Żyd razem z narodowcem oświadczyli zimno, bym, jako osoba letnia, mierna, pozbawiona poglądów oraz wyrobienia ideologicznego, raczył zaniechać dyskusji. Śmiałem się głośno, dopieklem im jeszcze kilka razy, aż w końcu, znużony, obserwowałem tylko, jak Żyd, opluwając się ze wściekłości, dźga palcem w runiczny znaczek, odznakę Partii Komunitarystyczno-Narodowej, który poeta patriota nosił dumnie na prawej kieszeni partyjnej zgniłozielonej koszuli, patrzyłem, zażenowany, jak jego adwersarz wali pięścią (z partyjnym sygnetem „Za zasługi”) w stół i bredzi o nowym społeczeństwie, w którym nie będzie miejsca dla darmozjadów i element rasowo niepewny. Powtarzali swoje hasła raz po raz; zniechęcony, odwróciłem się do dziewczyn, których oczywiście ta rozmowa nie interesowała – dlaczego zresztą miałyby ich obchodzić męskie rytualne starcia? Czy kobiety Papuasów przywiązują wagę do tego, który ich mężów mocniej wali włócznią o tarczę podczas Świąta Świni?

Siedziały obok siebie, odwrócone od stołu, bokiem do czerwonego oparcia pluszowej kanapy. Widzę je teraz dokładnie.

Anna, w swojej ciemnozielonej sukni, wyszywanej cekinami. Sukienka odsłania kształtne ramiona i piękny dekolt mojej żony i spływa w dół, załamując się na piersiach; cienki materiał jakby tulił się do jej skóry, nieprzyzwoicie uwydatniając sterczące sutki. Niżej spływa luźno, zawija się wokół sznura pereł, niedbale zasupłanego na biodrach. Kończy się nad kolanami, jednak teraz odsłania nogi aż po uda, ukazując skrawek wieńczącej pończochy koronki. Anna śmieje się perliście, odchyliwszy głowę do tyłu, zalotny, zawijający się na czole pukiel jej ciemnych, ufryzowanych w modne fale włosów ciągle zsuwa się do oczu, a ona odrzuca go wdzięcznym gestem. Monika szepcze coś mojej żonie do ucha. Mają takie same fryzury, chociaż Monika jest naturalną blondynką. Nawet ich sukienki są podobne, tyle że ta na ciele mojej, wtedy jeszcze przyszłej, kochanki układa się zupełnie inaczej. Ciało mojej żony jest leniwie erotyczne. Secesyjne łuki jej piersi, bioder i ramion podobają się mężczyznom. Gdy zapomina o swoich licznych kompleksach i idzie przez salę, kołysząc mimowolnie biodrami, gdy w zmysłowym tańcu zapomina o tym, że ktoś może na nią patrzeć – wtedy jej ciało obiecuje powolną rozkosz, rozkosz w pomarańczowym świetle świec, rozkosz rozkołysaną, niespieszną, a ja wiem, że tylko dla mnie dotrzyma tej obietnicy. Monika również jest piękna, jednak pięknem tak różnym, jak różnią się obrazy Caravaggia od obrazów el Greca. Kobiecość Moniki jest zdecydowana i ostra, dziewczyna ma chude

ramiona, wąskie biodra, cienką talię i małe, sterczące piersi. Jej uroda zazwyczaj odpowiada kobietom, mężczyźni wolą raczej kobiety miększe, kuszące raczej rokokowym łukiem bioder niż – jak Monika – strzelistym, gotyckim zarysem uda. Ma w sobie coś androgynicznego, coś z przepięknego efeba, mimo że jest delikatna i zwiewna – może taka uroda podoba się kobietom właśnie dlatego, że nie znajdują w niej tego, czego szukają u nich mężczyźni, są więc spokojne, bo, w ich pojęciu, te androgyniczne istoty nie stanowią zagrożenia. A teraz siedzi obok mojej żony i szepcze. Jej prawa dłoń spoczywa delikatnie na ramieniu Anny, zaś lewa – dobry Boże – lewa przesuwana się wzdłuż uda, przekraczając granicę pończosznych koronek, docierając do nagiej skóry. Nie wyczuwają mojego spojrzenia, Anna odsuwa kosmyk z twarzy Moniki i całuje ją w policzek.

To jeden z elementów układanki, która stanęła mi przed oczami. Ich gesty, pocałunki, nagle, ze zwykłych kobiecych czułości, stały się perwersyjne.

I tak stałem na schodach, w poczuciu, że wszystko zważyło się pył i proch. Obie kobiety nie dostrzegały mojej obecności.

Może minął kwadrans, może tylko parę minut. Ktoś uderzył mnie pod kolano twardą pałką, upadłem, zobaczyłem szare mundury policjantów, skuto mi ręce na plecach, dwóch roślących porządkowych brutalnie podniosło mnie pod ramiona i szliśmy po schodach na dół. Przez na dłoń uchylone drzwi wyglądali sąsiedzi, widziałem ich oczy, w zmarszczonych brwiach, podpierających niskie czoła, widziałem ich myśli: „Wiedzieliśmy, że tak się to skończy. Literat, jebał go pies!”.

Na dole rozkuli mi ręce, by zaraz skuć je z przodu, po czym wsiedliśmy do policyjnego opla. Posadzili mnie między dwoma roślonymi posterunkowymi w policyjnych czakach ze skóry i szarego sukna. Przez szyby widziałem wejście do naszej kamienicy – po paru chwilach pojawił się doktor, którego wzywałem, oraz przyjechała sanitarka, z wymalowanymi na burtach wielkimi czerwonymi krzyżami. Nie minął kwadrans, jak po schodach na noszach zniesiono Monikę, towarzyszył jej lekarz, w zakrwawionej teraz marynarce. Za nimi policjanci sprowadzili moją żonę, jednak nie wprowadzali jej do samochodu, w którym siedziałem. Kierowca ruszył, odjechaliśmy w kierunku najbliższego komisariatu. Kątem oka zauważyłem, jak moja żona wsiada do innego policyjnego samochodu.

Oczywiście, zostałem aresztowany do wyjaśnienia sprawy. Wysłałem gońca do mojego adwokata, odmówiwszy uprzednio składania zeznań bez rozmowy z nim. Dzięki Bogu! Porad prawnych zawsze udzielał mi kolega z gimnazjum, sprytny Solomon Moreli, młody, przebojowy, zawsze elegancko ubrany i zachowujący spokój. Gdy, wystrojony jak zawsze, w świetnym włoskim garniturze z tenisu, przyszedł w końcu na posterunek, byłem już prawie gotów powiedzieć cokolwiek, byle wyjść z za krat. Adwokat rozmawiał ze mną dyskretnie, skontaktował się wcześniej z moją żoną i moją ranną kochanką. Cóż się okazało! Monika przeżyje, bo kule szczęśliwie ominęły miejsca najbardziej krytyczne, chociaż spędzi miesiąc w szpitalu. Nie będzie prawdopodobnie oskarżenia – zeznała, że były obie pijane i,

rozochoczone zabawą, „wyszły na klatkę schodową, postrzelać” i przydarzył się wypadek. Mojej żonie zostanie odebrane pozwolenie na broń i będzie proces o nieumyślne spowodowanie poważnych uszkodzeń ciała, co, w przypadku jej nieposzlakowanej opinii, skończy się niskim wyrokiem w zawieszeniu i grzywną. Ja natomiast mogę wyjść z aresztu w ciągu paru godzin, kiedy tylko złożę zeznania.

Mieliśmy jeszcze dwa kwadranse, by przeciwzyć przedstawianiu wspólnej wersji. Przesłuchanie poszło gładko, po dwóch godzinach byłem wolny Trzęsąc się w starej dorożce na wybojach, myślałem o mojej żonie. Dopiero teraz dotarło do mnie znaczenie wydarzeń ostatnich kilkunastu godzin. Nasze małżeństwo było skończone, to pewne. Teraz stać mnie już na ten dystans, drogi Czytelniku. Podstawową i główną cechą mojego charakteru jest egoizm. Wzruszysz może ramionami, Czytelniku, i – zgodnie z prawdą – odpowiesz, że każdy człowiek jest egoistą. Jasne, kamień we własnym bucie boli bardziej niż cudzy kikut po obciętej stopie. Ja jednak, drogi Czytelniku, chociaż jak każdy zdolny byłem do odruchów serca, zdolny byłem do empatii, miałem w swoim egoizmie pewną radykalną bezwzględność, która pozwalała zawsze we własnych oczach postawić się w sytuacji pokrzywdzonego.

Zanim chuda szkapa, ciągnąca ciężki wóz z grubym, nieco pijanym dorożkarzem na dokładkę, doczłapała do mojej kamienicy, byłem już przekonany o tym, jak nieistotne są moje własne winy wobec zbrodni, jakiej dopuściła się moja żona, wdając się w romans z kobietą. Jestem inteligentnym człowiekiem, więc przekonanie samego siebie zawsze kosztuje mnie trochę trudu. Jednak skupiłem się na tym zadaniu, a przysypiający woźnica nie przerywał moich rozważań. I udało się. W progi mojego mieszkania, odprowadzany szelestem odsuwanych kłapek od judaszy w drzwiach, wkroczyłem jako człowiek skrzywdzony. Anna wróciła po kilku godzinach – zwolnili ją za kaucją, którą wpłacił jej ojciec. Siedziałem na fotelu z kieliszkiem koniaku i czekałem na przeprosiny. Byłem nawet gotów przyznać, że rżnięcie jej, bądź co bądź, przyjaciółki na klatce prowadzącej do naszego mieszkania nie było właściwym zachowaniem. Co oczywiście nie zmniejsza ciężaru jej win!

Tymczasem Anna weszła do mieszkania i bez słowa zaczęła się pakować. Nie brała nic cennego, nic ważnego, po prostu trochę ubrań, jakieś przybory kosmetyczne z umywalni, ulubioną walizkę z nalepkami z naszych wspólnych podróży – podobną do tej, jaka teraz spoczywa w mojej kajucie. Nasze walizki były zawsze nierozłączne, niemi świadkowie rozlicznych wojaży, od Indochin po Korfu, od Szkocji po Madagaskar. Te nieskończone godziny spędzone razem w wygodnych kajutach liniowców, na miękkich kanapach w pulmanowskich wagonach, w ciasnych kokpitach samolotów nawet! I to jej walizka pierwsza zatrzasnęła swoje mosiężne okucia w pojedynkę, bez towarzyszącego jej od zawsze głębszego szczęknięcia zamków drugiej, większej.

Byłem pewien, że to tylko demonstracja, że Anna czeka tylko, bym wykazał się wspaniałomyślnością i podszedł do niej, by ułatwić jej, to co jest takie trudne – padnie mi do

stóp i będzie błagała o przebaczenie. Tymczasem moja żona po prostu się spakowała, zajrzała do pokoju, w którym siedziałem, i powiedziała krótko:

– Odchodzę, R. Nic nie chcę, prawnicy wpadną do ciebie w przyszłym tygodniu. Do widzenia.

I wyszła. A ja siedziałem dalej w fotelu, aż kieliszek z koniakiem wysunął się z mojej dłoni i z trzaskiem rozbił o podłogę. Mocny alkohol z pewnością zrobi plamę na parkiecie – gdyby była tu Anna, z pewnością z krzykiem rzuciłaby się wycierać, by podłoga w jej ukochanym mieszkaniu nie uległa zniszczeniu. Ale jej nie ma.

Po prostu wstałem więc i wziąłem z półki drugi kieliszek. I butelkę. I za nic mając to, że butelka tego koniaku warta jest dwóch pensji przeciętnego robotnika z fabryki nieopodal, wypłem wszystko. Gdy koniak się skończył, wstałem jeszcze raz i przyniosłem sobie butelkę whisky, w której było jeszcze może z ćwierć litra płynu, i pełną butelkę irlandzkiego, śmietanowego likieru. Whisky wypłem całą, wypalając do tego dwa cygara i pół paczki papierosów, po połowie likieru wyrzygałem się na podłogę i zasnąłem w fotelu.

Rano obudził mnie smród i kac. Poszedłem do kuchni, ze spiżarni wyciągnąłem zsiadłe mleko i dzbanek z lemoniadą. Wypłem wszystko, poprawiłem kubkiem czarnej kawy i jajecznicą. Gdy poczułem się lepiej, posprzątałem bałagan w pokoju, bo nie chciałem, by natknęła się nań gosposia, która miała przyjść za parę kwadransów. Potem wziąłem kąpiel. Czuję się już całkiem nieźle. W wannie przeczytałem trochę Chateaubrianda w oryginale, co zawsze poprawia mi humor, bo facet nie miał fajnie w życiu. Szczególnie zawsze roztkliwiam się przy opisie romansu z Angielką, który nie mógł znaleźć szczęśliwego zakończenia, gdyż biedny René z poduszczenia siostry kilka lat wcześniej się ożenił. Potem jeszcze funduję sobie opis tego, jak to kawaler de Castrum Briani głodował w Paryżu. To aby ukoić ogólne bóle, związane z życiową sytuacją. Aby uspokoić sumienie, robię sobie przegląd romansów wielkiego René Franciszka, co puentuję lekturą wstępu do *Geniusza chrześcijaństwa* i paroma stronnicami *Żywotu Rancy'ego*. To wprawia mnie w przyjemną pewność, że i ja na stare lata znajdę sobie spowiednika, który zleci mi napisania dziełka równie okropnego jak *Żywot...* który, nie mając szans przyćmić moich poprzednich arcydzieł (tak jak nic nie zaćmi *Pamiętnika z za grobu* i *Geniusza...*) bólami, jakie będę cierpiał przy pisaniu tegoż potworka, zapewni mi odkupienie. Krzycząc na gosposię (stara i gruba, bez obaw), aby doniosła mi gorącej wody do kąpieli, pomyślałem sobie nawet, że moja biografia nabiera pikantnych szczegółów, coś jak różne Byronowskie historie z Shelleyem i panią Shelley. Ha, będą mieli biografowie używanie! Trzeba to jeszcze dobrze rozwiązać, a wszystko będzie dobrze, może ktoś kiedyś napisze o tym dobry dramat. Tak pokrzepiony, kontynuowałem swoją literacką kurację. *Wieczory petersburskie* wprawiły mnie w przekonanie, że to po prostu natura ludzka jest tak podła i zła, i wzmocniły w umiłowaniu dobra. Potem przeczytałem jeszcze Nietzschego, żeby nie mieć wyrzutów sumienia, pozwoliłem sobie na odrobinę Kierkegaarda, bo ten offerma zawsze mocno przypomina mi, żeby nie litować się nad sobą za bardzo. Zakończyłem

kąpiel dobrym, rozluźniającym kryminałem i poleciłem gosposi przynieść popołudniową prasę. Siadłem w szlafroku w kanapie, poprosiłem o dwie bułki z miodem i ciepłe mleko, i zabrałem się do lektury. Na trzeciej (dlaczego, cholera, dopiero na trzeciej?) stronie lokalnej popołudniówki sporymi literami tytuł: „Zdrada, alkohol i broń. Znanego literata opuszcza żona, kochanka w szpitalu z ranami postrzałowymi”. Uśmiechnąłem się do siebie – no cóż, kryzys małżeństwa kryzysem, ale moje akcje towarzyskie wzrosną znacząco! Zapowiada się towarzyska afery ze mną w roli głównej. Nie jest źle!

Pomyślałem o Annie i to zepsuło mi humor. Co prawda, nie wątpiłem już, że do mnie wróci – kochałem ją, to powinno wystarczyć – ale po prostu brakowało mi jej. Była wspaniałą żoną, świetnym, inteligentnym rozmówcą. Wyobraziłem sobie, jak dobrze moglibyśmy się bawić, rozmawiając przy popołudniowym śniadaniu o tych zdarzeniach. Anna znała wszystkich dziennikarzy, na pewno do artykułu dodałaby od siebie jakąś anegdotę na temat autora. Bez wątpienia kocham ją i brakuje mi jej obecności. Ale wstrzymam się z próbami kontaktu, aż nie opadną emocje. Dopiero potem sięgnąłem do porannych dzienników. Na pierwszych stronach – wyniki wyborów. Ponad czterdzieści procent miejsc w parlamencie dla Partii Komunitarystyczno-Narodowej. No, proszę! Nie byłem ich zwolennikiem, dostrzegałem ich prostactwo, ot, dobra partia dla sklepikarzy i rzemieślników. W dyskusjach z działaczami najczęściej ich ośmieszałem... Ale jako weteran i patriota popierałem ich niewątpliwą miłość do tego kraju, chęć zniszczenia powojennego ładu – no i bez wątpienia wolałem ich od tych tłustych, rozlazłych demokratów różnych odcieni, a w rzeczywistości takich samych. W sumie – ucieszyłem się. Gdyby nie oni, władze mogłoby przejąć komuniści. A pod rządami komunistów literatowi, któremu wygodne życia zapewnia renta, wypłacana przez tatę bankiera, czyli, w ich retoryce, krwawego wyzyskiwacza, literatowi o konserwatywnym temperamencie, który w swojej publicystyce kpił z ich idei w żywe oczy, mogłaby wydarzyć się krzywda. Odetchnąłem z ulgą. Nie czytałem dalej, bieżąca polityka nie zajmowała mnie za bardzo. Miałem jednak dobry humor, postanowiłem więc napisać krytyczny wobec PK-N artykuł. Nie chciałem polemizować z ich polityką, bo to nudne zajęcie, wybrałem sobie więc jednego z teoretyków narodowego komunitaryzmu, przejrzałem moje archiwum, wybrałem kilka jego artykułów, w których dureń sam się podkłada, wyjąłem kontinentalę i wystukałem – bach, bach, bachbachbach, bach, bachbach – kąśliwy pamflet, po którym nasz kamrat, jak zwracali się do siebie członkowie PK-N, nie będzie mógł się nigdzie pokazać, żeby nie wytykali go palcami. Naniósłem na maszynopis poprawki, wezwałem gońca i nakazałem zanieść tekst do redakcji „Przeglądu” i poczekać na decyzję, kiedy puszczają. Wrócił po godzinie, tekst idzie jutro! Pięknie, stary, dobry Oskar – taki redaktor to złoto.

Należało zadbać o duszę i pojednać się z Bogiem. Ruszyłem więc do kościoła, starej gotyckiej świątyni. Ukląknąłem w bocznej nawie, przeżegnałem się i popatrzyłem na krucyfiks, zawieszony na wyrastającym strzeliście przede mną filarze. Złoty Chrystus, całkiem

niewielki, spoglądał na mnie smutno. „Wredny ze mnie sukinsyn, Panie, wiem. Przepraszam” – pomyślałem do Niego. Po chwili milczącej kontemplacji, doszedłem do tego wniosku, co zwykle – powinienem modlić się w domu, bo tutaj po chwili zaczynam kontemplować architekturę, rozważając odważne przecięcia gwieździstego sklepienia. Wstałem więc i poszedłem do zakrystii, spodziewając się tam znaleźć księdza Adama, mojego spowiednika. Siedział tam, odmawiając brewiarz. Na mój widok, powstrzymał mnie ruchem dłoni i wskazał mi krzesło. Nie mówiąc ani słowa, usiadłem. Dziesięć minut zajęło kapłanowi odmówienie modlitwy do końca. Wreszcie przeżegnał się nabożnie, zamknął oprawną w ciemne płótno książkę i wstał, by się ze mną przywitać. Wstałem również i uściskałem go – był niewielki, sięgał mi ledwie do ramion. Spojrzał na mnie smutno.

– Cóżes znowu narobił, diable utrapiony? – zapytał.

– Czytał ksiądz gazety?

– Pytałem, cożes narobił, nie co o tym ludzie myślą, durniu.

– Po kolei, księżo! Od ostatniej spowiedzi? To będzie pół roku. Zacznę od najważniejszych spraw...

– Będziesz się spowiadał? – przerwał mi.

Potwierdziłem, a on wtedy wstał i wskazał mi konfesjonał, stojący w zakrystii. No tak, wszystko na właściwym miejscu. Wypowiadałem się, trochę to trwało, ale wyszedłem z konfesjonału z rozgrzeszeniem. Skierował się od razu do wyjścia – nie byliśmy w końcu przyjaciółmi, ksiądz Adam był moim spowiednikiem, nie kolegą. Jednak zatrzymał mnie, dogoniwszy w wyjściu ze świątyni, ze stulą w dłoni. Chwycił mnie za rękaw.

– Słuchaj, pamiętaj tylko, chłopie, żeś rozgrzeszenie od Boga dostał, ale tylko wtedy moje *ego te absolvo peccatis tuis* miało moc, jeśliś był gotów je przyjąć. Warunków dobrej spowiedzi nie będę ci wyliczał, boś nie smarkacz na katechezie i wierzę, że znasz je dobrze. Pamiętaj, byś dobrze w swoim sercu ocenił, czyś był tego odpuszczenia godzien. Jeśli nie... to pamiętaj, żadna łaska nie spływa na człowieka wbrew jego woli. Jeżeli chcesz dalej trwać w grzechu, to chociażby cię sam papież albo sam święty Piotr nawet wypowiadali, to będziesz w grzechu dalej tkwił. – Rozpędził się w jednym z tak charakterystycznych dla niego osobistych kazań, które głosił swoim stałym penitentom, zawsze w takich pozornie nie sprzyjających sytuacjach, chwycił w przejściu, w przelocie za rękaw czy za guzik, i głosił, nie pytając, czy ma się czas lub ochotę na wysłuchanie kazania. – Największym darem, jaki nam dał Pan, są grzechy przeciwko Duchowi Świętemu. Nazywa się to szumnem, a w istocie to nic więcej, jak wolna wola potężniejsza od woli Boga samego. W tej jednej rzeczy moc mamy prawdziwie boską, nasza wola pokona wolę Boga, który chciałby zawsze naszego zbawienia, jednak nie może zbawić nas wbrew naszej woli. Pamiętaj, R., niezbadane są wyroki boskie, ale w tym jednym możemy mieć pewność... jeżeli zechcesz być potępiony, czy wypowiesz to wprost, czy też po prostu wyrzucisz Boga precz w inny sposób, to Bóg cię potępi. Tego możesz być pewien. Idź z Bogiem.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Pokiwałem głową. Niegłupi ten ksiądz.

Zadowolony, postanowiłem się urządzić, aby miło zakończyć ten, mimo wszystkich tragedii, jakie wydarzyły się zeszłego wieczoru, udany dzień. Poszedłem więc do klubu. Po czwartym drinku przypomniałem sobie o Monice w szpitalu i uświadomiłem, że nawet nie dowiedziałem się, jak się czuje. Wziąłem dorożkę i pojechałem do szpitala, kupiwszy uprzednio kwiaty. Nie za skromne, jednak nie zbyt obfite, by nie pomyślała, że chcę nasz romans kontynuować. Zbyt zależy mi na Annie. W szpitalu pielęgniarki nie dopuściły mnie do chorej, mówiąc, że nie chce nikogo widzieć. Wzruszyłem ramionami i wróciłem do klubu, gdzie uchlałem się do nieprzytomności.

Dwa następne miesiące upłynęły mi dosyć jednostajnie. Tęskniłem do Anny, a z nudów rzuciłem się w wir metapolitycznej publicystyki, chłoscząc dla symetrii wszystkich obecnych na politycznej arenie. Wieczorami regularnie upijałem się w klubie. Niektórzy przyjaciele jakby zawiesili znajomość ze mną, ale miałem dość kolegów od kieliszka, by nigdy nie pić do lustra.

Kłopoty zaczęły się wszystkie tego samego dnia. Był to poniedziałek, rano nie miałem kaca, więc zabrałem się za czytanie zaległej korespondencji. W pierwszym liście – redakcja „Dziennika Związkowego” wypowiada mi umowę na stały felieton i oznajmia, że nie jest zainteresowana dalszą współpracą. Pies ich drapał, to i tak szmatławiec. Druga koperta – wydawnictwo Dreicher odrzuciło rękopis mojej książki. Chyba zwariowali. Trzech agentów biło się o tę powieść, weźmie to w ciemno każdy wydawca w tym małym kraju. Jeszcze, na podstawie któregoś tam punktu umowy, której nawet nie czytałem (od tego mam agenta), żądają zwrotu zaliczki. Już ja wam zwrócę, pocałujcie mnie w dupę, zasańcy. Całe szczęście, rękopis poszedł też do Legera, żebyśmy mogli z agentem wybrać korzystniejszą propozycję. Otwieram następną kopertę – i ten list wypadł mi już z rąk. Leger nie jest zainteresowany moją książką... Nagle poczułem przerażenie. A jeżeli to jakiś spisek? Gwałtownie rozcinałem kolejne koperty, rozrzucając wokół siebie strzępy papieru. Było coraz gorzej – agent, ten sam, który pół roku temu przez całą noc koczował przed drzwiami mojego mieszkania, by zastać mnie rano w dobrym humorze i podpisać umowę, zrezygnował z reprezentowania mnie. Współpracę wymówiły wszystkie redakcje. Parę bardzo niepokojących pism przyszło z banku, dwa od moich dawno zapomnianych wierzycieli, którzy jeszcze kilka dni temu, długu, który u nich miałem, nie zamieniliby na dwa razy większe pieniądze, bo szczyścić się mogli w towarzystwie, że kiedyś pożyczili pieniądze wielkiemu R. Niech to szlag. Z drżeniem oczekiwałem listu od papy, w którym wypowiedziałby mi rentę – na szczęście ten cios, który byłby już *coup de grace*, nie nadszedł.

I tak zaczęły się moje kłopoty. Siedziałem, zdeorientowany, na kanapie i myślałem o przyszłości, która nie rysowała mi się w jasnych barwach. Kiedy gosposia przyniosła mi popołudniówki, długo nie rzuciłem nawet na nie okiem. Aż przez przypadek zauważyłem tytuł. Tym razem, cholera, na pierwszej stronie. „Znany literat opuszczony dla kobiety. Żona

ucieka z kochanką swego męża, którą postrzeliła z zazdrości”. I, jak mi się wtedy wydawało, zrozumiałem. Mieć żonę lesbijkę to prawie jak samemu być ciotą. A czasy się nieco zmieniły. Zasadniczo na lepsze, bo rozpasanie, jakie tutaj zapanowało po wojnie i upadku monarchii, było ohydne. Kilka naszych miast zamieniło się w europejskie centra rozpusty najgorszego rodzaju. Miałem nawet kilku znajomych, którzy gustowali w chłopcach, ale nigdy nie ukrywałem przed nimi wstrętu wobec takich praktyk. Po to Bóg stworzył kobietę i mężczyznę, aby mogli grzeszyć razem. No, powiedzmy, że obyczaje pań z Lesbos nie byłyby aż tak obrzydliwe, gdyby nie to, że większość miłośniczek tej greckiej wyspy to okropne wiedźmy, których żaden normalny mężczyzna nie chciałby zobaczyć bez ubrania. W zasadzie gdybym zdał się jedynie na uczucia i za nic miał względy przyzwoitości, to nie miałbym nic przeciwko dwóm pięknym kobietom w łóżku ze mną pośrodku. Tak czy inaczej, moralnie to szambo, to oczywiste.

Kiedy do władzy doszła PK-N, wszystko się zmieniło. I to na lepsze. Zmuszono pedałów do zejścia do podziemia, tam, gdzie ich miejsce. Zlikwidowano wszystkie oficjalnie lub półoficjalnie działające przybytki sodomii, dla świętego spokoju tolerując tylko dwa ściśle zakonspirowane kluby dla wtajemniczonych. Nie prześladowano ich jakoś specjalnie, chociaż homoseksualizm znów stał się karalny, uniemożliwiono im jedynie obnoszenie się ze swoim zбочeniem. Więc klimat na byronowsko-shelleyowskie przygody stał się nieprzychylny, a ja wpadłem w sidła zmian, które sam popierałem. Kiedy moi wydawcy, agent i inni, z szybciotko rozchodzących się plotek dowiedzieli się, z czym ostatnio jest kojarzone moje nazwisko, woleli nie ryzykować. No, trudno, zawsze jest jeszcze renta od Papy oraz okrągła sumka schowana w szufladzie, na ciężkie czasy. Wtedy ktoś zapukał do moich drzwi. Otworzyłem – strażak z dołu z wyraźną niechęcią oznajmił mi, że jest do mnie rozmowa telefoniczna, zamiejscowa. Zdziwiony, bo takie praktyki nigdy nie miały miejsca, zszedłem na dół i podniosłem odłożoną obok aparatu słuchawkę.

Gdy po kilku minutach wróciłem do siebie, jak zombi dowlokłem się do łóżka, ciężko zwałiłem się na pogniecioną pościel i pogrążyłem w rozpacz.

Dzwonił Papcio. Powiedział mi w krótkich żołnierskich słowach (Tatko to były oficer), że tym razem przesadziłem. Oczywiście, przeproszałem bardzo przez telefon, twierdząc, zgodnie przecież z prawdą, że to moja żona, Anna, którą tak uwielbiał, oszalała, nie ja. Nie dalej jak tydzień temu wysłałem Tacie list z prośbą o długoterminową pożyczkę – dosyć miałem dorożek i pociągów, w trudnej sytuacji osobistej, w jakiej się znalazłem, potrzebowałem rozrywki i postanowiłem sprawić sobie wóz, zielone bugatti, jakie widziałem na obrazie Lempickiej. Dlatego byłem bardzo pokorny, normalnie odpyskowałbym ojcu bez namysłu, nawet rzucił słuchawkę, teraz jednak bardzo zależało mi na samochodzie, a do tego potrzebowałem pieniędzy ojca, bo przecież muszę mieć samochód, który jakoś odpowiadałby mojej osobowości, nie będę jeździł jakimś ludowym steyer-daimlerem! Tymczasem na Papie moja pokora nie zrobiła wrażenia. Nie tylko nie pożyczył mi pieniędzy, ale jeszcze ryknął w

sluchawkę, że od teraz nie da mi ani grosza, póki nie załatwię całej sprawy jak mężczyzna. Pora, abym przestał być pasożytem i zaczął utrzymywać się sam!

W normalnych okolicznościach, byłbym bardzo zmartwiony – pieniądze od Papy pozwalały mi utrzymać odpowiadający mi styl życia, ale z autorskich honorariów też byłbym się w stanie godnie wyżyć. Cóż, trzeba by zrezygnować z drogich alkoholi i szytych na miarę garniturów z Mediolanu, co byłoby trudne, ale możliwe. W jeden dzień z człowieka raczej zamożnego stałem się pozbawionym środków do życia biedakiem!

Jednak przecież nie samym chlebem żyje człowiek! Zniosę ubóstwo z podniesionym czołem. Skoro nikt nie chce mnie wydawać, ogłoszę się pisarzem antyreżimowym, szykanowanym przez cenzurę i będę mógł publikować w quasi-podziemnych, niby-antysystemowych pismach. Oczywiście, antysystemowe redakcje nie płacą honorariów z zasady, albo, co gorsza, obiecują, że zapłacą. Finansowo nie będzie to satysfakcjonujące. Ale ma też swoje dobre strony – do takich pism, będę mógł pisać wszystko, nie bojąc się ani procesu, ani żadnych nieprzyjemności, jednocześnie docierając do wszystkich. Pisma takie mają to do siebie, że nie traktuje się ich poważnie, jednak wszyscy je czytają. A w tak zwanym środowisku powtarza się zadziwiająco wiele bonmotów i opinii z takiej prasy.

Oczywiście nie mogło być tak pięknie. Bez pieniędzy Papy byłbym aż nadto wiarygodnym ubogim literatem. Nie miałem ochoty na takie poświęcenia. Cóż jednak mogłem uczynić? Postanowiłem się upić, trudne decyzje pozostawiając na następny dzień.

Dość powiedzieć, że trzy dni później byłem bankrutem, obciążonym gigantycznymi długami. Człowiek, któremu cztery banki naraz likwidują linię kredytową, musi stać się bankrutem. Upokorzyłem się przed Papą, prosiłem go o pomoc, obiecałem nawet, że wezmę stałą posadę w jakimś wydawnictwie (kłamałem, oczywiście) – odmówił. Stwierdził, że mam sobie radzić. Sam. Sam? Oczywiście, znalazł się życzliwy, który mi wszystko wyjaśnił. Jakże naiwny byłem, sądząc, że wszystkie moje kłopoty mogła wywołać nagła zmiana klimatu politycznego! Moim nieszczęściom winien był mój teść, zły ojciec mojej żony, znany i wpływowy fabrykant. Jakże wcześniej mogło mi to nie przyjść do głowy? Mógł przecież i zaszantażować mojego Papę, i spalić mnie towarzysko, co w przypadku literata równa się zawodowej śmierci. Był w stanie to zrobić i nie zawahał się ani przez chwilę. Przecież nie mógł mi wybaczyć tego zła, jakie jego córka mi wyrządziła. Musiał dołożyć swoje. A ja na to nie mogłem pozwolić. Musiałem pokazać burżujowi, gdzie jest miejsce na jego przyziemne resentymenty!

Siedziałem w parku i pielęgnowałem wściekłość. Gniew jest jak roślina w doniczce. Zapomniany – więdnie, usycha, w końcu zostaje tylko suchy, pozbawiony ożywiających go soków strzęp. Jeżeli go pielęgnować – rośnie, rozwija się, nabiera nowych kształtów. Wystarczy go podlewać odpowiednio długo, a stanie się ogromny, rozkwitnie, zaowocuje. Metafora ta ma jednak pewne ograniczenie – nie zdarza się w domu wyhodować roślinę tak wielką, by przebiła sufit, by jej korzenie rozerwały donicę i jak złowrogie macki przerosły

podłogę i fundamenty, by w końcu, wzrastając dziko, rozerwać cały budynek na strzępy. Natomiast z gniewem bywa i tak, moi drodzy. I taka była moja wściekłość. Rosła jak na drożdżach, nabierała kolorów, konceptualizowana, ubierała się w coraz to nowe formy, by w końcu osiągnąć stan konkretny. Oczywiście nie wystarczyło jedno posiedzenie na ławce w parku. Odwiedzałem więc znajomych, którzy jeszcze chcieli mnie znać, zbierałem nowiny i finanse.

W końcu miałem już pożyczony samochód, bak pełen benzyny i dwa zapasowe kanistry w kufrze. Miałem też plik pożyczonych szylingów w portfelu, własnoręcznie sporządzoną notatkę z adresem i zgrubną mapką, jak dotrzeć na miejsce, miałem pożyczoną mapę drogową kraju. W kieszeni płaszcza spoczywała moja pamiątka z wojska, wyczyszczone i naoliwione parabellum z magazynkiem pełnym nowiutkich, błyszczących świeżym mosiądzem naboju. A w domu leżał zakupiony za pożyczone pieniądze bilet na „Cesarzową Zofię”, moja przepustka do nowego życia. Miałem dokładnie tyle czasu, ile trzeba, by z pewnym awaryjnym zapasem dojechać na miejsce, załatwić, co trzeba, wrócić, zabrać spakowane uprzednio rzeczy i odpłynąć. *Adieu*, spsiała Europo, *adieu*, świecie przyziemny, małostkowy i banalny, *adieu*, niech cię piekło pochłonie!

Samochód miałem pierwszorzędny. Pożyczył mi go bogaty kolega, który kilka lat temu napisał parę nieprzychylnych PK-N artykułów, więc teraz starał się nie rzucać w oczy, prawie nie wychodził z domu i nigdy nie wyprowadzał z garażu swojego pięknego coupe. Dlatego teraz wrzuciłem mój skromny jak przystało Spartaninowi bagaż na siedzenie czerwonego bmw 328, siadłem za kierownicą, zatrzasnąłem drzwiczki. Otworzyłem schowek – oczywiście, były tam czerwone, pasujące do tapicerki rękawiczki z mięciutkiej koziej skóry, które natychmiast założyłem. Akumulator podobno był sprawny – owszem, dwulitrowy silnik zaskoczył od pierwszego razu. Przegazowałem kilkakrotnie, ciesząc się basowym klangiem cylindrów, i pozwoliłem mu opaść na niskie obroty. I tak mruczał sobie pod długą maską, zakończoną podwójną kratką chłodnicy, a ja napawałem się wypełniającym ciasną kabinę sportowo-luksusowym klimatem. Aż wreszcie ruszyłem i przez szesnaście następnych godzin przejechałem autostradą na południe. Nie czułem zmęczenia, nawet miarowy stuk płyt betonowej drogi mnie nie nużył, gnałem, ile sił w silniku, aż w końcu na tle jaśniejącego powoli porannego nieba zarysowały się szczyty gór, między których strzelistymi turniami skrywał się cel mojej podróży.

Gdy minąłem tabliczkę z nazwą miejscowości, która była moim przeznaczeniem, schowałem samochodową mapę kraju i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjąłem odręczny plan. Po chwili wiedziałem, wszystko się zgadza, zaparkowałem pod utrzymaną w alpejskim stylu górską willą. Jako jeden z niewielu budynków we wsi, ten był zelektryfikowany, w jednym z okien paliło się jasne, równe światło. Wszedłem z samochodu i zrozumiałem, że, zajęty pożyczaniem wszelkich środków, koniecznych, aby tutaj dotrzeć, nie pomyślałem, co

dokładnie zrobię, gdy już tu się znajdę. Oczywiście, to miała być nauczka, kara i zemsta. Ale w jakich czynach mają się zawrzeć te słowa?

W każdym razie musiałem tam po prostu wejść. Przecież najprostsze rozwiązania często są najlepsze, zapukałem więc do drzwi. Po chwili ciszy jeszcze raz, tym razem głośniejsze. Usłyszałem głos mojej żony:

– Chwileczkę, już biegnę!

Otworzyła drzwi. Miała na sobie tylko pospiesznie narzuconą, jedwabną podomkę, która ledwie okrywała jej piersi – z rozczochranymi włosami wyglądała cudownie. Wiedziałem, co przed chwilą robiła – znałem przecież ten rumieniec, te drżenie rąk, znałem wreszcie ten zapach.

– Wpuść mnie, musimy porozmawiać – powiedziałem.

Nie odpowiedziała, trzasnęła tylko drzwiami. Usłyszałem zgrzyt zasuwanych zamków. Dobra – pomyślałem – jak chcesz. Wyciągnąłem pistolet, strzeliłem dwukrotnie w zamek i kopnąłem drzwi z całej siły – otwarły się z hukiem. Gdy wszedłem do korytarza, moja żona wkładała właśnie naboje do dubeltówki.

– Poczekaj... – powiedziałem i uniosłem dłoń w pojednawczym geście, na co Anna z trzaskiem zamknęła lufy swojej strzelby, wyraźnie gotowa mnie zabić. Sama tego chciałaś, cholero, pomyślałem i strzeliłem, zanim ona zdążyła we mnie wycelować. I trafiłem swoją żonę, Annę Ludwikę, *de domo* von S., w czoło, zabijając ją pierwszym strzałem, kątem oka zaś zauważyłem, jak z sypialni wypada przerażona i naga Monika, kierując się do drzwi. Rzuciłem się w jej stronę, uciekłaby może, gdyby nie potknęła się o trupa Anny. Runęła na kolana, wtedy ją dopadłem i, wierzgającą, zaniósłem do sypialni. Tam rzuciłem na łóżko i powiedziałem:

– A teraz mi wszystko, ptaszyno, opowiesz...

Po tym, co zrobiłem Annie, nie miała chyba wątpliwości, że jestem zdolny do wszystkiego, gdy więc powtórzyłem mój rozkaz drugi raz, zaczęła nieskładnie i nieśmiało opowiadać. Sięgnęła po prześcieradło ale jej zabroniłem, leżała więc naga, wspierając się na łokciu, bała się i rozwijała przede mną historię swojego romansu. Mówiła, jakby wiedziała, że zależy od tego jej życia, a ja gapilem się na jej nagość, androgyniczną, dziwną, tak mało kobiecą, a jednocześnie tak podniecającą. A ona patrzyła na mnie wilgotnym wzrokiem i mówiąc, gładziła dłonią swoje chude ciało. Oto kobieta uległa, broń uczyniła mnie panem jej życia, lecz ona potrafi okazać posłuszeństwo i należną cześć mężczyźnie, który w tej chwili jest jej, nieledwie, właścicielem.

Oczywiście, Drogi Czytelniku, wiesz, co nastąpi. Tak, masz rację. Ale już zbyt dużo nagości i erotyki w tym tekście, wybaczyć więc, że zadowolę Cię suchą informacją. Nie rozciągnę tego w tętniący namiętnością opis. Tylko dlatego, że czytasz z wypiekami na twarzy i masz podświadomą nadzieję, że zaraz autor zabierze w ewidentną, perwersyjną pornografię, którą najpierw przeczytasz z satysfakcją, by później, po namyśle, uznać ją za

przejaw hołdowania najniższemu gustowi i zbyć moją powieść absolutną machnięciem ręki, albo, jeśliś, nie daj Bóg, krytykiem, pogardliwą i szyderczą recenzją! O, niedoczekanie Twoje, Czytelniku! Za nic mam Twoje wypieki i język, nerwowo zwilżający wargi. Oto, co musi Ci starczyć za cały opis: gdy leżałem na niej, sięgnęła po stojącą na nocnym stoliku gipsową figurę i z całej siły rąbnęła mnie w tył czaszki.

Nie straciłem zupełnie przytomności, zamroczyło mnie tylko solidnie. Wiedziałem mniej więcej, co się dzieje, gdy zepchnęła mnie z siebie i wyskoczyła z łóżka, szukając pistoletu, jednak do zupełnej władzy nad swoim ciałem wróciłem dopiero, gdy stała już, naga, piękna i wściekła w drzwiach, i celowała do mnie. Odczekałem jeszcze chwilę, aż uda mi się skoncentrować wzrok, spojrzałem i pogratulowałem sobie tej sekundy przezorności. Parabellum było zabezpieczone, a ona najwidoczniej pierwszy raz w życiu trzymała broń w dłoniach i nie wiedziała o tej małej, ratującej życie dźwigni. Wstałem więc powoli, a ona, cofając się, krzyczała, że mam się nie ruszać. Spojrzałem jeszcze raz, upewniając się i runąłem w jej stronę. Ona zrozumiała to spojrzenie, gdy nacisnęła spust po raz pierwszy i strzał nie padł. Wyłączyła bezpiecznik, lecz gdy naciskała spust po raz drugi, ja już trzymałem jej rękę i strzał padł, gdy lufa celowała w sufit. Szamotaliśmy się chwilę, w końcu wyrwałem jej broń, odepchnąłem pod ścianę i wściekły, że okazała się taką zdradliwą żmiją, zastrzeliłem ją z zimną krwią. Następnie ubrałem się, poszukałem w domu kluczy, na kartce napisałem słowo: „Wyjechaliśmy”, wyszedłem, zamknąłem drzwi i zatknąłem za nie wiadomość dla różnych interesantów. To da mi kilka dni – telefonu tutaj nie ma, w wiosce nikt nie będzie się niepokoił, a gdy się wszystko wyda, ja będę już na „Cesarzowej Zofii”, na której pokład prawo naszego kraju nie sięga. Wsiadłem do samochodu i wesoło pogwizdując, ruszyłem z powrotem do domu, gdzie dotarłem po kolejnych szesnastu godzinach. Tym razem byłem już zmęczony, nie spałem od ponad doby, jednak miałem przed sobą całą noc. Bezsilnie zwałem się więc w pościel, odespałem swoje, rano zaś przystąpiłem do przygotowań. Wykąpałem się, ogoliłem, natarłem wodą kolońską. Założyłem ubranie podróżne, uporządkowałem wszystkie papiery, sprzątnąłem ostatnie walające się książki i graty.

Gdy skończyłem ze wszystkim, miałem jeszcze wolną godzinę, zanim przyjedzie po mnie adler ciotki. Nie znoszę się nudzić, postanowiłem więc rozpocząć wielką pracę, jaką zaplanowałem sobie na podróż. Wyciągnąłem z kufierka spakowaną już maszynę do pisania, usiadłem przy stole, wkręciłem kartkę papieru, położyłem palce na klawiaturze i pomyślałem kilka minut. W zasadzie, w sytuacji, w jakiej się znalazłem, niegłupio byłoby używać pseudonimu. Zawsze zastanawiałem się, jak pisarze wymyślają sobie pseudonimy. Na przykład Mark Twain, to jasne, znacz dwa, w domyśle sążnie wody w Missisipi, pod stępką parowca. Ja jednak postanowiłem wybrać sobie pseudonim bez uzasadnienia, na chybił trafił. Sięgnąłem po pierwszą z brzegu książkę, spojrzałem na okładkę. *Oczerezy i porohy*, Adam Dębolański, w tłumaczeniu Aleksa Herna. Czemu nie? Przejrzałem pierwsze kilka stron –

po rozwlekłym opisie stepowej przyrody, marnie silącym się na Sienkiewiczowską frazę, nastąpiło zawiązanie akcji. Główni bohaterowie, Szczepan Bilski i Konrad Twardoch, burgrabiowie starosty kijowskiego, Bernarda Pretfica, zostawili konie w wąwozie i podkradają się do obozowiska kozackich zbójców, którzy... Szczepan Bilski i Konrad Twardoch? Może być! Mam już pseudonim, tytuł dawno wymyśliłem... Spoglądam na zegarek – mam jeszcze czterdzieści pięć minut, napiszę pewnie ze trzy strony, jak dobrze pójdzie. Tytuł i motto będą muzyczne, a cały tekst będzie, Drogi Czytelniku, miał dwa poziomy, chociaż oba dotyczące tego samego świata przedstawionego.

* * *

Rondo na maszynę do pisania, papier i ołówki.

Affettuoso con fuoco.

Żadnej, żadnej książki. Wszystkie moje śliczne, piękne, wypieszczone, z pietyzmem odkurzane, odkopane w antykwariatach, kupione na wyprzedazach (...).

Da capo senza al fine.

Pilchowice, grudzień 2004–luty 2005